

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/633

2000



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

T. JASTRUN: WIOSNA I BLIZNY

M. ROSTRON: ISLAM I KULTURA

A. POSPIESZALSKI: REFLEKSJE NA CZASIE

B. OSADCZUK: DOKĄD ZMIERZA KUCZMA?

A. KRZECZUNOWICZ: JAPOŃSKI KATYŃ

SPIS RZECZY

Tomasz Jastrun:	<i>Wiosna i blizny</i>	3
Magdalena Rostron:	<i>Islam i kultura</i>	21
Mariusz Wilk:	<i>„Bielomorkanal”, czyli apologia rab- skiego trudu</i>	35
Eleasar J. Feuerman:	<i>Przed odjazdem</i>	41
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Janusz Mondry:	<i>Wczoraj, dziś i jutro geopolityki</i> ...	49
KRAJ		
Krzysztof Karwat:	<i>Separatyzm po śląsku. Brzydkie słowo: autonomia</i>	55
Krzysztof Wolicki:	<i>Coraz mniej wiadomo</i>	64
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	72
SPRAWY I TROSKI		
Andrzej Koraszewski:	<i>Czekając na urzędnika</i>	84
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Refleksje na czasie</i>	98
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Dokąd zmierza Kuczma?</i>	107
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	110
—	<i>Kronika białoruska</i>	116
NOTATKI REDAKTORA		
117		
CI, CO ODESZLI		
Andrzej Stach:	<i>Lothar Herbst</i>	121
—	<i>Eugenia Szabelska (1902-2000)</i>	124
KRONIKA KULTURALNA		
Stanisław Rodziński:	<i>Józefa Czapkiego świadectwo prawdy</i>	125
Janusz Rakowski:	<i>Pomoc kulturalna dla Polski – Szwaj- caria 1945-1990</i>	
KSIĄŻKI		
M. Broński:	<i>„Imperium Dobra” kontratakuję</i> ...	131
Bogumiła Berdychowska:	<i>Zachęcający początek roku</i>	139
Jan Zieliński:	<i>Listy odśrodkowe</i>	144
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	148
—	●	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
POLONICA JAPOŃSKIE		
Andrzej Miłoś:	<i>Japoński szlak z litewskiej pułapki</i> .	153
Andrzej Romer:	<i>O kolonii polskiej</i>	156
Andrzej Krzeczunowicz:	<i>List do Redakcji</i>	158
—	●	
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 2000

Wzrost i rozwój...
z wybuchem...
100000...
Dla uczczenia...
19...
Dla uczczenia...
starszy...
I...
jaskrawo...
11...
Szwecja...
Irena...
Znamien...
bronie...
Hans...
Hizowie...
27...
ranach...
który...
(Szwecja)...
Powsze...
nie...
Bardzo...
wuj...
Bezimi...
do...
kilku...
szkludne...
ewangelic...
jakie...
niesz...
INSTITUT LITERACKI

KULTURA

Janusz Mondry: Wczoraj, dziś i jutro...
 Złotce • Opowiadania • Sprawozdania

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

- Andrzej i Nancy Brzeski, Davis CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Katarzyny Dunajewskiej, Aix-en-Provence – dol. 100,00 F. 650,00
- Dla uczczenia pamięci naszego Przyjaciela, Stefana Strelcyna, w 19-tą rocznicę Jego śmierci – Kamila Halpern-Chylińska F. 400,00
- Dla uczczenia pamięci prof. Szymona Jakubowicza, byłego więźnia stalinizmu, wybitnego rzecznika samorządności pracowniczej, naszego Przyjaciela, zmarłego w Warszawie 11 marca 2000 – Teodora i Jerzy Lipchytz (Göteborg, Szwecja) SEK 500,00 F. 385,00
- Irena Thiel, An Arbor MI (USA) – po raz 17-ty – dol. 500,00 F. 3.250,00
- Zamiast kwiatów na grób naszej siostrzenicy Ireny Boltuć-Hausbrandt, teatrologa, zmarłej 17 kwietnia w Warszawie, Hiżowie z Filadelfii – dol. 100,00 F. 650,00
- 27 stycznia minęło 55 lat od dnia wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Dla uczczenia pamięci przyjaciół, którzy nie dożyli tej rocznicy – Jerzy Lipchytz, Göteborg (Szwecja) – SEK 500,00 F. 385,00
- Powyższy dar powinien być ukazać się w *Kulturze* styczniowej br. Niestety w skutek naszej pomyłki nie ukazał się. Bardzo za to przepraszamy p. Jerzego Lipchytza odnotowując jego dar dopiero dzisiaj. (Redakcja)
- Bezimiennie z USA – dol. 35,00 F. 220,00

M. Broński: Imperium Dobro 131
 Bogumiła Berdychowska: Zachęcający początek 139
 Jan Zielinski: Listy odsrodkowe 144
 Nudowane nowości wydawnicze 148
 Wydarzenia miesiąca 150

POLONICA JAPONSKIE
INSTITUT LITERACKI

Wiosna i blizny

Wybuch wiosny. Siła zjawiska w tym roku kojarzy mi się z wybuchem wojny. Przeżyłem kiedyś coś podobnego jedynie w Szwecji, wydawało mi się więc, że tylko na północy możliwa jest taka piękna katastrofa. Wtedy byłem pewien, że ta wiosna wybucha dla mnie, teraz jestem o dziesięć lat starszy i już tego tak nie czuję.

I oto bura i pełna zacieków Polska nagle zakwitła, stała się jaskrawo zielona, przetykana żółciami forsycji. I wstyd mi się zrobiło moich „szarości i parszywości” z poprzedniego tekstu. Kraj, miasto, jak kobieta, jeśli są piękne, muszą jednak bronić się nawet bez odzienia, a Polska obnażona z liści, odarta z trawy, jest brzydka. Widać wszystkie blizny po ranach zadanych nam przez historię – są w wyszczerbionych budynkach, w poszarpanym krajobrazie, pełne blizn są pobocza dróg i twarze ludzi.

Ale teraz prawie tego nie widzę jadąc przez te krajobrazy nagle ubrane w wiosnę, jadę w stronę Zamościa. Dlaczego tam? Bo nigdy nie byłem w Zamościu. Wybieram boczne drogi, zawsze mnie porusza piękno starych kościołów, wstrząsa brzydota nowych świątyń. Zatrzymuję się i zaglądam do kilku. Odprawiane są msze niedzielne. Wszystkie te kościoły są schludne, czyste w każdym swoim fragmencie, używając ewangelicznej terminologii są niepokalane, gdy ich otoczenie jakże odmienne. Od wielu lat tak rzadko bywam podczas mszy w kościele, że odczuwam z całą świeżością piękno ceremoniału, ale też żal, że zabrano mszom magię łaciny, którą pamiętam z dzieciństwa. Tej niedzieli stałym motywem kazań była materializacja życia, którą księża piętnują. I słusznie! Ale

czy nie są tu szczególnie bezradni? Wszystkie kościoły obstawione są przez setki samochodów, znak, że wieś jednak też się dorabia, mimo wszystko. Ksiądz ma jednak lepszy samochód niż zamożni wierni. I o tej zamożności księży, wystawnych posiłkach, wierni wiedzą i mówią. Nie mają więc siły te nawoływania o materialne umiarkowanie. Widzę, że narodził się nowy obyczaj, część ludzi asystuje we mszy bardziej swobodnie stojąc na zewnątrz, mogą jej słuchać dzięki głośnikom. A księża w kazaniach jakże często odwołują się do telewizyjnych programów, co mają robić, w końcu naród cały swój czas wolny spędza, gapiąc się w ekran, a jak się nie gapi to telewizory i tak są otwarte.

Kozłówka, piękny barokowy pałac zanurzony wśród pól i ubogich wsi, ale mnie interesuje tylko wystawa socrealizmu, stała ekspozycja mieści się w dawnych oficynach. Czas stalinizmu oddala się jak pędzący pociąg. W malarstwie nie broni się prawie nic, w rzeźbie to i owo. Rzeźba jest ze swojej natury monumentalna, więc patos nie zawsze zabijał wtedy sztukę. Ludzie oglądają te dzieła, już tylko jako kuriozum. Czasami tylko się dziwią, jak to możliwe, że ofiarą wiary lub konformizmu padli wtedy właściwie wszyscy wielcy artyści. Starszym odbija się czkawką tamten czas, zapomnieli albo wyparli swoje kompromisy i upadki, dla młodych to jest jakiś zdumiewający żart z odległej przeszłości.

Lublin kojarzy się z powstaniem Polski Ludowej, sama nazwa tego miasta jest kluskowata i nieapetyczna, a przecież miasto w swojej starej części jest piękne. Zamek królewski pełen tablic męczeństwa, były tu carskie katownie, hitlerowskie i ubeckie. Po roku 1989 przybyło kilka tablic upamiętniających męczeństwo tych, o których do niedawna mówić nie wolno było. Ale na dziedzińcu nadal wisi potężna tablica z informacją, że tu więziono komunistę Mariana Buczka, który zginął w kampanii wrześniowej. Nie wiem o nim nic, być może to był porządny człowiek? Wiele wysiłku włożono by zrobić z niego świętego, komuniści próbowali tworzyć swoich świętych, ale ich świętość była wywalczana przez wielkie moce propagandy. Więc nawet ludzie szlachetni stawali się kukłami, w które mało kto wierzył. Dzisiaj ci „święci” tracą swoje pomniki i ulice. Obecnie rządzi prawica i tyle się gada o dekomunizacji, a nikt tej tablicy nie zdejmuje. A więc,

jak to zwykle u nas – jest wiele gadania, a mało robienia, czasami na szczęście. Ja to bym tę tablicę zostawił, choćby jako znak czasu, ale ja nie jestem radykałem. Dla mnie dekomunizacja Polski, to nie wrywanie tablic, burzenie pomników, a nawyków, których tak wiele ocalało z PRL-u.

Stary Zamość jest odnowiony, ale głębokim podcieniem słynnego rynku nie dano życia, dla którego zostały stworzone. Współczesnym sukcesem zamojskiej starówki jest to, że przestrzega się zakazu wieszania szyldów i reklam. Wysypka reklam szpeci Polskę, ale jest też znakiem wielkiej gospodarczej krzątaniny. Ściany domów, pobocza ulic i szos szkaradnie krzyczą: chcemy sprzedać i kupić, chcemy się dorobić. Zamość jest miastem wpisanym do rejestru europejskiego dziedzictwa kultury. Ale nawet w tej odnowionej części słynnego rynku są liczne niestaranności. Gdy budynek pachnie świeżym remontem, to chodnik u podnóża będzie potrzaskany i krzywy, a czysta fasada ukrywa obskurną klatkę schodową. I nie ma na to rady. Taka jest skóra Polski.

Rozmawiam z chłopem, którego w czasie wojny wysłali na roboty do Niemiec. Hitlerowcy zamordowali mu tak wielu bliskich, widział zbrodnie, które nie mieszczą się w wyobraźni, ale do dzisiaj podziwia Niemców za gospodarność. Wspomina, że u swojego bauera to do krów i świń mógł chodzić w garniturze i w lakierkach, tak było czysto. Wzdycha nad polskim niechlujstwem, „ciągle Panie daleko nam do Niemców, nawet do tych z tamtego czasu”. Patrzą na jego maleńkie gospodarstwo. Na podwórku zarzewiałe i pokrzywione grabie przypominają obiekt z muzeum sztuki współczesnej, walają się artystycznie rozrzucone dziurawe garnki i martwe fragmenty rolniczej maszynery. Świnka wysuwa brudny ryj spod byle jakiego chlewiska, kury robią pod siebie gdzie popadnie. Dlaczego więc wzdycha nad polskim niechlujstwem i bałaganem, a nie westchnie nad swoim podwórkiem?

Nieprzekładalność słów na działanie. To zapewne kolejne moje złudzenie-uogólnienie, ale w Polsce ten rozdział między słowami a czynami wydaje się większy niż w wielu innych społecznościach. Narzekanie ma u nas charakter modlitwy, „dlaczego jest tak brudno” – ludzie się modlą, a nikt nie pochylił się, by posprzątać.

Nie mam talentu do prac manualnych, nie potrafiłem naprawić samochodu w czasach, gdy nie były jeszcze tak skomplikowane jak obecnie, teraz, co za ulga, nową generację wozów można naprawiać tylko w skomputeryzowanych zakładach. Za to mój domowy komputer i komórkowy telefon stawiają mi zaciekle opór. Nie potrafię samemu postawić domu, nawet stołu sam nie wyciosam. Ta moja niezręczność wobec materialnego świata i techniki upokarza mnie niemal codziennie. Mogę się pocieszać, że to poeta otwiera kamień, nie robi tego inżynier ani mechanik. A jednak gniewa mnie ta własna bezradność wobec nowego wspaniałego świata, ta niemoc przypomina mi codziennie, że należę do innej generacji, tej sprzed komputera, komórki, *e-mail* a. Używam ich, ale jakby wbrew swojej naturze, młode pokolenie z tym się rodzi. Ale moje serce też nowoczesnie drży, gdy mój komórkowy telefon piszczy jak szczeniak zawiadamiając, że dostałem SMS-a, czyli tekstową wiadomość. Tak oto rodzą się nowe pojęcia, np. „dostałem SMS-a.” Kilka lat temu można by pomyśleć, że to jakaś śmiertelna choroba. Każdy rok mnoży nowe formy kontaktu każdego z każdym w każdej chwili. A jesteśmy coraz bardziej samotni.

Synek moich znajomych ma dwa i pół roku, wygląda jak amarek, ma złote włosy i błękitne oczy. Umie już mówić. Ale stojąc w korytarzu mieszkania nie mówi nic, jakby znał chińskie przysłowie, „jeśli chcesz człowieka zgubić, pozwól mu mówić”. Stojąc więc przezornie na progu przygląda się nieznanemu mieszkaniu wielkimi błękitnymi oczami, jak kosmiczny owad, który bada nową planetę. Nagle zdecydowanym ruchem chwytą z półki telewizyjnego pilota, i chociaż ten właśnie pilot jest nietypowy, ja miałem kłopot by go uruchomić, ten mały w ciągu kilku sekund rozszyfrowuje jego tajemnicę i włącza telewizor. Spaceruje uważnie, w skupieniu, po kilku kanałach. Zatrzymuje się na reklamie proszku do prania. Patrzy, jak tylko dzieci potrafią, wszystko w nim jest bez reszty patrzyeniem. I nagle zaczyna mówić, reklama już się skończyła, ale on bezbłędnie odtwarza jej treść znaną z poprzednich seansów. Zna na pamięć kilkadziesiąt. Potem zabiera się za mój telefon komórkowy.

Jaki będzie gdy dorośnie, jaki będzie jego świat? Jest dzieckiem młodych ludzi, którzy należą do tej lepszej, boga-

cej się Polski. Zapracowanej, zakrzętananej wokół karier i rozbicia pieniędzy, ale zarazem myślącej racjonalnie i otwarcie. Już teraz zastanawiają się, czy ich synek powinien zacząć się uczyć jednego obcego języka, czy dwóch. Jaką szansę na naukę angielskiego ma wiejskie dziecko?

I pomyślałem, to ostatnia chwila, gdy jeszcze można uruchomić jakieś mechanizmy wyrównywania szans, przynajmniej podjąć taką próbę. Ale takie myślenie ma od razu etykietę myślenia lewicowego lub populistycznego. I rzeczywiście nasi populiści z prawa i lewa żerują na milczeniu, które pokrywa ten problem. Radio Maryja, skrajne pisemka, skrajne partie, oni wszyscy swoje szerszenie gniazda lokują na rosnącym marginesie tych zostawionych, porzuconych i przegranych. Nie tylko przyzwoitość, ale zwykły instynkt samozachowawczy powinien nas skłonić do wielkiej debaty na ten temat. I szybkich działań. Ja wiem, że są tu żelazne argumenty ekonomiczne – musimy dać naszemu krajowi napęd, najlepsze paliwo to żądza, namiętność, strach. Jest jednak chwila gdy rynek zmienia się w pole bitwy, gdzie są zabici, ranni i zwycięzcy. A wariant latynoski w naszym szlacheckim kraju jest nie do wyobrażenia – zmarginalizowani, zbuntują się. Jako, że policja i wojsko czują się od dawna marginalizowane, nie wiadomo kto będzie bronić kilku milionów żarłocznych i beżmyślnych dorobkiewiczów. Leszek Balcerowicz jest pewien, że kilkumilionowa lokomotywa ludzi sukcesu pociągnie ten rosnący margines. A jeśli nie zdoła, jeśli nie zdąży? Leszek Balcerowicz, trzeba przyznać jedyny nasz polityk z wizją, z uporem, z fanatyczną uczciwością. On jednak cały zrobiony z trzeźwości, czy potrafi odczytać prostą statystykę – jaki procent dzieci ze wsi był na studiach przed wojną, jaki za PRL-u, jaki jest dzisiaj? Młodzi ze wsi, nawet genialnie uzdolnieni, jeśli nie pochodzą z nielicznych, bogatych rodzin, nie mają żadnych szans na edukację. I są pewne niepokojące znaki, że nasza gospodarka może przeżyć kryzys. Mimo powszechnego pesymizmu mało która społeczność jest równie mało przygotowana na choćby mały ekonomiczny krach co nasza. Nie stanowimy społeczeństwa obywatelskiego, pojęcie ojczyzny, dobra wspólnego, jest w strzępach. W razie katastrofy, każdy będzie myślał tylko o sobie. Niemal wszyscy są zadłużeni, więc rosnące teraz stopy procen-

towe zwiększają w Polsce epidemię bezsenności.

A na tym bezsensnym marginesie... opublikowano niedawno badania nad bezsennością w Europie. Polacy nadal śpią nieco lepiej niż społeczności kilku rozwiniętych krajów zachodnich. Najgorzej bodaj śpią Niemcy, ale po tym co nabroili nie powinni w ogóle spać. Na Zachodzie na bezsenność cierpi niemal jedna trzecia populacji, ale my szybko ich gonimy. Interesujące, że wedle badań, mimo, że śpimy lepiej, to poczucie dyskomfortu z powodu bezsenności jest u nas jednak znacznie wyższe niż tam. Potwierdza to chyba nasze malkontenctwo i skłonność do widzenia siebie w roli ofiary, choćby tych nocnych zmór.

A za dnia z niepokojem śledzimy teraz rosnącą inflację i taniec złotówki. K., znany historyk idei, mówi mi, „zobaczysz, za dwa lata będzie ekonomiczna katastrofa”. Nie wierzę w to i mam nadzieję, że za dwa lata te słowa mu wypomnę. Odnotowuję jednak, że są i takie prognozy.

AWS i Unia tak są zajęte wewnętrznymi konfliktami, a SLD delektowaniem się perspektywą łatwego przejęcia władzy, że nikt nie pomyślał, że należy przekonywać Polaków, że jednak warto wejść do tej Unii Europejskiej. A coraz więcej naszych rodaków ma wątpliwości. Jakikolwiek myślenie o wspólnych sprawach dla Polski jest w zaniku, nie ma na to czasu, tyle jest do wyklócenia, wymłócenia, tak wiele baryłeczek z miodem do wylizania, kto ma głowę myśleć o takich sprawach. Jak było do przewidzenia Unia Europejska przeciąga datę przyjęcia Polski, ale Polska jej w tym pomaga nawalając, gdzie tylko się da, dzięki tysiącom małych i dużych niekompetencji zawinionych przez dużych i małych partaczy obsadzonych z partyjnego wytrycha na kluczowych stanowiskach. Europa się nas trochę boi i ma powody, więc doprawdy nie należy jej obaw wzmacniać, a to robimy. Jeśli pomożemy Europie to nas do Unii nie przyjmą za życia mojego pokolenia, mimo wabienia, że jesteśmy tuż, tuż. Nikt tego nie mówi głośno, ale taka groźba istnieje. A to byłby dramat. Też dlatego, że nam trzeba narzucić reguły gry, które obowiązują w nowoczesnym państwie, sami tego zrobić do końca nie potrafimy, to widać jak na dłoni.

Wśród ludzi którym się nie powiodło narasta myślenie paranoidalne, częścią tego myślenia jest niechęć do Europy, jako części spisku przeciwko Polsce, to jest ta podstępna finansjera i złowrogie banki, wykupowanie polskiej ziemi, wyprzedaż w obce ręce narodowego majątku. Jestem jednak pewien, że jeśli dojdzie do referendum, większość Polaków opowie się za Europą, to jest bardzo głęboko zakorzenione w naszej narodowej podświadomości, ciążenie ku Zachodowi, który nas, to prawda, uparcie zawodził, ale też uwodził. Nawet Marian Krzaklewski szykując się do prezydenckich wyborów, powołuje się na Napoleona, który nadal wytrwale kroczy w naszym hymnie. A jednak ten brak wielkiej akcji uświadamiającej, jakie korzyści odniesie Polska z wejścia do Unii, jest kolejnym świadectwem niefrasobliwości i niekompetencji rządzącej ekipy.

Małe przyjęcie w domu, gdzie puste ramy po obrazach przypominają, że niedawno zostało okradzione. Nic nie pomogły solidne zabezpieczenia drzwi, złodzieje zeszli z dachu przez okno. Z. był kiedyś działaczem „Solidarności” i politykiem, przez kilka lat mieszkał na Zachodzie, gdzie intensywnie studiował. Jego polityczna przygoda w RP trwała jakiś czas i skończyła się bolesnym rozstaniem. Nagle poczuł się jak w becze ze smołą. Od ilu ludzi miałem podobne relacje, czy nie podobnie smołowato czułem się, kiedy byłem uwikłany w sieci MSZ-u? Z. szybko zrozumiał, że głównym problemem nowej Polski jest chroniczna niekompetencja, zasilana przez zachłanność, korupcję i partyjność. Mimo solidarnościowego rodowodu, podział na partie polityczne, na lewicę, prawicę, stał się nagle dla niego problemem karłowatym, sam dobrze przygotowany do swojej pracy, nieustannie miał do czynienia z horrendalną niekompetencją. Od niego dowiaduję się, że dwie, trzy osoby, które wydawały mi się wysepkami kompetencji, stwarzały tylko takie pozory, wszyscy już odeszli, ale zdążyli sobie wybudować eleganckie wille. Te wille budziły mój niepokój, ale myślałem, zasłużyli na nie. Z. uświadamia mi, że z własnego doświadczenia wie, że takich domów nie da się postawić z pensji, którą otrzymywali moi „kompetentni i uczciwi”. Z. potwierdza ten brak reguł gry, o czym ja tak często piszę. Zgadza się, że kilka

gardłowych dla kraju spraw nie zostało przez 10 lat rozwiązanych, a można było je rozwiązać w rok, dwa... To m.in. rozbicie monopolu Telekomunikacji i pełne telefoniczowanie kraju, reforma bankowości. I sprawa na dekadę, która właśnie minęła, to autostrady. Przez te dziesięć lat nie zbudowano właściwie ani jednej. Te trzy elementy tworzą system nerwowy państwa. Po tej dekadzie jest wyraźny przyrost telefonów, ale to komórkowa telefonia zmusiła ociężałego i tępego jak drewniany słup telefoniczny monopolistę TPSA do jakichś ruchów. Banki reformują się, ale mozolnie. Autostrad jak nie było, tak nie ma. Z. jest człowiekiem praktycznych działań, widział jak na dłoni tracenie szans, marnowanie okazji, prywatę i monstrialne partactwo. W końcu rzucił polityczną karierę i pracuje teraz dla renomowanej zachodniej firmy, gdzie jest ceniony.

Zgadzamy się, że jest jedno lekarstwo na przyszłość. Czas i edukacja. Polacy są solidnie, ale tępo wykształceni, dostają wiele wiedzy, ale mało umiejętności jej wykorzystania. Ta wiedza przypomina nasze ciężkie, betonowe budynki, które są energetycznie nieszczelne i tak szybko się degradują. Absolwenci naszych szkół i uczelni nadal nie są przygotowani do życia w nowoczesnym państwie. Z. uważa, że potrzebna jest nam już nie ewolucja, ale rewolucja w sposobie myślenia. Pochodzi z katolickiej rodziny, ale mówi bez zmruczenia powiek, że polska wersja katolicyzmu jest przeszkodą w szybkim rozwoju kraju. Do tego tematu warto wracać, chociaż mam świadomość, że uogólnienia są tu ryzykowne i mogą być krzywdzące.

Szykuje się teraz reforma szkolnictwa niższego, która budzi wiele niepokojów, chociaż kierunek zmian jest chyba słuszny. Mniej wiedzy, więcej myślenia. Jak jednak tu nie zauważyć, że na naukę i oświatę wydaje się w Polsce dwukrotnie mniej pieniędzy niż na Węgrzech, które podobno radzą sobie ekonomicznie gorzej niż my. I tu też uderzający jest brak wielkiej debaty na ten temat. W tym przypadku, to milczenie jest tym bardziej osobliwe, że przecież sami rodzice nieustannie mówią i debatują na ten temat. Kogo nie znam, a posiada dzieci, to jest w wielkim stresie, do jakiego przedszkola posłać potomka, do jakiej szkoły, do jakiego liceum? Potem dramat wyboru kierunku studiów, wszyscy

pchają się na te praktyczne. Rodzice i same dzieci już wiedzą, że właśnie wiedza jest największym kapitałem. Nie widać tej świadomości we władzach.

„Wszystko jest już do kupienia, nawet wyroki sądowe. Niższe stawki są za prawo jazdy, wyższe za zwolnienie z wojska. Trzeba tylko ‘mieć kontakty, uzyskać dojścia’.” Prasa doniosła, że można nawet kupić, drogo!, ustawy sejmowe. Temat korupcji nagle stał się modny, nasi politycy zaczynają grzmieć, że korupcja zagraża państwu, a przecież ryba psuje się od głowy. To bardzo denerwująca ryba, sama nieustannie gada o moralności. A jaka jest ta głowa, każdy widzi.

Większość naszych polityków nosi intelektualne i moralne garnitury z trzeciej ligi. I jakże nam się już opatrzyli, jak powycierali. Ale jest tu elita, to kilkunastu harcówników wypuszczanych przez partie polityczne na cyrkową arenę telewizyjną. Partie mają swoje lwy, wyżyły, są też krokodyle i liczne osły. Ja te żałosne widowiska oglądam poświęcając się dla *Kultury*, muszę mieć pokarm dla tekstów.

I pomyśleć, że tak wielu polityków, ludzi przeciętnych umysłowo, ma dzisiaj większą publiczność i jest bardziej znanych od naszych najwybitniejszych artystów. Na prowincji wygląda to wszystko proporcjonalnie gorzej, tylko sceny są małe.

Rozmawiam z B. mieszka w liczącej sobie 13 tys. mieszkańców miejscowości, jest dyrektorem zespołu szkół. Próbował być aktywny na politycznej scenie swego miasteczka, ale uciekł przerażony tym co zobaczył. Nawet problem postawienia nowego krawężnika, czy kilku chodnikowych płyt, stawał się dramatem politycznym. Nikt nie myślał, czy jest potrzebny krawężnik, a kto i dlaczego za tym stoi? Dobro wspólne jest u nas organem już prawie zupełnie obumarłym, gdy dobro własne karykaturalnie się rozrasta i nabrzmiewa. To paraliżuje większość racjonalnych decyzji. Tak jest niemal wszędzie. Rozwój ma więc u nas miejsce tam, gdzie egoistyczny interes jednostki lub grupy osób służy przy okazji dobru wspólnemu. Kapitalizm ma jednak taką niezwykłą cechę, że to się zwykle łączy. Niestety, nie zawsze.

Co będzie z naszą wsią? Nie zaskakuje, że jest tu dramat,

a że mimo Leppera, blokad dróg, tego co widać gołym okiem, nie ma wielkiej debaty na temat wsi. I tak mało dla wsi się robi. Pewne „zasługi” ma tu też chłopska partia PSL, która broni interesu wsi śmiertelnie głupio. To prawda, że niełatwo jest tych interesów bronić mądrze, sytuacja wsi jest niemądra. Dla dobra kraju kilka milionów rolników powinno wyparować, a pozostali zreformować się radykalnie, na dodatek zreformować powinny się też nasze krowy, które jednak ze swojej istoty są niereformowalne, rzecz w tym, że powinny należeć do innego gatunku i dawać lepsze mleko. Odmienne nawet powinny być nasze kartofle, które nie przystają do europejskich standardów. A przecież kartofel to była i jest do dzisiaj nasza potrawa narodowa. Czy zmiana gatunku kartofla zniszczy naszą narodową tożsamość? Ten kartofel wydaje się mieć w Polsce jakąś mimowolną symbolikę, z jednej strony orzeł a z drugiej kartofel, czy te kartofle nie powrastały mu w skrzydła? Ten owoc ziemi mieszka też w twarzach naszego wiejskiego ludu, nawet w miastach starsze pokolenie miewa w twarzach kartofle. Zmiana generacyjna objawia się zanikiem kartofla. I to trzeba tu wyraźnie powiedzieć – kartofel szybko znika z twarzy nowych generacji, czy zniknie z naszego sposobu myślenia?

K. chociaż inteligent, mieszka na wsi, uważa, że chłopci, którzy chcą żyć z rolnictwa, mogą tylko popełnić samobójstwo. Pamięta, że jeszcze za PRLu był u niego punkt doradczy dla rolników, gdzie udzielano konsultacji jak gospodarzyć. Dzisiaj nikt im nie radzi, właściwie w powietrzu wisi zachęta, zlikwidujcie swoje gospodarstwa, jesteście niepotrzebni. Chłopi jak wszyscy napiętnowani wyrokiem „niepotrzebny”, są w szoku, to prawda ich sytuacja jest trudna, ale też prawda, że zostali zdemoralizowani przez PRL. Roczny podatek jaki płacę jako „rolnik”, od swoich dwóch hektarów, to 1,5 złotego. Dwa razy droższy jest warszawski bilet autobusowy. Wieś, raczej wioska, gdzie stanął mój wiejski domek, starzeje się z roku na rok, pola zarastają lasem. Sąsiedzi proszą mnie abym wziął udział w dorocznym święceniu pól. „Będzie nas więcej, a tak to wstyd przed księdzem”. Święcenie pól, pachnie to pogańsko, ale też poetycko. Zgromadzenie mieszkańców jest przy rozstaju dróg, gdzie stoi kapliczka. Księżda proboszcza przywożą najbardziej eleganckim samochodem,

jaki był dostępny w okolicy. Proboszcz jest duży, dorodny, jowialny i opiekuńczy jak ojciec. Miejscowi go lubią, poprzedniego nie lubili. Jest garstka starych kobiet, kilku pachnących potem mężczyzn w średnim wieku, stoją nieco z boku, jakby nie do końca przekonani, że są we właściwym miejscu. Tylko to zostało ze wsi Maciejów. Jest święcona woda, krzyż całkiem pokaźny, ksiądz jest nowoczesny, ma na ramieniu aparaturę nagłaśniającą. Nagle żarty ustają, kapłan odziewa się uroczyście. Jest teraz problem, kto będzie niósł krzyż. Ksiądz patrzy na mnie. Nie mogę jednak dopuścić, abym ja, bezbożnik, był jak ten Szymon, który „szedł z pola i przechodził мимо” i został zmuszony by nieść krzyż. Zgłasza się na szczęście jakiś miejscowy, ze świeżo zagojonym kacem i tak ruszamy polną drogą ze śpiewem na ustach. Przy każdej chałupie jest stół przykryty białym obrusem, „Pobłogosław pola umajone”, śpiewa ksiądz i kropi chałupy i pola. W ostatniej celebrowana jest msza święta, część obecnych przyjmuje komunię, a ubogi domek zmienia się w świątynię. Patrzą na kilka starych kobiet, stoją na granicy życia i śmierci, która dzięki tej mszy nie jest dla nich niebytem. Zbrodnią byłoby im zabrać tę wiarę, myślę ja, wielki niedowiaręk. Wszystko w tym ubogim domku: krzesła, pralka, radio – to zabytki z lat 60-tych, jakby czas tu zastygł. A kiedy klękam przypominam sobie dokuczliwy ból kolan, który mnie w dzieciństwie prześladował na twardej posadzce kościoła na Sielcach. Więc staje się tu to, co przydarza mi się coraz częściej, gubię się w czasie na amen, nie wiem kim, kiedy i gdzie jestem?

Pani Frania z podwarszawskiej wsi, która u mnie sprząta, jechała jak zwykle do stolicy podmiejskim pociągiem, ujrzała w nim pewien napis. Przez skromność próbowała nań nie patrzeć. Składał się ów napis z trzech słów. Pierwszego nie pamięta, to nazwisko znanego polityka. Ostatniego pani Frania nie może wymówić, to byłby grzech. Słowo jest na k... patrzy na mnie błagalnie, abym ją od grzechu uwolnił i domyślił się. W środku pociągowego napisu było słowo, które też panią Franię krępuje, ale wymawia je lekko zakłopotana, to „żydowska”. Mamy więc „żydowska kurwa”, pytanie tylko kim jest ten polityk? „Niech pan wymienia...” wymieniam...

w końcu „tak”, wykrzykuje triumfalnie. Mamy więc już w całości ten pociągowy napis, „Krzaklewski, żydowska kurwa”. „Co pan o tym myśli?” A co ja mogę o tym myśleć? Krzaklewski prawdziwy Polak i gorący katolik, a jego też lud nie oszczędza. Korzystam z okazji i badam panią Franię na okoliczność antysemityzmu. Potwierdza, że ludzie o tych Żydach to okropnie wiele gadają, „pan nie jeździ takimi pociągami jak ja, to by pan sobie posłuchał. A najczęściej to ludzie zastanawiają się nad prezydentem Kwaśniewskim, „czy matka jego jest, czy ojciec jest Żydem?”. Znowu pyta, co ja o tym myślę. Wolę się dowiedzieć, co ona o tym myśli. Pani Frania wydaje się mieć pełną świadomość, że Matka Boska była Żydówką, a to jest w Polsce rzadkość. I z tego wszelakiego ludzkiego gadania, pani Frania wyciąga wniosek zaskakujący, ale całkiem rozumny. „Skoro ci Żydzi mają taką moc, taką wielką przebiegłość, jeśli to taki mądry naród i wybrany, to już niech oni u nas rządzą”. No i masz babo macę, zamiast płacka.

Oświeconą Polskę zbulwersowała sprawa szkoły podstawowej we wsi Dmosino koło Główna. Patronem szkoły miał zostać Jan Brzechwa. Na pomysł wpadli m.in. nauczyciele. Ale przeciwko Brzechwie zaprotestowali liczni rodzice. Że Brzechwa to Żyd. Bardzo charakterystyczny jest fragment listu jednej z poruszonych matek. „Szanowna Pani dyrektor! Jeżeli ja dzisiaj czytam w prasie, że w Sejmie RP zasiada 80% posłów o rodowodzie żydowskim o spolszczonych nazwiskach, a w Senacie aż 95%, i jak dotąd nikt nie sprostował na łamach prasy, że nie jest to prawdą, to ja muszę wierzyć, że tak jest. A jeżeli tak jest, to ja przyjmuję, że Radzie Gminy Domosław zostało z góry narzucone przyjęcie takiej uchwały [...] Wniosek jest prosty. Dla Polaków we własnym kraju jest coraz mniej miejsca”.

Zatroskanych polskim charakterem szkoły rodziców, wsparł, a zapewne nawet inspirował miejscowy proboszcz Tadeusz Piotrowski. Z ambony powiedział, że patronem szkoły nie może być „jakiś tam Jan z nazwiska Brzechwa, niewiadomego pochodzenia”. Już na użytek mass-mediów ksiądz rozwinął intelektualnie tę myśl, ale dajmy spokój intelektowi księdza proboszcza.

Wcześniej w Łodzi na domu Marka Edelmana, jedynego

żyjącego przywódcy powstania w warszawskim getcie, wieloletniego działacza opozycji, powypisywano antysemickie hasła. Przepraszał go osobiście premier Buzek, a to tylko potwierdzenie, że ten Buzek też jakiś podejrzany.

Rozmawiam na wsi z miłym, kulturalnym chłopem. Pracował długo w mieście, to myślę uczciwy, miły i nawet rozumny człowiek, rozumny, ale częściowo. Nie znosi Leppera, uważa go i słusznie, za watażkę. Opowiada, że sporo o nim wie, „to jest panie żydek spod Węgrowa, ukrywano go w czasie okupacji”. Z tego co wiem Lepper urodził się już po wojnie, ale nie mam siły by wdawać się w dyskusję. A sąsiad ciągnie o tym co go boli. Mówi jak to „te żydki, obalają krzyże w Oświęcimiu, jakby nie dosyć im, że mają Majdanek i Treblinkę.” Ta Treblinka jest o 15 kilometrów od pola, na którym wygłasza swoje bolesne kazanie, jako mały chłopiec tam chodził, brata tam trzymali, jedzenie mu zanosili, w plecaku miał bimber dla ukraińskich strażników, plecak był otwarty, Ukraińcy plecak sprawdzali, bimber zabierali, a jedzenie dla brata puszczałi. To, że zginęło tam milion Żydów, był niemal tego świadkiem, a istnieje to jakby obok jego świadomości. Polacy mieli swój dramat, nie znaleźli już miejsca by przeżyć holocaust, ale też „tamci”, to byli jednak ci obcy.

Co miesiąc postanawiam milczeć na temat naszego magicznego antysemityzmu, magicznego gdyż kwitnie w kraju gdzie nie ma żywego obiektu. A jednak powszechność i codzienna dotykliwość zjawiska nie pozwala na milczenie. To jest pytanie o siłę paranoicznego myślenia, ta irracjonalność rozlewa się na myślenie o świecie, o naszej gospodarce, problemach społecznych. Jeśli potraktować Polskę jako jeden zbiorowy organizm, mamy bardzo niepokojący objaw zbiorowych stanów paranoicznych. Powiedzenie, że Polacy są antysemitami jest tak samo głupie, jak powiedzenie, że Żydzi są podstępni. Ale proszę nie mówić, że to zjawisko można traktować poza moralnością, ot, taka aberracja. Z powodu holocaustu tak się nie da. Ale oczywiście, zasadnicze tu pytanie, to jest pytanie o liczbę ludzi niepełnosprawnych umysłowo w naszym kraju.

Przepraszam, obrażam teraz naprawdę niepełnosprawnych. Biorę udział w wielkiej warszawskiej imprezie dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej umysłowo i fizycznie. To

kolejna grupa ludzi tak u nas zaniedbanych, mała jest społeczna świadomość i brakuje tolerancji. Ale to dobrze, że wychodzą na ulice, tu też jednak coś się zmienia. Po raz pierwszy od solidarnościowych pochodów stanu wojennego, idę w pochodzie, niosę transparenty. „Tacy sami, a ściana między nami”. „Jesteśmy miarą naszej normalności”. Dobrze hasło. Ten pochód nie budzi już na ulicy przerażenia, ani ironicznych uśmiechów. Opiekunowie, nauczyciele, to mam wrażenie inny, lepszy gatunek człowieka, tyle w nich radości życia i czułości. A niepełnosprawni są bardziej ludzcy i pogodni niż spora część pozornie zdrowych mieszkańców naszego miasta. Kiedy pod kolumną Zygmunta recytuję wiersze niepełnosprawnej dziewczyny, która cała drży ze wzruszenia, czuję że nareszcie robię coś, co ma sens.

Marian Krzaklewski zdecydował się kandydować na prezydenta. Ile było wokół tego zachodów, podchodów, uników. Mógłby tu powtórzyć znane powiedzenie Lecha Wałęsy „nie chcę, ale muszę”. W przypadku Krzaklewskiego jest ono do bólu prawdziwe, Wałęsa nie musiał, ale bardzo chciał, teraz zresztą też bardzo chce. Krzaklewski powiedział więc w końcu, tak! I teraz jak ten święty Jerzy idzie na czerwonego smoka, ale wie, że on to idzie na pożarcie. Spora część AWS-u żąda jednak prawyborów i kłócą się o to okrutnie. Unia Wolności, która sama kandydata nie wystawia, Krzaklewskiego nie poprze. Dlaczego Unia nie ma swojego kandydata? Oni też okrutnie się kłócili, wystawić nie wystawić, by nie wystawić. To jednak jest przyznanie się do wielkiej niemocy tej inteligentkiej partii, jakże potrzebnej Polsce, niemocy, o którą Unia była zawsze posądzana. Argument na „nie” był taki, że i tak nikt nie miałby szansy, a bijatyka prezydencka będzie obrzydliwa. Ten pragmatyczny argument jest jednak arogancki. Podczas kampanii prezydenckiej Unia będzie dumnie milczeć, „my jesteśmy lepsi od tej politycznej hołoty”. I za to jest tak nielubiana przez tych, co nie bywają na salonach. A Polska w sporej swej części to kraj ludzi niewpuszczonych na salony.

Ciekawe jak Krzaklewski będzie prowadził prezydencką kampanię, próbując kreować się na światłego Europejczyka, by nie zrazić sobie klienteli liberalnej a jednocześnie nie

odtrącać słuchaczy Radia Maryja, ZCHN-u i całej skrajnej prawicy. To wszystko jest nie do pogodzenia. Będziemy więc mieć niezły bigos, szczególnie, że Krzaklewski za bardzo rozgarnięty intelektualnie nie jest. Ale na pewno największy kabaret zafunduje nam Wałęsa, chociaż i z Krzaklewskiego zapewne przyjdzie się pośmiać, ale przy okazji kilka łez uronić też nie zaszkodzi. Gdy dzielny przewodniczący Krzaklewski ogłosił swoją heroiczną decyzję, oświadczył, że „Napoleon powiedział, że dla Polaków nie ma rzeczy niemożliwych”. Potem Krzaklewski przypiął sobie skrzydła. „Pod Kircholmem polska husaria też miała osiem razy mniej sił. Nastąpił czas ataku naszej husarii”. Na kogo nasi rycerze-ptacy mają ruszać z tymi kopiami – na Szweda, czyli na Kwaśniewskiego? Ale przecież Polacy teraz lubią Szwedów, lubią nawet Turków. A nasza prawica nie ma koni, nie ma rycerzy, a przede wszystkim nie ma skrzydeł, tylko wielki talent do patriotycznej retoryki. Jeśli Krzaklewski będzie grzązał w tej patriotycznej poezji, nurzał się w odmętach polskich mitów, to przegra z Kwaśniewskim już w pierwszej rundzie przez nokaut.

Widać w oczach jak narasta w AWS-ie konflikt Mariana Krzaklewskiego z Maciejem Płażyńskim, marszałkiem sejmu. Płażyński nie jest tak rozmodlony i ławo patriotyczny jak Krzaklewski, nie jest też tak narcystyczny. Przed laty był sztywny jak kij od miotły, ostatnio trochę się uelastyczył, ale gdzie mu do intelektualizmu Mazowieckiego, maestrii słownej Geremka, zręcznej bystrości Kwaśniewskiego. Maciej Płażyński nie ma za grosz charyzmy. Jeśli jest w nim jakiś wdzięk, to jedynie ten chłopięcy wyraz zakłopotania. Pytany przez dziennikarkę co myśli o aferze ze szkołą, której patronem miał być Brzechwa – mówi, że jemu Brzechwa jako patron szkoły nie przeszkadza. Po tym heroicznym oświadczeniu Płażyński, jakby się trochę zmartwił, pewnie pomyślał, że stracił szacunek w oczach kilku milionów polskich antysemitów, ale potem spogodniał, pomyślał, że zyskał punkty u liberałów, których u nas też dostatek. Problem, że to nie była odpowiedź godna rasowego polityka cywilizowanego kraju. Należało powiedzieć, że wielki wstyd myśleć w kategoriach rasowych uprzedzeń.

Brak nowych twarzy na naszej scenie politycznej, od lat

oglądamy te same coraz bardziej wytarte, zwykle drugorzędne garnitury. To zdumiewające, że przez trzy lata rządów AWS nie dorobił się ani jednego nowego polityka z klasą.

Otwarcie w Zachęcie ekspozycji „Nowocześni 1946-1954”. Otwiera wystawę nowy minister kultury. Nagle uświadamiam sobie, że widzę go po raz pierwszy i że nie wiem jak się nazywa. I nawet mnie to nie interesuje. To też znak czasu. Wielki tłum, jak to bywa ostatnio na otwarciu wystaw, bo jest powrót publiczności na kulturalne imprezy. To ciekawa ekspozycja, która pokazuje jak na sztukę końca lat 40-tych, zwaną nowoczesną, wsiadł nagle okrakiem socrealizm. Najlepsi malarze jak Jerzy Nowosielski obronili się, chociaż ugięli kark pod nową obowiązującą formułą. Nie ugięła się Erna Rosenstein, która paradoksalnie, do końca była w partii i do dzisiaj uważa się za komunistkę. Malowała w czasie stalinizmu swoje „rozbryzgi, zawیłości”, i była bardzo źle widziana artystycznie. Teraz ledwie się porusza, sunie pochylona, patrząc jakby z niedowierzaniem na swoje obrazy. Podglądam ją wzruszony, jak ona podgląda swoje obrazy. Widzę ją nagle młodą i piękną w domu na Iwickiej, jak na klatce schodowej robi wicirki transparentów na 1-majowe pochody, widzę jej psy, koty i męża, zdumiewającego i wybitnego krytyka Artura Sandauera, który przypominał krokodyła. Czuję intensywny zapach farb i potu gosposi, zwanej przez dzieci Gonią.

Odwożę Ernę Rosenstein do domu. Jedziemy przez miasto, mówi – „wiesz, czuję się tak dziwnie, jakby to miasto rośło na Polach Elizejskich, te nowe domy, tyle nowych świąteł. Tak rzadko wychodzę z domu.” Ale czy ja czuję się tu inaczej, w tym mieście coraz bardziej moim – nie moim. Mieszkanie malarki zarasta czasem i gdzieś tam pajęczynami. Grasuję wśród obrazów, które piętrzą się na stosach, a wyjmując obraz boję się, czy nie obsunie się ich całe wzgórze. Ten pokój-pracownia, wygląda jak magiczna rupieciarnia, „gabinet czarownicy” – mówię do siebie, ale ona to niestety słyszy. „Tak oto stałam się czarownicą” – uśmiecha się.

W pokoju obok, Adaś – mój przyjaciel z dzieciństwa, ma swoje ważne biuro organizacji, którą stworzył „Primum non nocere”. Walczy z lekarzami, którzy podobno skrzywdzili oso-

biście jego zdrowie i okaleczyli ciała wielu pacjentów, a są w Polsce bezkarni. To prawda, lekarze w Polsce są bezkarni, ale czemu jego „Primum...” sprzymierza się z Radiem Maryja, z innymi populistami. Nawet jeśli sprawa jest słuszna, ale element szaleństwa zabiera jej rację.

Nazajutrz widzę, że całe miasto pokryte jest klepsydrami, wzywającymi do wielkiego wiecu przed Sejmem, pacjentów pokrzywdzonych przez złowrogich lekarzy.

Już tradycyjnie donoszę o nowych bliznach, które niemal co miesiąc znajduję na ciele mojego samochodu. Jak nie ma wielkich dramatów, to staje się nim rysa na karoserii. Niedawno, ktoś zupełnie bezinteresownie przeorał mi ostrym narzędziem maskę, czyli oblicze wozu. Takie zdarzenia są na porządku dziennym. Agresję budzi to co czyste i ładne, należy taki przedmiot doprowadzić do stanu własnej duszy, czyli zabrudzić lub skaleczyć. Samochody stojące na naszych ulicach, te ładne, są więc żywym wyzwaniem, nic dziwnego, że się je kaleczy.

Jak uodpornić się na codzienne chamstwo i rosnącą brutalność życia, nie tracąc wrażliwości i czułości? Ze znajomą piję mrożoną kawę w Horteksie na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. W ciągu pół godziny czterokrotnie nachodzą nas żebracy, niektórych należy nazwać artystami, tak wyrafinowane formy żebrania odgrywają. Ale być może są wśród nich naprawdę potrzebujący? Atakuje nas tak wiele informacji, deklaracji, bodźców. I jak jest coraz trudniej odróżnić naciągaczy od nędzarzy, tak coraz trudniej o wyraźne normy moralne. Wszystko się rozmywa, gubimy się w setkach kanałów telewizji, reklam, a codzienna gazeta jest nie do przeczytania w ciągu dnia. Wszystkiego jest coraz więcej, ale niemal wszystko pod napięciem, żyje coraz krócej, i jest coraz mniej ważne. W epidemii znaczeń, nic nie znaczy wiele. Aby się skupić muszę odłączyć się od kilkunastu aparatów, nie potrafię jednak wyłączyć telefonu i włączyć sekretarki, stuk maszyneryi zaniepokoi mnie bardziej niż głos, który usłyszę. A kiedy odkopię swe biurko z książek i gazet i w końcu skupię się by pisać, moja pierwsza myśl jest, „a właściwie to po co?” Dzisiaj odpowiedź jest: prosta „muszę

uzbierać pieniądze na kabinę prysznicową w moim wiejskim domu”. I pomyśleć, kiedyś byłem gotowy dla wspólnej sprawy pracować za darmo, przez całe lata, a teraz pisząc myślę o toaletowej maszynierii, która zmyje ze mnie stres i absurd miasta. Ale przecież wiem, że to jest kolejne złudzenie. Chcę uciec od siebie, chociaż wiem, że to nie jest możliwe. Świadome wchodzenie w złudzenia, czy nie jest to dojrzała dziecięcość?

Tomasz JASTRUN

Islam i kultura

Olśnienia, jakie przeżyłam w Damaszku, nie da się co prawda porównać do epifanii danej tam świętemu Pawłowi, ale ze świętym Pawłem było częściowo związane. Całkiem niespodziewanie rozciągnęło się ono także na sprawy widziane dotąd przeze mnie z zupełnie innej perspektywy, a mianowicie sprawy islamu, jego kultury i związków z chrześcijaństwem.

Do Damaszku przyjechaliśmy z Kataru, niewielkiego emiratu na Półwyspie Arabskim, który wąskim, piaszczystym językiem liże szmaragdowe wody zatoki zwanej Perską. Po kilku latach pobytu w Katarze przyzwyczałam się widzieć islam i jego miejsce w kulturze i WOBEC kultury przez pryzmat dominującej tu, surowej, zamkniętej, mało tolerancyjnej odmiany tej religii, opartej o zasady wahhabizmu. W osiemnastym wieku, arabski jurysta z Nadzdy (obecnie w Arabii Saudyjskiej), Mohammed ibn 'Abd al-Wahhab założył nową sektę muzułmańską, dając jej za podstawę „sztywny, antimistyczny purytanizm”, jak pisze Bernard Lewis w książce „The Arabs in History” (Hutchinson, London 1975). W swoim myśleniu, Al-Wahhab odwołał się do samych początków islamu w jego najbardziej prymitywnej formie, odrzucając późniejszy rozwój religijnej myśli muzułmańskiej, obrzędów i sztuki wizualnej. Wszystko to uważał bowiem za niezdrowe innowacje, które tylko splamiły czystość oryginalnych wierzeń propagowanych przez samego proroka Mohammeda (w polskiej wersji – Mahometa). Zalecał skrajne uproszczenie religii, modlitwy i życia, co najwyraźniej musiało przemówić do wyobraźni prymitywnych mieszkańców pustyni, jaka

rozciga się na przestrzeni Półwyspu Arabskiego. Wielu przeszło na wahhabizm. Surowość i prostota tego myślenia, beduińska nieufność wobec intelektualnych rozważań i mistycznych uniesień, a także wobec sztuki, estetyki i kultury materialnej – zachowały się tu w niezupełnie szczątkowej postaci do dzisiaj. Idea kultury w całej jej rozciągłości historycznej, etnicznej i etycznej nadal jest w tym myśleniu traktowana nieomal jak dopust Boży raczej niż wyraz twórczych poszukiwań człowieka. Pojęcia humanizmu, tolerancji, edukacji, wielości ludzkich cywilizacji i religii, są pojęciami jakby niezupełnie realnymi, mało przystającymi do biało-czarnych, sztywnych i uproszczonych kategorii, w jakich interpretuje się człowieka i jego egzystencję. Dlatego wizyta w Damaszku, miasta starego jak świat i przez wieki ośrodka krzyżujących się (w czasie krucjat także w dosłownym znaczeniu) cywilizacji, kultur, religii, olśniła mnie zupełnie inną, dotąd mało mi znaną, twarzą islamu.

W Damaszku naszym przewodnikiem po mieście był Mohammed, Palestyńczyk i muzułmanin. Mohammed zawiózł nas najpierw na Via Recta, ulicę Proszą, niedaleko której znajduje się Kaplica Annaniasza i kilka chrześcijańskich kościołów. To Annaniasz miał odszukać Saula z Tarsu i przywrócić mu wzrok. Mohammed, przyzwyczajony do europejskich turystów, gładko recytował wersy... Dziejów Apostolskich. Z ulicy Prostej pojechaliśmy do Bab Kisan obejrzeć Kaplicę św. Pawła postawioną ponoć w tym samym miejscu, gdzie prawie dwa tysiące lat temu uczniowie pomogli Pawłowi w ucieczce przed gniewem pobożnych Żydów, jaki wzbudziły jego nauki o Chrystusie głoszone przez Pawła w synagogach. Po świętym Pawle przysła kolej na słynny meczet Omajjadów, klejnot islamskiej architektury. Mohammed rzeczowo, bez zdziwienia, oburzenia czy pogardy objaśnił, że miejsce, na którym stoi meczet, zawsze było miejscem jakiegoś kultu religijnego. I tak, w IX wieku p.n.e. Aramejczycy wzniesli tu świątynię ku czci swego boga, Hadada, którego w czasach rzymskich zastąpił Jupiter. Potem, w okresie wczesnego chrześcijaństwa stała tu bazylika św. Jana Chrzyciela, a kiedy Damaszek został podbity przez muzułmanów w roku 636, wschodnią część bazyliki przejęto na meczet, zezwalając zresztą chrześcijanom na modlitwy w pozostałym skrzydle

świątyni. Pozwolenie to cofnięto na początku następnego stulecia: Al-Walid, szósty kalif dynastii Omajjadów, postanowił zbudować tu meczet, który świetnością miał przewyższyć wszystkie inne meczety. Meczet zbudowano, jest istotnie wspaniały, a jeden z jego trzech minaretów, ten wzniesiony w południowo-wschodnim rogu, został nazwany imieniem Jezusa. Zgodnie z lokalną tradycją, to tutaj Jezus pojawił się ponownie w dniu Sądu Ostatecznego.

Mohammed zawiózł nas jeszcze za miasto, do wsi Malloulla, o domach jakby przylepionych do stromych zboczy, które schodzą ku wąskiej dolinie. Większość mieszkańców tej wsi to grekokatolicy, choć nie brak i muzułmanów. Mówi się tutaj dialektem aramejskiego, a więc prawdopodobnie językiem, jakim posługiwał się Chrystus. Oprócz grobu świętej Tekli, we wsi znajduje się także małe kościół bizantyjski. W kościele, kiedy zbierze się odpowiednio liczna grupa turystów (a wystarczy i pięć osób), zjawia się gruby mnich i odmawia Ojciec nasz po aramejsku. Mohammed z dumą wskazał nam aramejski kościółek, po czym dyskretnie usunął się gdzieś na bok, abyśmy mogli bez przeszkód poddać się religijnemu wzruszeniu.

Podróż do Damaszku była dla mnie podróżą do źródeł: do pierwszych wieków chrześcijaństwa oraz do początków kultury muzułmańskiej. W sumie przeżyłam tam kilka olśnień: konkretnością i rozległością historii, namacalnym wymiarem starożytnych, bliskowschodnich korzeni cywilizacji chrześcijańskiej, ale i bliskością obu wielkich religii, a także imponującą przeszłością oraz dawną kulturą samego islamu. Islam objawił mi się przy tym jako religia o wiele bardziej tolerancyjna i przyjazna światu niż jej pustylna wersja, znana mi z Półwyspu Arabskiego. Największy podziw wywołały we mnie ślady wspaniałej architektury i dawnej materialnej kultury islamu wywodzącej się z czasów „islamskiego złotego wieku” czyli okresu kilkuset lat świetności po pierwszych podbojach, kiedy na terenie Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz na śródziemnomorskim obszarze północnej Afryki wyrosła kwitnąca muzułmańska cywilizacja arabskojęzyczna.

Przedislamscy Arabowie, pisze Lewis, byli prymitywnymi, niewykształconymi nomadami, bez znajomości pisma, bez śladów kultury formalnej. Udało im się jednak rozwinąć

niezwykle bogaty język, a z nim poezję mówioną (spisaną dopiero w stuleciach tuż przed erą islamską), obfitującą w wyszukane metafory, o zawilej wersyfikacji i wyrafinowanych rymach. Ten język właśnie, wraz z religią muzułmańską narzuconą w czasach pierwszych podbojów, stanowił główny wkład arabskich najeźdźców w nową kulturę bliskowschodnią. „Wkład” – gdyż kultura owa nie została wcale przyniesiona w całości i gotowej formie przez beduińskich agresorów z Pustyni Arabskiej, gdzie narodził się islam. Pojawiła się ona raczej w rezultacie ich militarnego zwycięstwa i opanowania cywilizacji zastanych, istniejących w zasięgu ich podbojów. Cywilizacje te były mieszanką kultury perskiej, wschodniochrześcijańskiej, żydowskiej, resztek greckiej i rzymskiej. W konsekwencji wojennych tryumfów muzułmanów ich religia wraz z językiem arabskim zdominowały, a zarazem zjednoczyły wielorakie kultury oraz narody i plemiona, jakie zamieszkiwały ogromne obszary zagarniętych przez Arabów krajów Bliskiego Wschodu i północnej Afryki.

Na arabski zaczęto tłumaczyć dzieła z innych języków, dzięki czemu zresztą wiele tekstów starożytnych przetrwało do naszych czasów. Pojawiły się arabskie traktaty historyczne i geograficzne, rozkwitła poezja, literatura, sztuka, filozofia, nauki ścisłe. Arabowie szeroko czerpali zarówno z kultur podbitych, jak i znajdujących się w bliskim sąsiedztwie swojego imperium. Szczególną inspirację stanowiło tutaj Bizancjum, nigdy nie zdobyte przez Arabów, a podbite dopiero całe wieki później przez muzułmańską Turcję. Artystyczne osiągnięcia bizantyjskich malarzy, złotników, poetów, muzyków oraz rozwój nauk takich jak medycyna czy filozofia, stały się dla arabskich muzułmanów fundamentem ich nowo powstającej cywilizacji, a płynące stamtąd wpływy greckie w postaci tłumaczeń dzieł filozofów i uczonych – Platona, Arystotelesa, Euklidesa, Archimedesza, Galena, Hipokratesa i innych – okazały się znaczącym czynnikiem kształtującym nie tylko wczesną kulturę islamu, ale nawet islamską teologię. Według muzułmańskich przekazów historycznych, to bizantyjscy rzemieślnicy zdobyli meczet Omajjadów w Damaszku i meczet Proroka w Medynie. Z kolei starożytna Persja, która wraz z religią Zoroastra i monarchią Sasanidów upadła – militarnie, nie kulturowo – pod naporem arabskich najeźdźców z pustyni,

wniosła do islamskiej cywilizacji arabskojęzycznej składniki tak istotne jak intelektualne i praktyczne ramy polityki i etyki, nie mówiąc już o tym, że przydała jej szlif i wyrafinowania w dziedzinie kuchni, wyposażenia domów, gier i sportów, administracji i sztuki wojennej. Inne, już nie tak znaczące wpływy pochodziły z kultury żydowskiej oraz z chrześcijaństwa, zdomowionego w Syrii, Palestynie, Anatolii, w koptyjskiej części Egiptu, a także oczywiście w Hiszpanii, na Sycylii i we Włoszech.

Cywilizacja islamska, z jej bogato zdobioną architekturą i sztukami wizualnymi, ze świetnie prosperującymi miastami, ośrodkami handlu, edukacji, kultury – takimi jak Bagdad, Kair, Kordoba, Damaszek – stanowiła kontrast dla zacofanej Europy okresu wieków ciemnych (*Dark Ages*). Były to czasy rozkwitu arabskojęzycznego islamu, okres klasyczny, złoty wiek tej kultury – którego apogeum przypadło na dziesiąte i jedenaste stulecie naszej ery. Przymiotnik „arabskojęzyczny” jest tu nader znaczący, gdyż imperium muzułmańskie rządzone było wówczas z Bagdadu przez persko-arabską dynastię Abbasydów, a sam język arabski – wyszlifowany i udoskonalony, silnie wpływający na inne języki tego regionu świata – stał się językiem elit. Język ten chętnie wchłaniał też obce elementy leksykalno-syntaktyczne zapożyczone od okolicznych języków semickich, brane również z perskiego i tureckiego, a nawet z urdu i swahili. Przy tym dwustronnym działaniu lingwistycznym, arabski przez kilka wieków pozostawał głównym i oficjalnym językiem islamskiego imperium – aż do czasów upadku świetności potęgi arabskojęzycznej, którą wyparła Turcja, zastępując arabski tureckim i usuwając go na społeczne i polityczne peryferie. Stołeczny Bagdad też stopniowo utracił status centralnego miasta imperium na rzecz niesłyszanie prężnego Kairu, aby w końcu ulec najazdom hord tatarskich w roku 1258. Rok ten przyjmowany jest za symboliczną datę końca złotego wieku arabskiej cywilizacji islamskiej, choć już przed podbojami tatarskimi muzułmańskie imperium Arabów i zarabizowanych Persów zaczęło cierpieć na polityczny niedowład. Niedowład przeszedł w kompletny paraliż, aby zakończyć się upadkiem kalifatu Abbasydów. Władza nad imperium muzułmańskim znalazła się w rękach tzw. Mameluków, specjalnie wyszkolonych niewol-

ników pochodzenia tureckiego, których za czasów Abbasydów brano do wojska, a którzy stopniowo przejęli kontrolę nad armią i całym islamskim imperium, głównie obszarami należącymi do Egiptu i Syrii. Mamelucy sprawowali tam władzę do czasów podbojów ottomańskich w latach 1516-17. W otomańskim państwie Turków język arabski zupełnie stracił na znaczeniu, a sami Arabowie, choć przecież współmuzułmanie, zostali zepchnięci do roli podrzędnej. Potęga Turków przetrwała parę stuleci aż do końca wieku siedemnastego, kiedy po wiekach zmagania z Turkami i poważnego zagrożenia z ich strony, w bitwie pod Wiedniem chrześcijańska Europa zadała im ostateczny cios, aby przez następnych 200 lat już tylko przyglądać się powolnej śmierci ottomańskiego imperium, dogorywającego pod rosnącym naciskiem politycznym i gospodarczym Zachodu.

Kulturowo Turcy oparli się na wcześniejszych osiągnięciach cywilizacji islamskiej – czyli arabsko-perskiej, choć ich potęga bazowała na elemencie militarnym, nie zaś artystycznym czy naukowym. Turecy żołnierze słynęli z bitności, karności, okrucieństwa, ich władcy z przepychu (perska spuścizna), chciwości, potem dekadencji, lenistwa, przekupstwa. Swoją drogą, to te właśnie ich cechy przyczyniły się do wytworzenia w Europie obrazu muzułmanina jako krwiożerczego barbarzyńcy, a zarazem fanatyka i moralnego degenerata; obrazu z pewnością jednostronnego, jak pisał E. Said w książce „Orientalizm”, ale w jakimś stopniu uzasadnionego historycznie. Nie przyczyniły się do wzajemnego zrozumienia ani tolerancji, choć długo karmiły zachodnią fascynację Orientem, widzianym na ogół z daleka jako egzotyczny, a zarazem potworny owad. Arabowie, dyskryminowani przez Turków, także w Europie postrzegani byli zazwyczaj przez pryzmat ich uzależnienia od Turcji i niemożności samodzielnego wyrwania się spod okupacji. Religia muzułmańska, a więc religia zarówno Turków, jak i Arabów, pozostała dla Europy religią wrogą, chociaż z upływem czasu straciła wymiar poważnego zagrożenia militarnego, stając się w oczach europejskich z jednej strony przeżytkiem przeszłości nie wnoszącym nic nowego do dynamicznie rozwijającej się kultury zachodniej, a z drugiej – w formie islamskiego terroryzmu – czymś politycznie nieakceptowalnym, nadającym się wyłącznie do eliminacji.

Po upadku ottomańskiej Turcji i uzyskaniu niezależności przez poprzednio podbite kraje arabskie, język arabski, z języka pogardzanego jako mowa niewykształconych mas, znowu stał się oficjalnym językiem narodowym, tym razem już osobnych, niepodległych państw od Maroka do Omanu. Ani cywilizacja arabskojęzyczna, ani islam w wydaniu arabskim, nie odzyskały jednak nigdy dawnego blasku, którym lśniły w ciągu kilku wieków, ożywiając stworzoną przez nie wówczas kulturę. Arabowie do dzisiaj skłonni są Turkom przypisywać winę za wszelkie złe strony ich obecnej sytuacji: za „polityczne represje, stagnację kulturalną, zacofanie gospodarcze, itp.”, jak pisze C.E. Bosworth w eseju „The historical background of Islamic civilisation”, zamieszczonym w zbiorowej publikacji „Islamic Civilisation”. I dalej: „Jednak ta uproszczona interpretacja przebiegu arabskiej historii ignoruje fakt, że podobne trendy nawiedziły również inne obszary islamskiego świata, takie jak muzułmańskie kresy zachodnie, Persję oraz Indie i że prawdopodobne jest, iż od początku były one wbudowane w tkankę społeczeństwa islamskiego”.

W tym momencie pojawia się interesujące pytanie: dlaczego arabskojęzyczna cywilizacja islamska upadła? Dlaczego nie dane jej było podnieść się z tego upadku? Pytanie jest interesujące z tego względu, że świat arabski z jego religią nadal istnieje i należy do teraźniejszości podobnie jak świat chrześcijańskiego Zachodu – a w przeciwieństwie na przykład do świata starożytnej cywilizacji egipskiej, greckiej czy rzymskiej, które umarły śmiercią mniej czy bardziej naturalną, aby nigdy nie wrócić inaczej niż w formie kulturowej inspiracji. Dlaczego zatem wydaje się, że istniejący obecnie islamski świat arabski nie ma nam – ludziom z pogranicza tysięcy – nic do zaoferowania? Czy jest to problem arabski czy islamski, czy też... arabsko-islamski? Obracając się od lat w kręgu rzeczywistości arabskiej mam do tych pytań stosunek ambiwalentny, niekiedy zabarwiony negatywną emocją, czasami bardziej wyrozumiałą, nawet pełną empatii. Widzę kolejne roczniki arabskich studentów kształcących się na imponującym architektonicznie uniwersytecie, który wybudowano za własne (ogromne!) pieniądze, ale według planów brytyjskich i gdzie uczą się – przynajmniej w założeniu – według standardów zachodnich, lecz gdzie wyniki tego nauczania są

nader wątpliwe. Zderzają się tutaj bowiem coraz silniej dwa prądy: prąd rodzimy – arabski, beduiński, islamski – z mentalnością okcydentalną, z uznawanymi przez nią wartościami, z postępem, indywidualizmem, upartym kwestionowaniem *status quo*, kwestionowaniem, które jest motorem twórczego ruchu naprzód. Świat arabskiego islamu jest natomiast światem intelektualnie statycznym, światem ludzi, którzy znaleźli Odpowiedź. Ich umysły znajdują się w stanie spoczynku. Bo też i nie ma czego szukać, o co pytać. Wyjaśnienie wszelkich wątpliwości znajduje się przecież w Koranie. Dlatego w sercu wiernego nie ma prawa gościć niepokój. Ten sam niepokój wszakże, chociaż przecież męczący, a nawet bolesny czy wręcz destrukcyjny, od stuleci jednak inspiruje do działania człowieka Zachodu. I tak, popychany wewnętrznym niepokojem człowiek ten szuka nowych rozwiązań, przekracza granice i bariery, odsuwa horyzonty niemożliwego. Tworzy nowe światy, nowe formy i struktury, rozwija się, posuwa się do przodu, nawet jeśli czasami, zagubiony, kręci się w kółko jak pies za własnym ogonem. Nigdy nie stoi jednak w miejscu.

W roku 1930, w Kairze opublikowana została książka pod tytułem „Dlaczego muzułmanie stali się zacofani, podczas gdy inni poszli naprzód?” (Why Have the Muslims Become Backward While Others Have Advanced?), napisana przez Egipcjanina, Shakiba Arslana. Za nią posypały się inne książki, broszury, artykuły – wszystkie na ten sam temat, powracający niczym bumerang: dlaczego my, Arabowie i muzułmanie, znaleźliśmy się w tyle za Europą, w tyle za resztą świata? W publikacjach tych powtarzają się słowa takie jak dekadencja, zacofanie, choroba. W jednym z najbardziej krytycznych opracowań („Critique of Religious Thought”, Sadiq al-Azm, 1969) czytamy, że Arabowie łatwo dadzą się pokonać Izraelowi, o ile nadal charakteryzować ich będą „opóźnione w rozwoju nawyki myślowe, beduińskie i feudalne wartości, zacofane stosunki międzyludzkie, obskuranckie, kwietystyczne poglądy” – a wszystko to, według autora powyższych słów, uwarunkowane religią islamu (cyt. za: „The Closed Circle”, David Pryce-Jones, Paladin, London, 1990). Sadiq al-Azm był syryjskim intelektualistą o marksistowskich poglądach, pochodzącym przy tym ze znanej i zamożnej rodziny z Damaszku. Nawiasem mówiąc, za swoje przekonania i krytyczny

stosunek do islamu stanął przed libańskim sądem, a chociaż uniknął kary więzienia, to i tak dłuższy czas mieszkał za granicą. Propagujący radykalnie sekularne idee al-Azm nie był osamotniony w swojej negatywnej ocenie oddziaływania islamu na umysłowość arabską. Z podobnego założenia wyszli też inni: Atatürk, twórca nowoczesnego, świeckiego państwa tureckiego, Nasser w Egipcie, partia Baath w Syrii i Iraku, szach Iranu Mohammed Reza. Jednak większość arabskich intelektualistów islamskich kierowała swoje myślenie w odmienną stronę: przyznając zacofanie cywilizacyjne i technologiczne świata muzułmańskiego, twierdziła, że winę za nie ponosi... odstępianie od autentycznych wartości islamu i załeczeń koranicznych. „...Umiejętności techniczne mają potencjalnie uniwersalny charakter, a ich nabycie zależy od określonych obyczajów moralnych oraz zasad intelektualnych. Gdyby muzułmanie je posiadali, to z łatwością nabyliby umiejętności techniczne; a przecież zwyczaje te i zasady faktycznie zawarte są w Koranie” („Arabic Thought”, Albert Hourani, cyt. za: „The Closed Circle”, D. Pryce-Jones). Ta linia rozumowania jest wśród islamistów bardzo rozpowszechniona. Wystarczy jednak bliżej przyjrzeć się stosunkom panującym w krajach, które system państwa i rządów oparły na dosłownie rozumianym Koranie – jak Arabia Saudyjska czy Iran – aby zauważyć oczywiste braki i niedomagania takiego myślenia. Naturalnie, można byłoby się upierać, że braki owe widać z perspektywy standardów zachodnich, natomiast z punktu widzenia kultury i tradycji tych krajów wszystko jest w porządku, czyli tak jak powinno być. Jednakże najnowsze fale protestów społecznych w Iranie, oburzenie kobiet kuwejskich, którym odmówiono prawa głosu w tegorocznej elekcji, narastające niezadowolenie części społeczeństwa saudyjskiego – wszystkie te zjawiska wskazują na to, że standardy zachodnie są bardziej uniwersalne niż chcieliby tego z jednej strony islamscy fundamentaliści, a z drugiej niektórzy politycznie poprawni publicyści i intelektualiści europejscy czy amerykańscy.

Istnieje jednak wspólny czynnik, łączący obydwie szkoły myślenia politycznego: islamistów nawołujących do powrotu do państwa koranicznego, opartego na dosłownej interpretacji Koranu i prawie *shari'a* oraz mniejszości „postępowców”,

którzy postulują – zależnie od konkretnej orientacji ideologicznej – reformy, rewolucję, westernizację lub sekularyzację muzułmańskiego świata. Czynnikiem tym, jak pisze David Pryce-Jones w cytowanej już książce „The Closed Circle”, jest odwoływanie się do wyidealizowanej, mitycznej przeszłości arabskiej i islamskiej, przeszłości, która została unicestwiona, ustępując miejsca obecnemu okresowi cywilizacyjnej zapaści. Odpowiedzialnością za koniec „złotej ery” i ponurą teraźniejszość obarcza się, jak już wspomniano, Turków, dalej Anglików, Francuzów, Niemców czyli kolonializm i imperializm europejski, a także, w kategoriach bardziej generalnych, materializm i nacjonalizm. Żadna jednak z interpretacji nie wychodzi z konstruktywną propozycją, jak sprostać zaistniałej sytuacji, jak zmienić obecny status odtwórcy i biorcy, aby stać się twórcą i dawcą wartości. Nie inspirując do tworzenia nowych idei, minioną świetność cywilizacji islamsko-arabskiej działa raczej jak anestetyk, a zarazem środek nasenny. („*This talk of Oriental culture, Islamic civilization, the sciences of the Arabs was repeated in every writing, and on all occasions in order to anaesthetize the nation, in order to prevent it from joining the stream of life of the West passing us near by. In addition to the thick and black shroud of ignorance laid upon the nation, we had the twofold ignorance to boast of our condition and to despise Europe...*”, Huseyin Cahit, cyt. za: „The Closed Circle”).

W konsekwencji jednostronnego gloryfikowania przeszłości dochodzi się do sytuacji, gdzie powodem do dumy wydaje się dla muzułmanów sam fakt, iż islam trwa w niezmiętej postaci od ponad czternastu stuleci. Europejczyk wzdyga się na myśl o średniowiecznej skazie bezruchu, dogmatyzmu, nietolerancji. Niezmiennność islamu oznacza dla niego odwoływanie się do idei, których siła oddziaływania dawno przeżyła się i wyczerpała, a którym nie dane jeszcze było się odnowić poprzez wysiłek nowatorskiej myśli ludzkiej i zmiany, jakie mogłaby ona zapewne wprowadzić. Nie chodzi tu nawet w tej chwili o konkretne przemiany socjo-polityczne czy kulturowe (jak na przykład stosunek do kobiet, stosunek do sztuki czy edukacji – te bowiem łatwo wprowadzić na papierze, dekretem z góry), lecz o nowe prądy intelektualne, o otwarcie się nie tylko na materialne zdobycze

Zachodu: dzinsy, coca-colę, telefony komórkowe itp., ale i na świat nowych wartości; tych wartości, które przecież dały Zachodowi niesłychaną przewagę w rozwoju nad światem islamu. Islamowi wyraźnie potrzebne jest jego własne Odrodzenie, może na kształt europejskiego Renesansu sprzed pięciu wieków. Zważywszy przy tym, że według kalendarza muzułmańskiego mamy rok 1420, to z historycznego punktu widzenia najwyższa już pora na nową epokę i nowe perspektywy, o ile islam pragnie stać się kulturowym partnerem Zachodu i wnieść do dorobku cywilizacyjnego świata coś jeszcze poza wspaniałą lecz martwą przeszłością.

Powróćmy jeszcze raz do historii: otóż bezdyskusyjny jest fakt, iż Renesans europejski był w dosłownym znaczeniu odrodzeniem się duchowym, intelektualnym, artystycznym i technologicznym Europy. Wolność od dogmatu, możliwość realizacji coraz śmielszych projektów i zamierzeń naukowych, artystycznych, możliwość eksploracji, ekspansja handlu i nowe rozwiązania technologiczne – stały się, od szesnastego wieku począwszy, fundamentem, jaki zapewnił Europie nieznaną dotąd w historii siłę i dynamikę rozwoju. Łącząc te wartości z elementami mniej chwalebnyymi, niekoniecznie godnymi naśladowania – agresją, przemocą, wciąż udoskonalaną machiną wojenną, systemem kolonialnej represji i eksploatacji innych narodów, najpierw sama Europa, potem Europa i Ameryka, czyli obszar rozumiany jako Zachód, dopracował się pozycji, z której zmusił do wejścia na swoją orbitę ekonomiczną, polityczną i kulturalną niemal cały świat.

Tymczasem, po załamaniu się potęgi ottomańskiej, a nawet jeszcze wcześniej, świat islamu pogrążył się w stanie dezorganizacji, korupcji, upadku standardów moralnych, zastoju myśli, nauki, gospodarki i rolnictwa, które tonęło w feudalnych, przedpotopowych układach. Inwazja Egiptu przez Napoleona w roku 1798 ostatecznie rozbiła mit o niezwyciężoności świata islamu i ugruntowała pozycję Zachodu. Dla arabskiego świata islamu miało to ogromne konsekwencje polityczne, ekonomiczne i kulturalne, konsekwencje trwające do dnia dzisiejszego.

Widziana w szerszym kontekście historycznym sprawa wygląda tak, że w pierwszych wiekach rozwoju, kwitnąca wówczas cywilizacja islamska oparła się, jak opisano to po-

wyżej, na intelektualnych i cywilizacyjnych zdobyczach cywilizacji podbitych przez muzułmańskich najeźdźców. Chętnie, a nawet entuzjastycznie, wchłonęła je i zaadaptowała na swoje potrzeby. Po jakimś czasie jednak stare źródła wyschły. Pozostał sam islam ze swoją świętą księgą, Koranem. Koran natomiast jest zasadniczo zbiorem przepisów postępowania: praktycznym, prostym i jasnym. „Muzułmanin wie dokładnie, co ma robić, a czego nie robić. W naukach religijnych islamu zawiera się szereg wyraźnie określonych zakazów. Istnieją także pewne fundamentalne obowiązki, jakie muzułmanin ma do spełnienia: jest to tak zwanych pięć filarów islamu. (...) Niczego więcej się od niego nie oczekuje; nie istnieje dążenie do nieosiągalnych ideałów, nie ma potrzeby doskonałości, nie ma wymagania, aby człowiek próbował upodobnić się do Boga.” (Charles J. Adams, „Islamic faith”, w: „Islamic Civilisation”). Wolna czy chociażby metaforyczna interpretacja Koranu jest bluźnierstwem karanym śmiercią. Jakakolwiek krytyka – religii, prawa koranicznego, władzy – jest niedopuszczalna. Wszelka umysłowa działalność ludzka bowiem może być tylko wariacją na jeden temat: mianowicie na temat wyższości islamu nad innymi religiami, kulturami, ideami. Człowiek zatem nie nastawia się na rozwój, którego pierwszym warunkiem jest zdolność do samokrytyki, ale na zachowywanie zaleceń Koranu.

Rozpatrując kwestię islamu w tym świetle wydaje się, że religia ta już dała światu to, co miała mu do dania. W swojej obecnej postaci nie jest ona religią, jaka mogłaby zainspirować współczesny świat, nie tylko zresztą chrześcijański świat zachodni, ale i na przykład wielomilionowy świat buddyzmu. Lama Ole Nydahl, Duńczyk, świecki nauczyciel byddyzmu tybetańskiego, zapytany przez *Wysokie Obcasy* (nr 28, 9.10.1999) o to, co byłoby dla niego największym nieszczęściem, odpowiada: „Islam w Europie”. Z racji na swój statyczny, zachowawczy, antyliberalny i mało tolerancyjny charakter, nieszczęściem byłby też islam w Ameryce i w Chinach, w Australii i w Indiach. O ile inne kraje i religie, naturalnie z wyjątkami, zezwalają na koegzystencję różnych systemów wierzeń – Indie są tu najlepszym przykładem, choć nadal występują tam regionalne konflikty na tle nietolerancji religijnej – o tyle na przykład w krajach ściśle koranicznych,

jak Arabia Saudyjska, na inne religie po prostu nie ma miejsca i za aktywne uprawianie innych form wierzeń jest się surowo karanym. I to bez względu na fakt, iż sam Koran uznaje Jezusa (choć nie w boskiej formie, a tylko jako proroka Bożego), a chrześcijan nazywa „ludźmi Księgi”.

Nietolerancja religijna idzie w parze z wszelką inną. Sprawa pisarza Salmana Rushdiego i ceny wyznaczonej za jego głowę za domniemane bluźnierstwo ciągnie się od ponad dziesięciu lat. Są też inni pisarze, dziennikarze, ludzie kultury, zagrożeni muzułmańskim dogmatyzmem, a nie tak znani, jak Rushdie: bangladeski poeta Shamsur Rahman zostaje brutalnie zaatakowany przez islamistów za jego krytyczne stanowisko wobec fundamentalizmu (styczeń 1999); pisarka Taslima Nasreen, również narodowości bangladeskiej, zmuszona do pozostawania w ukryciu ze względu na groźbę śmierci z rąk wyznawców Allaha, którym nie podobają się jej książki (jesień 1998).

Podsumowując refleksje zainspirowane krótką wizytą w Syrii, dochodzę do wniosku, że pozytywny obraz islamu, jaki stamtąd wyniosłam – w przeciwieństwie do islamu fundamentalistycznych reżimów znad Zatoki Perskiej – wynika chyba tylko z faktu, iż religia ta została w jakiś sposób zmodyfikowana, złagodzona, „ucywilizowana” przez wielowiekową obecność chrześcijaństwa oraz przeszłość, w której współistniało obok siebie wiele odrębnych kultur. Natomiast ogromna część Półwyspu Arabskiego zamieszkiwana była niegdyś wyłącznie przez prymitywne ludy pustynnych koczowników. Chrześcijaństwo nigdy się tutaj nie zadomowiło, nie istniał też wielokulturowy wymiar życia, wszystko było tak samo biedne i, być może w obronie przed morderczą pustynią, zamknięte w sobie. To tutaj właśnie narodził się islam, który zapożyczył co prawda wiele koncepcji z judaizmu i chrześcijaństwa, ale w dużej mierze oparł się na beduińskich tradycjach plemiennych. Idąc za tokiem takiego myślenia, zaczyna się wydawać, że islam sam z siebie nie zdobędzie się na wewnętrzne odrodzenie, że potrzebne mu będzie otwarcie się na duchowy, intelektualny, moralny bodziec z zewnątrz, czyli z Zachodu. Na razie jednak wrota do tej jaskini są szczelnie zamknięte.

Czytając niedawno „Heban” Ryszarda Kapuścińskiego

natknęłam się na słowa odnoszące się wprawdzie do sytuacji na kontynencie afrykańskim, ale także adekwatne również w kontekście Arabów i islamu. Słowa te stanowią wymowny komentarz do pozycji kultur nie-zachodnich i sądzę, że warto nimi zakończyć powyższe rozważania:

„...Siła Europy i jej kultury, w przeciwieństwie do innych kultur, leży w jej zdolności do krytyki, przede wszystkim do autokrytyki. W jej sztuce analizy i dociekania, w jej ciągłych poszukiwaniach, w jej niepokoju. Umysł europejski uznaje, że ma granice, akceptuje swoją niedoskonałość, jest sceptyczny, wątpi, stawia znaki zapytania. W innych kulturach tego ducha krytyki nie ma. Więcej – są one skłonne do pychy, do uznawania wszystkiego, co własne, za doskonałe, słowem – są one w stosunku do siebie bezkrytyczne. Winą za całe zło obarczają wyłącznie innych, inne siły (spiski, agentów, obcą dominację w różnych formach). Wszelką krytykę uznają za złośliwy atak, za przejaw dyskryminacji, za rasizm itd. Przedstawiciele tych kultur traktują krytykę jako osobistą obrazę, jako rozmyślną próbę ich ponizenia, nawet jako formę znęcania się. Jeżeli powiedzieć im, że miasto jest brudne, traktują to, jakby ktoś powiedział, że mają brudne uszy, szyje, paznokcie itd. Zamiast ducha autokrytyki noszą w sobie pełno uraz, kompleksów, zawiści, zadrzańień, dąsów, manii. To powoduje, że są kulturowo, trwale, strukturalnie niezdolni do postępu, do wytworzenia w sobie, wewnątrz, woli przemiany i rozwoju.” (Ryszard Kapuściński, „Heban”, Czytelnik, Warszawa 1998, str. 239-240.)

Magdalena ROSTRON

„Biełomorkanał”, czyli apologia rabskiego trudu

„Rabot’ – rabstwo, niewola, służenie, trud; stađ rabotati – być w rabstwie, służyć, trudzić się; I rabot’nik – rab, robotnik (zwłaszcza niewolny, poddany)”.

Historyczno-etymologiczny słownik języka rosyjskiego.

1. Historia tej książki jest unikalna, jak i sama książka – do niedawna 17 sierpnia 1933 roku, wkrótce po zakończeniu budowy Biełomorkanału, na przejażdżkę po nim zaproszono 120 sowieckich pisarzy, pod wodzą Gorkiego. Podczas przejażdżki pisarze mieli się zapoznać z kolektywnym trudem budowy Kanału, żeby następnie – kolektywnym trudem pisarskim – stworzyć dzieło o tej budowie. Lecz nie wszyscy wezwani na przejażdżkę dojrżeli do pracy w twórczym *trudkolektywie*, niektórzy musieli przejść najpierw *pierie-kowkę* na stalinowskich budowach... Do brygady Gorkiego wybrano zaledwie 36, w tym: Michaiła Zoszczenkę i Walentina Katajewa, Wiktora Szkłowskiego, Aleksieja Tołstoja, oraz Brunona Jasińskiego. W efekcie ich pracy powstała książka „Biełomorsko-Bałyjskij Kanał im. Stalina” (dalej „Biełomorkanał”) – dzieło niezwykle, bez analogii w literaturze światowej.

Książka, poświęcona XVII Zjazdowi Partii Bolszewików, została napisana i wydrukowana w rekordowym (*udarnym*) tempie – pół roku. Foliał o ponad 600 stronicach, formatem

przypominający (Sołżenicynowi) cerkiewne Ewangelie, z barelfem Stalina na okładce, był dziełem kolektywu pracowników typografii im. Worowskiego; dziełem „...według najlepszych z najlepszych europejskich wzorów sztuki drukarskiej” – jak napisano w branżowej gazecie sowieckich drukarzy *Udarnik*.

Trzy lata później naczelnik OGPU Jagoda, jeden z głównych bohaterów tej książki, został ogłoszony *wragom naroda...* Księgę wycofywano z bibliotek, i niszczone, ludzie pozbywali się jej z prywatnych księgozbiorów, nie chcąc ryzykować wyroku. „Tylko pojedyncze egzemplarze przetrwały do naszych dni, i nie ma nadziei na jej wznowienie...” – żalił się Aleksander Sołżenicyn w „Archipelagu Gułag”. Zdawało się, że „Biełomorkanał” przepadł w niepamięć.

Tymczasem książkę wznowiono! W 1998 roku! Anonimowo, to znaczy bez ujawniania wydawcy. Ale za to szykownie, w tym samym formacie, w oprawie z imitacji krasnej skóry, i z czarno-złotym szkicem Kanału na okładce. „Książka, którą trzymacie w ręku – wyjaśnia anonimowy Wydawca – nie była wznawiana 60 lat. Przeszłość się mści, jeśli o niej zapominamy. Dlatego przeczytajcie tę książkę i wspomnijcie, że posiadamy przeszłość, nie kłóćmy się – dobrą czy złą, to nasza przeszłość i powinniśmy ją znać. Inaczej, cóż z nas za naród – bez przeszłości, a co za tym idzie – i bez przyszłości”.

„Biełomorkanał” – według Hellera – można nazwać Encyklopedią sowiecką epoki „wielkiego przełomu”. Przede wszystkim jest to monografia największej stalinowskiej budowy pierwszej pięciolatki, gdzie w detalach pokazano warunki pracy, stan techniki i poziom myśli technicznej. Po wtóre – to jedyny oficjalny (czyli aprobowany przez OGPU) dokument o strukturze, formie i celach sowieckich łągów. Po trzecie – dzięki skoncentrowaniu na budowie Kanału przedstawiciele wszystkich warstw społecznych ówczesnych Sowietów, otrzymaliśmy rys zbiorowy człeka sowieckiego. Po czwarte – tam sformułowano, niejako w kwintesencji, idee *pieriekowki* i *kolektywizmu*, tj. kamienie węgielne ideologii

rabstwa XX w. I po piątę – pisarze wystawiali świadectwo sobie, oraz literaturze tamtych czasów.

I tak, książka daje nam panoramiczny obraz wielkiej budowy, pokazując ją z różnych perspektyw i punktów widzenia: projektantów, inżynierów i kierowników robót, brygadzystów i przodowników pracy, drwali, tragarzy, kopaczy, wiertaczy, koniuchów, mechaników, spawaczy, kierowców i obiboków. Możemy prześledzić dzieje projektu, porównać różne jego warianty, zapoznać się szczegółowo z organizacją ogromnego przedsięwzięcia, jakim było rycie Kanału w kraju skał, błot i tajgi, i z jego buchalterią, z techniką wysadzania karelskiego granitu i kruszenia anabazy, z metodą regulacji jezior i rzek, zrozumieć zasady funkcjonowania zapór i upustów wodnych, pojąć, czemu służy budowano dwukomotowe, dźwigi robiono z drewna, zaś *rabsiła* bardziej się opłacała, niż koń.

A zarazem mamy okazję zajrzeć w mechanizm funkcjonowania owej „szkoły trudu, jaką był łągier sowiecki” (formuła Feliksa Dzierżyńskiego), zobaczyć, na czym polegała tam „samoobsługa”, pozwalająca 37 czekistom pilnować ponad 100.000 zeka i rola „gospodarza”, sposobnego zmusić ludzi do pracy, jak wyglądała „samorządność” w *trudkolektywach* i „współzawodnictwo” w pracy, i jak wykorzystywano czas wolny... Oglądamy łągier z samego początku („Płaska, pustynna równina, potężne sosny. Na prawo – rzeka, na lewo – rzeka, wokół – błota i topiele, i pięć lat trzeba wypatrywać, by znaleźć ścieżkę. Przy wielkich, pierwotnych ogniskach rozbijają w pośpiechu namioty i stawiają szałas, bo namiotów dla wszystkich nie wystarcza, a transporty ciągle przybywają, przybywają...”), poprzez powstawanie kolejnych *łaggorodków*, łagpunktów i komandirowek, aż do ostatniego zlotu przodowników pracy, na którym wystąpił Gorki i pozdrowił czekistów za ich zadziwiającą robotę, i mądrą partię, i jej wodza – żelaznego człowieka, towarzysza Stalina.

Na szczególną uwagę zasługują znakomite portrety budowniczych Kanału, czy to będą czekaści Uspieński i Bierman, czy naczelnik budowy Frenkiel (turecki Żyd z Konstantynopola, który zrobił oszołamiającą karierę w Sowietach, od prostego więźnia do głównego doradcy Stalina d/s wyko-

rzystania rabskiego trudu przy budowie socjalizmu w ZSSR), czy wory – jak Abram Isaakowicz Rottenberg, któremu poświęcono w książce oddzielny rozdział („Historia jednej pieriekowki”, jedyny rozdział napisany przez jednego autora, Zoszczenkę), lub Aniuta Wyrwij Oko, czy też inżynierowie Wiaziemski, Zubrik, Żuk... Możemy przeczytać spowiedź wochrowca i kurwy, życiorys kułaka z Ukrainy, muzyka z Powołża i nacmena z Kazachstanu, posłuchać czastuszek w wykonaniu członków agitbrygady, mów uroczystych, tudzież błatnej fieni.

Słowem, otrzymaliśmy bedeker po „łagiernej cywilizacji”.

3.

Lecz kluczem do „Biełomorkanału” jest filozofia kolektywizmu, przeciwstawiona indywidualizmowi wszelkiej maści, zwłaszcza w jego burżuazyjnym wcieleniu. Książka opowiada o „...zwycięstwie kolektywnego zorganizowanego rozumu nad różnorodnymi siłami przyrody i o przewadze niewielkiej grupy ludzi, zdyscyplinowanych ideą komunizmu, nad dziesiątkami tysięcy socjalno-wrednych jednostek”, o trudkolektywach, w których realizuje się idea *pieriekowki*, polegająca na wyplenianiu „... z półdzikich bałwochwalców prywatnej własności ich egoistycznego ‘ja’ pod czujnym okiem OGPU”, i o kolektywnej świadomości, która się przy tym rodzi i tak dalej...

Nietrudno zauważyć, iż filozofia „Biełomorkanału”, choć sformułowana prosto, by nie powiedzieć prostacko, w istocie rzeczy wpisuje się w tradycję myśli rosyjskiej, której korzenie uchodzą głęboko w średniowiecze – do prawosławnych monasterów, poprzedników GUŁAG-u w kolonizowaniu ruskiej Północy... Główną cnotą w nich było *postuszanie*, które często osiągano absurdalną pracą, na przykład przelewaniem wody z przerębla do przerębla, lub sadzeniem trawy do góry korzeniami, aby w ten sposób złamać „ja” posłusznika i podważyć jego wiarę w zdrowy rozsądek. Za Iwana Groźnego powstała doktryna „państwa-monasteru”, autorstwa Józefa Sanina z Wołokołamaska, według niej całe Księstwo Moskiewskie zostało uznane za rodzaj wielkiego

monasteru pod zwierzchnictwem cara-archimandryty. Zauważę, że jednym z głównych zadań monasterów było trzymanie pod strażą inaczej myślących, i przez *postuszanie* oraz trud sprowadzania ich na drogę prawdy. Stalin, wykorzystując pomysł, zamienił państwo w... zonę pod okiem generallissimusa-*nadziratiela*, a Maksym Gorki we wstępie do „Biełomorkanału” porównywał czekistów do monachów.

Wiele z elementów tzw. „ruskiej idei”, wypracowanej w monasterach, przeniknęło później do świeckiej myśli filozoficznej, zwłaszcza jej słowiańskich powinowactw: od Chomiakowa i Kiriejewskiego do Boncz-Brujewicza i Lenina... takie pojęcia, jak *obszczina* czy *sobornost’*, przeciwstawiane zachodniemu indywidualizmowi, utożsamianemu z mieszczańskim egoizmem i formalizmem prawnym (a w monasterach z grzechem *gordyni*, czyli pychy) nie tylko istniały od dawna w repertuarze filozofów rosyjskich, lecz były dowodem na odmienną od Zachodu drogę Rosji – *ruskij put’*. Potwierdzenia dlań szukano w archaicznych wspólnotach chłopskich Północnej Rusi, w jej *arteli* – rzekomo najbardziej odpowiedniej dla północnych, surowych warunków metodzie kolektywnej pracy, oraz *miru* – specyficznej formie samosądu gminnego. Stąd krok do: kołchozu (*kolektywnego chozajstwa*), *łagiernego obszczoka* i zon Kanału.

Można więc powiedzieć, że autorzy „Biełomorkanału” pokazali w praktyce, dokąd prowadzi *ruskij put’*. Pokazali apologetycznie, co niektórzy mieli im za złe. A przecież nie oni pierwsi i nie ostatni. Starczy wspomnieć Priszwina, który pojechał na Kanał z własnej i nieprzymuszonej woli, po czym napisał powieść „Osudariewa doroga” – artystyczne przemysłenie idei „Biełomorkanału”. Albo mało znaną rozprawę Florenskiego „Priedpołagajemoje gosudarstwiennoje ustrojstwo w buduszcziem”, swoistą pochwałę kolektywnej formy państwa, na czele której powinien – według ojca Pawła – stać ktoś w rodzaju Mussoliniego lub Hitlera... Czy wreszcie filozoficzne dialogi Łosiewa: „Iz razgovorow na Biełomorstroje” lub *Wstriezca*, gdzie łagier zostaje porównany do monasteru, w którym jedynym bóstwem jest ponadindywidualny, aktywnie się trudzący kolektyw”. W przypadku Aleksieja Łosiewa nie obyło się bez pewnej ironii, dzięki wykorzystaniu formy filozoficznego dialogu, umożliwiającego dialektykę.

Nieprzypadkowo więc, właśnie teraz, kiedy znowu słyhać w politycznych sferach Rosji wołanie o „ruską ideę” – wznowiono „Biełomorkanał”. Nie sądzę, aby tylko z szacunku dla przeszłości. Renesans euroazjatyizmu, łączącego w sobie azjatyckie i prawosławne wątki myśli kolektywistycznej, i zarazem odrzucającego zachodni wariant rozwoju Rosji, jako sprzeczny z jej „drogą”, a także zapotrzebowanie na ideologów typu Aleksandra Dugina, oraz ogólnie znana niechęć ruskiego człeka do *raboty*, zawsze bowiem odnalazł się jakiś Ruryk, Mamaj czy Czubajs, który go obierał i figę mu zostawiał... wszystko to sprawia, że bynajmniej nie pora odkładać „Biełomorkanał” do lamusa.

4. A w posłowie do książki Maksym Gorki objaśnił zasady „kolektywnej metody pisania”, głosząc zarazem, iż jest to „pierwsza próba” stworzenia nowej literatury, odpowiadającej wyzwaniom nowych czasów. Otóż pisarze, skrajnie różni pod względem talentu, języka i upodobań, zjednoczyli się nad materiałem, rezygnując z własnych, charakterystycznych cech, i wspólnie wnieśli do historii sowieckiej literatury *fakt iskluczitielnogo swojeobrazjia*. Pracowali z poświęceniem, nie szczczędząc samolubstwa jeden drugiego, kreślili się wzajem, czasem zostawiając z paruset stron zaledwie pół setki, niekiedy jeden i ten sam fragment obrabiali kilku autorów, aż do zatarcia indywidualnych cech stylu, i nie sposób już było orzec, czyje co jest. Inaczej mówiąc, równali pod jeden strychulec. Zglajchszaltowali się.

Mariusz WILK

Przed odjazdem

Przeszedłem przez Wisłę po lodzie z Pragi do lewobrzeżnej Warszawy. Nie było jeszcze nawet mostu pontonowego. Był początek lutego i pod nogami zdążających w tym samym kierunku nielicznych śmiałków, którzy ukazywali się pojedynczo lub w małych, kilkuosobowych grupach w pewnej ode mnie odległości, coś groźnie chrzęściło. Ale niebezpieczeństwa nie było. Była zima i Wisła mocno jeszcze była skowana lodem.

Wiadomości o tym, co działo się w getcie, doszły do mnie już dawniej, ale o losie pozostałej Warszawy dowiedziałem się dopiero teraz, częściowo w Lublinie, a dokładniej w ciężarówce, w której podobnie jak ja, kilka osób jechało „na łepka” w kierunku Pragi.

Praga była przez wojnę niemal nietknięta. Życie toczyło się już tu normalnym trybem, jeżeli za objaw normalności można uznać przyklepione do murów kartki z napisami: „Gorąca zupa” albo już nawet „Kuchnia domowa”, głoszące, że tu można się za pewną opłatą pożywić. Toteż mimo, że już mi o warszawskim powstaniu opowiadano i że byłem przygotowany na pewne między stanem Pragi a resztą Warszawy różnice, przy przejściu z lodu na „stały ląd” doznałem niemałego wstrząsu. Nie znałem dawnej Warszawy, nigdy przedtem w Warszawie nie byłem i z początku usiłowałem sobie tłumaczyć, że wstąpiłem na brzeg na jakimś przedmieściu, które może w czasie działań wojennych ucierpiało i to jest powodem tego okrutnego krajobrazu, jaki się przede mną na zachodnim brzegu Wisły rozciągał. Ale to „przedmieście” nie piękniało, przeciwnie, po „z natury” pustych

brzegach Wisły, moja droga wiodła mnie wąskimi kanionami dawnych ulic, pomiędzy wielopiętrowymi gruzami dawnych kamienic, po obu tych ulic stronach wyznaczających dawną ich drogę. To było wszystko, co tu zastałem, nie licząc pojedynczych ludzi, błakających się w podobnym do mojego zdumieniu i przerażeniu. Nie było tutaj napisów „Gorąca zupa” czy „Kuchnia domowa”, nie miał kto i dla kogo tej zupy gotować. Tu i ówdzie dymiące jeszcze gruzy nie wyznaczały miejsca gotującej posiłki kuchni. A były inne napisy – jedyne jakie tam widziałem: *Min niet*, i według nich się kierowałem, unikając grożącego niebezpieczeństwa.

Zdążając do mieszczącego się w Tworkach szefostwa Służby Zdrowia wojska po przydział do jednostki, przygnębiony trudnym do pojęcia widokiem tego, co mnie tu witało, przeszedłem przez spory kawał dawnej Warszawy. Trudno było pojąć, że tu było kiedyś miasto, wielkie, piękne miasto, że na tym pustkowiu mieszkali ludzie, żyli i pracowali.

W takim stanie jakiegoś oszołomienia dotarłem w końcu, już pod wieczór, do miejsca przeznaczenia, gdzie byłem tej nocy jedynym mieszkańcem wielkiego, zupełnie pustego gmachu dawnego szpitala dla psychicznie chorych, w którym teraz mieściło się szefostwo służby zdrowia. W tej dość makabrycznej sytuacji, nie przyszedłszy jeszcze do siebie po wstrząsie doznań tego dnia, przenocowałem w jednym z pustych pokoi, poprzednio zapewne izolatce dla pensjonariuszy tego zakładu. Następnego dnia pojawili się już urzędujący tu ludzie i po nieuniknionych biurokratycznych formalnościach dostałem przydział do jednostki wojskowej w Krakowie. Po ostatecznym załatwieniu wszystkich związanych z tym zabiegów miałem jeszcze dość czasu, ażeby wrócić do nieistniejącego miasta i przyjrzeć się temu, czego nie zdążyłem zobaczyć. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Ciągłe byłem pod wrażeniem tego, co widziałem poprzedniego dnia. Toteż przy najbliższej sposobności skorzystałem z możliwości jak najszybszego wyjazdu do Krakowa, ażeby uciec od tego upiornego widoku. Nie widziałem tego dnia nawet ruin getta, czego potem nie mogłem sobie wybaczyć. Zobaczyłem je dopiero później.

Kontrast między Krakowem a ówczesną Warszawą był

nie do opisania. Zachowane niemal w całości miasto żyło normalnym, a nawet – na razie, w powojennym entuzjazmie – nieco intensywniejszym niż normalne, życiem. Ale po kilku miesiącach zostałem przeniesiony z powrotem do Warszawy. Rosła Warszawa „parterowa”. Oczyszczono już częściowo (to znaczy usunięto z ulic na bok) gruzy, zwłaszcza w śródmieściu, po którym chodzili ludzie szukający swoich domów, rodzin, przyjaciół. Przeważnie nie znajdowano ani domów, ani bliskich. Zaczęto więc zapoznawać się i zbliżać z innymi, którzy byli w tej samej sytuacji.

Ale w międzyczasie do Dworca Wschodniego w Warszawie zaczęły docierać pociągi z repatriowanymi z ZSSR. Przybyłych kierowano bezpośrednio na Dolny Śląsk. Jednakże kiedyś jakiejś grupie ludzi, przeważnie dawnych mieszkańców Warszawy, udało się wyrwać z Dworca Wschodniego i zorganizować „wycieczkę” do miasta. Chcieli zobaczyć swoje dawne miasto, to znaczy – warszawskie getto, a właściwie to, co z niego pozostało. Wiedzieli już wszystko, a przecież to „wszystko” to było jeszcze, jak się okazało, bardzo niewiele.

Nie pamiętam już, jaki przypadek sprawił, że przyłączyłem się do tej grupy. Chciałem i ja – chociaż nie warszawianin – zobaczyć getto. Na otwartej ciężarówce, ciasno obok siebie stłoczeni, jechaliśmy z Pragi. Ludzie byli napięci, stali obok siebie w milczeniu i czekali na to, co miało ich spotkać. Dużo później zdałem sobie sprawę, że tak chyba musieli stać ludzie, wywożeni po akcji do miejsc likwidacji.

Ciężkie, przygnębiające milczenie nagle się jednak urwało. Ktoś krzyknął zdumiony, patrząc na rozciągający się przed nim księżycowy krajobraz: „Tu przecież było Leszno”. Zapanowało ogólne ożywienie, sprzeczano się o ulice, których oczywiście nie było, których nie można było rozpoznać. „A tutaj była nasza Karmelicka”. A potem – milczenie, znowu stali na pozór spokojnie, ale bardziej niż przedtem, bez nadziei przygnębieni, i bezgłośnie płakali. Późem wrócili tą samą ciężarówką na Dworzec Wschodni, i teraz już bez oporów dali się wywieźć na Dolny Śląsk.

W Warszawie w tym okresie najbardziej osamotnieni byli oczywiście Żydzi – zarówno ci nieliczni, którzy jakimś cudem na miejscu ocalili, jak i – na początku pojedynczy jeszcze – przybysze ze wschodu, głównie żołnierze i oficerowie, szuka-

jący kontaktów i nowych przyjaźni. Pracując przeważnie w środowisku obcym (w odradzającej się Warszawie wszystko było jeszcze nowe i obce), nie zawsze przyjaznym, często musieli ukrywać swoją identyczność, jeżeli to tylko było możliwe. Nie wszyscy znosili to dobrze. W tej sytuacji powstała myśl, ażeby stworzyć warunki sprzyjające ich spotkaniom. W taki sposób powstał w Warszawie Klub Inteligencji Żydowskiej.

W lokalu przy ulicy Wspólnej, w samym centrum Warszawy, w opustoszałym ale zachowanym w całości mieszkaniu, odbywały się cotygodniowe spotkania. Już od samego początku przychodzili oficerowie, którzy, rozrzucony po swoich jednostkach, innej możliwości takich spotkań nie mieli. Był to w zasadzie nie tylko Klub Inteligencji Żydowskiej, ale wyraźnie klub inteligencji polsko-żydowskiej, dla inteligencji związanej blisko z kulturą polską i oczywiście z językiem polskim. Ci inni mieli inne możliwości. Były już komitety żydowskie, partie polityczne, itd., które im dawały możliwość wyzycia się w swojej kulturze we właściwym ich środowisku. Ale dużej części inteligencji żydowskiej te sprawy były (na razie?) obce – ci więc byli, w środowisku czysto polskim, konsumentami kultury i literatury polskiej, oczywiście tej przesianej przez obowiązujące filtry polityczne. Od zagadnień żydowskich – poza samym pochodzeniem – byli dalecy. Założeniem klubu stało się umożliwienie tej części inteligencji powrotu „do korzeni”, chociaż wtedy to się inaczej nazywało i miało oczywiście inny charakter. Było na to wyraźne zapotrzebowanie, ci ludzie chcieli się zbliżyć do spraw, od których byli oderwani, a za które byli poddani cierpieniom i – ciągle jeszcze – upokorzeniom. A więc na zebraniach odbywały się, przy kawie, wykłady i dyskusje – o współczesnej polskiej poezji, o teatrze, malarstwie, muzyce, ale także o problemach związanych z kulturą żydowską i – coraz częściej – o losie żydowskim w przyszłości, o dalekim kraju, gdzie właśnie rozpoczynała się walka o niepodległość.

Klub rozwijał się nadspodziewanie dobrze. Liczono się przecież z tym, że wielu ludzi z pookupacyjnymi kompleksami swoje pochodzenie ukrywało i że będzie miało opory, związane także z dekonspiracją. Ale zawsze było tu kilkadziesiąt osób, wśród nich wielu oficerów w mundurach,

przeważnie lekarzy, a także pisarzy, aktorów, dziennikarzy itd. Tak było przez czas jakiś, aż nagle zaczęło – i to coraz bardziej – uczestników wspólnych zebrań ubywać. Po czym zaczęły przychodzić od nich listy.

Jednym z pierwszych, którzy zniknęli, był lekarz, dr K. Do niedawna przychodził jeszcze do klubu w mundurze majora. Zdumiał nas jego list, w którym pisał, że po przyjeździe zawieszono go ciężarówką na jakieś pustynne piaski, wysadzono z samochodu i kazano zakładać poliklinikę. Kiedy, po kilku latach, przyjechałem i ja do Izraela, okazało się, że ta „pustynia” nazywała się Hadar Josef, a teraz była już trochę zabudowana i stanowiła nieco odległą od centrum, ale jednak dzielnicę Tel-Awihu. Ta sytuacja powtórzyła się również ze mną, kiedy po przyjeździe – bezpośrednio z warszawskiej kliniki uniwersyteckiej, w trakcie habilitacji na docenta – skierowano mnie do Ber-Szewy, wtedy niedużo więcej niż wsi arabskiej, mieszczącej się u progu pustyni Negew. Było tam już co prawda trochę europejskich budynków i była nawet poliklinika, ale pierwszym dermatologiem byłem ja i musiałem tam ten dział medycyny – w obcych dla mnie warunkach – zakładać od podstaw. Dzisiaj Ber-Szewa jest dużym uniwersyteckim miastem, z wielkim, bardzo dobrym szpitalem klinicznym.

Klub Inteligencji przetrwał do roku 1949, kiedy z zarządzenia władz zlikwidowano wszystkie instytucje żydowskie, niezwiązane z rządzącą partią polityczną i „nakłoniono” Żydów do wyjazdu.

Ale jeszcze istniał, kiedy (chyba latem 1947) zwrócono się do mnie z propozycją spotkania z emisariuszem z Palestyny, który w obozach dipisów w Niemczech pełni swoje funkcje z ramienia „Bricha” (dosłownie „Ucieczka” – organizacja, która zajmowała się półlegalnym lub nielegalnym przerzutem imigrantów do Palestyny). Chodziło o to, ażeby go trochę oprowadzić po Warszawie, bo trudno było mu sobie wyobrazić to, co się stało i chciałby na własne oczy zobaczyć zniszczone przez barbarzyńców miasto i teren byłego getta. Po to z Niemiec przyjechał.

Nie wiem dzisiaj, jak sobie wtedy wyobrażałem „kibucnika”. Ale to dobrze pamiętam, że mój nowy znajomy zaskoczył mnie już nawet swoim wyglądem. Był wysoki,

przystojny, o twarzy inteligenta, z czupryną siwych włosów. Był w sile wieku i robił wrażenie wysportowanego. Po polsku mówił doskonale, tak jakby nigdy z Polski nie wyjeżdżał, mimo że Polskę opuścił już przed laty. Ale nie tylko to mnie zaskoczyło. Spotkaliśmy się w jakiejś kawiarni na Marszałkowskiej i rozpoczęliśmy przy kawie rozmowę, z której chciałem się dowiedzieć, co go szczególnie interesuje i jakie w związku z tym jest moje zadanie. Oczywiście byłem pewny, że zechce przede wszystkim zobaczyć to, co zostało po getcie. Ale myliłem się. Mój znajomy już tam był, poszedł tam sam natychmiast po przyjeździe, nie był w stanie czekać na przewodników, to wszystko miał już poza sobą, chodziło mu o co innego. Nie miałem żadnej trudności w nawiązaniu z nim interesującej rozmowy. Pytał o działających pisarzy, o nową poezję, wymieniał nazwiska znane mu sprzed wojny i chciał wiedzieć, co się z tymi pisarzami dzieje i co piszą. W szczególności interesował się teatrem, zdążył już być w powstałym niedawno „Teatrze Nowym” na Puławskiej, którego kierownikiem literackim był Tuwim. Podobała mu się Tuwimowska przeróbka „Rewizora” Gogola i, między innymi, kreacja młodzieńczego, kilkunastoletniego Fijewskiego, którego świetna późniejsza kariera od tej sztuki się zaczęła. Zaskoczony jego zainteresowaniami zapytałem, jaki jest jego zawód. Był istotnie członkiem kibucu, a zajmował się szczególnie planowaniem i zakładaniem ogrodów w kibucach. Wszystko to było dla mnie bardzo dziwne, ale największa niespodzianka jeszcze mnie czekała. Wyszliśmy z kawiarni i szli wzdłuż Marszałkowskiej. W pewnym momencie zatrzymał się, na rogu Wilczej albo Hożej i spojrzał nagle w górę. Podniosłem głowę. Po drugiej stronie ulicy stało coś, co pozostało z frontowej ściany wysokiego, chyba pięciopiętrowego domu. Ta jedna, jedyna pozostała z domu ściana nie była w Warszawie czymś wyjątkowym. U dołu trochę szersza, w połowie wysokości się zwężała, ażeby znowu rozszerzyć się ku górze. Trudno było zrozumieć, jakim cudem jeszcze się to trzymało. Ale – co sprawiało po prostu wrażenie upiornego – u samej góry, gdzieś chyba na wysokości nieistniejącego piątego piętra, sterczała z niej wychylona ku przodowi, samotna wanna, zawieszona w powietrzu na ułamku ściany nad ulicą i trzymająca się go jakimś nierealnym wysiłkiem. Mój

towarzysz przystanął i trochę przytłumionym głosem powiedział: „Kiedy widziałem dawniej ‘Guernikę’ Picassa, byłem pewny, że jest to twór kubistycznej fantazji, do którego tylko inspirowała Picassa tragedia hiszpańskiego miasta. Teraz dopiero rozumiem, że to nie abstrakcyjny kubizm, ale rzeczywistość, w której realność trudno uwierzyć. Dopiero tutaj, w Warszawie, zrozumiałem, jak realistyczna może być rzekomo abstrakcyjna współczesna sztuka”. Tę analogię obrazu Picassa ze skutkami istniejącego naprawdę barbarzyństwa słyszałem później jeszcze nieraz, ale mój przyjaciel był pierwszy, który tak to sformułował.

Myślę, że – choć na krótko – zaprzyjaźniliśmy się i nabraliśmy do siebie sympatii. Kiedy mu już pokazałem wszystko, co chciał zobaczyć i odpowiedziałem na wszystkie jego pytania, na które mogłem odpowiedzieć, pożegnaliśmy się. Więcej go nie zobaczyłem. Pewnie wrócił do swojej funkcji w powojennych obozach Europy.

Nie wiem, czy miało to jakiś związek z tym spotkaniem, ale w jakiś czas potem poproszono mnie, ażeby spędziłem dwutygodniowe ferie bożonarodzeniowe na kolonii na Dolnym Śląsku, którą organizowano dla grupy krakowskich studentów – Żydów. Chodziło o przygotowanie jakiegoś programu kulturalno-oświatowego dla studentów, którzy przygotowują się do wyjazdu do Palestyny. Ponieważ byłem wtedy jeszcze kawalerem i w czasie ferii świątecznych czułem się dość osamotniony, przyjąłem propozycję chętnie.

Tak znalazłem się na Dolnym Śląsku, w miejscowości B., a raczej w pewnej od niej odległości, w dużej willi położonej w odosobnieniu, na rozległej łące, z dala od innych zabudowań. Grupa studentów składała się z około dwudziestu osób, przeważnie mężczyzn. Byli to ludzie młodzi, którzy okres okupacji spędzili na aryjskich papierach, albo też ukrywając się w inny sposób, często samotni, to znaczy pozbawieni jakiegokolwiek rodziny, których rodzice i inni bliscy wojny nie przeżyli.

„Kolonія” miała charakter tajny, półlegalny, i jej zadaniem było przygotowanie młodych ludzi przed wyjazdem. Był tam oprócz mnie tylko jeden „dorosły”, to znaczy starszy od innych mężczyzn. Mówił niezbyt poprawnie po polsku, z wyraźnym akcentem kresowym. Jak się wkrótce okazało, był

do niedawna majorem armii sowieckiej, z której został zdemobilizowany, a może – jak podejrzewałem – teraz, po wojnie, z niej zdezerterował, ażeby udać się do Palestyny. W tym celu zwrócił się do odpowiednich instancji, które miały mu to ułatwić, i wtedy zaproponowano mu, ażeby przed wyjazdem objął na krótko funkcję instruktora wojskowego dla grupy studentów, którzy także mają wyjechać do Palestyny, gdzie toczyły się już walki.

Tak spędziłem dwa tygodnie w towarzystwie bardzo sympatycznych, inteligentnych młodych ludzi, zdecydowanych na wyjazd i liczących się z tym, że jadą może na pole walki. Przed południem znikali wraz ze swoim instruktorem na ćwiczenia, a ja ten czas spędzałem na spacerach po bardzo pięknej, bezludnej okolicy, albo na czytaniu. Wieczory poświęcone były dyskusjom na różne interesujące ich tematy, wykłady, omawianie zagadnień politycznych – to wszystko była już moja dziedzina. Czas spędzony z nimi wspominam zawsze z przyjemnością. Towarzystwo ludzi młodych, pełnych zapału i gotowości poświęcenia dla sprawy, którą uważali za jedynie godną odpowiedź na to, co ich spotkało w czasie okupacji, napełniło mnie optymizmem i otuchą w ciężkim dla mnie powojennym okresie.

Te trzy fragmenty moich powojennych przeżyć – objazd getta w ciężarówce wypełnionej dawnymi mieszkańcami barbarzyńsko zniszczonej i wyludnionej dzielnicy, działalność w klubie inteligencji żydowskiej i spotkania z osamotnionymi, wyrwanymi ze swojego środowiska ludźmi, a potem pobyt na „kolonii” studentów przygotowujących się do wyjazdu – stanowiły jakieś logiczne etapy, których naturalnym następstwem musiał być również mój wyjazd. Tak też wtedy koleje mojego przyszłego życia rozumiałem i na ten nowy etap czekałem.

Eleasar J. FEUERMAN

Archiwum polityczne

Wczoraj, dziś i jutro geopolityki

Nie ma chyba – w żargonie politologii – innego terminu, który zrobiłby tak zawrotną karierę, był tak często używany i znieużywany, jak termin ‘geopolityka’. Objasnienie tego terminu, zakresu jego używania, jest jednym z głównych celów, jaki przyświecał redaktorom wydanej pod koniec ub. r. pracy zbiorowej pod tytułem „Geopolityka – geografia i strategia”^{*}.

Jak już sam tytuł wskazuje, ważnym zadaniem tej pracy jest naświetlenie wzajemnie się uzupełniających relacji między geopolityką, geografiami i strategią, współzależności między teorią i praktyką. W zasadzie geopolityka określa rolę geografii w politycznej teorii strategii, jest teorią przestrzennych powiązań, historycznych kauzacji. Nie oznacza to, iż sama geografia określa kierunek danej strategii, lecz od takiej czy innej

^{*} „Geopolitics – Geography and Strategy”, Ed. C.S.Gray, G. Sloan; Wyd. Frank Cass, London/Portland, 1999.

Zbiór esejów poświęcony zagadnieniom geopolityki, specjalna edycja kwartalnika *Journal of Strategic Studies*, tegoż wydawnictwa. Chodzi o pracę strategów brytyjskich, podzieloną na dwie części – teorię i praktykę geopolityki. Kluczowym artykułem części pierwszej jest przyczynek G. Sloana pt. „Sir Halford Mackinder – the Heartland theory then and now”, naświetlający podstawy jego koncepcji „centrolądowych”, oraz ich dzisiejszą aktualność. Znamienny jest również artykuł E. Dolmana pt. „Geography in the Space Age: An Astropolitical Analysis”, prezentujący rewolucyjną myśl aplikacji geopolitycznych w przestrzeni kosmicznej. W drugiej części na uwagę zasługuje artykuł J. Ericksona pt. „Russia will not be trifled with geopolitical facts and fantasies”, naświetlający geopolityczne obsesje dzisiejszej Rosji.

strategii w dużym stopniu zależy umiejętne wykorzystanie podsuwanych przez geografę możliwości. W okresie zimnej wojny, teoria i praktyka geopolityki w dużym stopniu ograniczała się do uprawiania polityki balansu sił, *powerpolitics* w kissingerowskim wydaniu. Dziesięć lat po zakończeniu zimnej wojny okazuje się, iż instrumenty geopolityki w wielkiej polityce światowej nie tylko nie zużyły się, lecz mają coraz to nowsze zastosowania, stają przed nowymi wyzwaniem. Okazuje się również, iż sięgają one po inspirację do samych źródeł klasycznej geopolityki.

Teorie 'centrolądowe' Mackindera

Przed niespełna stu laty, 25 stycznia r. 1904, uważany dziś za twórcę nowoczesnej geopolityki uczony brytyjski Harold Mackinder wygłosił przed Królewskim Towarzystwem Geograficznym w Londynie odczyt pt. „Geograficzne wskaźniki historii”, w którym przedstawił nowe, dotąd niespotykane spojrzenie na perspektywy polityczno-militarnej strategii. Zapowiedział w nim zbliżający się koniec 'kolumbowskiej ery', okresu zamorskich ekspansji Europy, oraz nadzieje znacznie trudniejszych dla strategów czasów. W sytuacji gdy drogą morską niewiele zostało do zdobycia, przyszłe podboje będą dokonywały się w bardziej zamkniętej przestrzeni, drogą ekspansji lądowej. Przyszłe, strategiczne kluczowe rozgrywki w walce o panowanie nad światem będą miały miejsce w zwartej przestrzeni masy lądowej Eurazji, skupionej wokół Rosji.

Odczyt Mackindera nie zrobił wówczas większego wrażenia. W czasie gdy typowe mocarstwa morskie, z W. Brytanią, USA i Francją na czele, zawaładnęły światem, tylko najtęższe, najbardziej wnikliwe umysły mogły dostrzec i zrozumieć istnie proroczy wymiar jego tez. Nie pomogła również sprawa jego teorii przegrana „lądowej” Rosji w wojnie z „morską” Japonią. Doniosłość jego myśli, dziś o fundamentalnym znaczeniu dla nowoczesnej geopolityki, miała być wykazana dopiero znacznie później, w okresie II wojny światowej. Na czym ona polega, w czym tkwi aktualność tych teorii?

Po pierwsze, określając znaczenie geopolityki w stosun-

kach międzynarodowych, Mackinder niedwuznacznie wykazał strategiczną ważność kontroli terytorialnej. Skuteczna obrona terytoriów państw jest więc nadrzędnym obowiązkiem strategicznym rządów. Po drugie, wskazał on na ważność geograficznego środowiska w sensie fizycznym, w odniesieniu do planowania taktycznego, działań wojennych. To są elementarne składniki jego teorii geopolitycznych, podwaliny nowoczesnej geostrategii, które przedstawił w r. 1904. Natomiast krystalizacja tych tez w kierunku właściwej teorii centrolądowej nastąpiła dopiero po wojnie, w ogłoszonym w r. 1919 eseju pt. „Demokratyczne ideały a rzeczywistość”. Mackinder pierwszy raz wskazuje tu na geopolityczną ważność typowych mocarstw lądowych, takich jak Niemcy i Rosja, których naturalne predyspozycje lądowe będą w nich zawsze wyzwały pokusy do ekspansji, dominacji. Pierwsze pierwiastki teorii centrolądowej były zawarte już w pierwszej wersji z r. 1904, a rozwinięte w r. 1919. Natomiast istotna różnica między obu wersjami polega na uwypukleniu kluczowej roli rejonu Europy Środkowo-Wschodniej w wersji późniejszej.

Przestrzeń Europy Środkowo-Wschodniej

W wersji z r. 1919 Mackinder postuluje, iż wynik wojny europejskiej powinien ustalić definitywny przedział między Niemcami a słowiańskimi narodami na Wschodzie, stworzyć odpowiednią równowagę między nimi, zapewnić trwałą niezależność państw na wschód od Niemiec. Tylko takie podejście do „kwestii wschodniej” mogło zapewnić stabilność europejską, oraz zabezpieczyć Europę przed płynącymi z Eurazji zagrożeniami.

Geopolityczne koncepcje Mackindera odnośnie Europy Środkowo-Wschodniej miały pragmatyczne podłoże, wpływały z jego obserwacji i doświadczeń na posterunku brytyjskiego Wysokiego Komisarza (*High Commissioner*) przy kwaterze gen. Denikina na południu Rosji, z ramienia ówczesnego Sekretarza SZ Lorda Curzona. W raportach do Curzona potępiał fatalną politykę premiera Lloyd George'a, bezwarunkowo wspierając Denikina w walce z bolszewikami. W stycz-

niu 1920 r. Mackinder przedstawił alternatywny plan, postulując brytyjskie wsparcie dla strefy związku niepodległych państw między Polską a Rosją, obejmujący Ukrainę, Południe Rosji i niezależne państwa Zakaukazia. Rozumował on, iż Biali Rosjanie nie będą w stanie odbić bolszewikom całej Rosji, lecz można by uratować jej część, jak również niepodległość Ukrainy, Białorusi i innych państw na tej przestrzeni. Podkreślał on, iż tylko solidna strefa niepodległych państw, od Zakaukazia na południu po Finlandię na północy, z Polską i Ukrainą w środku, oddzieli geopolityczne centrum Eurazji – Rosję – od Europy, skieruje jej zakusy imperialne na Wschód, do Azji. Z perspektywy czasu można dziś powiedzieć, iż koncepcje Mackindera były genialnym konstruktorem geopolitycznym, ustalającym geostrategiczne ramy dla zabezpieczenia politycznej stabilności tego rejonu, określającym geopolityczny stosunek między Europą Środkowo-Wschodnią, a masą Eurazji na Wschodzie. Raport ten wzbudził żywe zainteresowanie w Londynie, lecz, niestety, nie został zaakceptowany.

Podobnie jak w r. 1904, aktualny bieg wydarzeń, sytuacja polityczna w Europie, nie sprzyjały jego koncepcjom. Zmęczone długą wojną społeczeństwa W. Brytanii i Europy Zachodniej nie były skłonne do przewlekłego konfliktu, dalszej wojny, tym razem z Rosją bolszewicką. Dlatego plan „strefy środkowo-europejskiej” został odrzucony, pomimo ostrzeżeń jego autora, iż w konsekwencji wzmocni to centralną pozycję Rosji w Eurazji, wobec Europy. Dziś wiemy, iż były to ostrzeżenia prorocze, które w przebiegu XX stulecia w pełni się potwierdziły. Co więcej, geopolityczny konstrukt Mackindera z r. 1919 stał się na nowo aktualny po r. 1991, po rozpadzie ZSSR i powstaniu na jego gruzach pasma nowych, niezależnych państw.

Geoprzestrzenne perspektywy

Geopolityczne koncepcje Mackindera odnośnie Europy Środkowo-Wschodniej są klasycznym uwypukleniem nadrzędnej, przewijającej się przez wszystkie rozdziały książki tezy, podkreślającej centralne miejsce geografii w odniesieniu

do strategii. Geografia jest, obok kultury, gospodarki, nauki, informacji, technologii itp. nie tylko jednym z integralnych wymiarów strategii, lecz jego wymiarem kluczowym. Jest czynnikiem, który w taki czy inny sposób dotyka, zaważa na wszystkich innych aspektach strategii. Nie oznacza to, iż nowoczesne, informacyjno-technologiczne wymiary strategii, są w książce niedoceniane. Wręcz odwrotnie, rewelacyjnym przyczynkiem zbioru jest rozdział, w którym geopolityczne horyzonty strategii wychodzą do pozaziemskich, kosmicznych przestrzeni. Lecz i tutaj, omawiając nowe, geoprzestrzenne wymiary strategii, centralnym punktem odniesienia są parametry klasycznej, ziemskiej „geostrategii”. Esej Dolmana o „astropolityce” jest chyba pierwszą próbą aplikacji, przeniesienia geopolitycznych koncepcji do przestrzeni kosmicznej. Co więcej, astropolityczny model przestworzy opiera się tu na geopolitycznej teorii „centrolądowej” Mackindera, łącznie z konstruktorem kluczowej strefy „buforowej”. W modelu tym olbrzymie przestrzenie „strefy słonecznej” są odpowiednikami masy lądowej Eurazji, wobec której przestrzeń wokół Ziemi, podobnie jak Europa Środkowo-Wschodnia wobec Eurazji, zajmuje kluczowe położenie. Kto zapanuje nad Ziemią, zapanuje nad całym Wszechświatem. Kontrola „krytycznej” przestrzeni Ziemi gwarantuje nie tylko długofalową kontrolę Wszechświata, lecz również doraźne wygody taktyczne i strategiczne na Ziemi. Dlatego astropolityczne teorie i koncepcje Dolmana budzą dziś wielkie zainteresowanie w związku z kontrowersyjnym projektem NMD, militaryzacją przestrzeni kosmicznej.

Od geografii nie ma więc, w geopolityce, ucieczki, co zostało szczegółowo udokumentowane w omówionym tu zbiorze esejów. Potwierdza ten prosty, elementarny aksjom strategiczny również Zbigniew Brzeziński w swej głośnej książce „Wielka Szachownica”. Polityczna geografia pozostaje krytycznym aspektem międzynarodowej *powerpolitics*, tak jak kontrola terytorialna pozostaje kluczowym punktem odniesienia w sytuacji konfliktu, wojny. Są to oczywiste, dziś już niekwestionowane prawdy, ostatnio uwypuklone w

konflikcie zbrojnym na Bałkanach. Dobrze by pamiętali o nich stratedzy naszego bezpieczeństwa narodowego, decyden-
ci polityki obronnej kraju. Jeżeli komuś się wydaje, iż nic
nam nie zagraża, z tytułu przynależności do NATO,
wystarczy spojrzeć na mapę.

Często spoglądają dziś na nią geostratedzy w Moskwie,
nie mogący się pogodzić z utraconym stanem posiadania na
mackinderowskiej przestrzeni środkowo-wschodnioeuropej-
skiej. Przypomina o tym interesujący artykuł o geopolitycz-
nych obsesjach Rosji w drugiej części książki. Utrata kontroli
nad krajami tego regionu budzi tu na nowo stare rosyjskie
fobie „odsonięcia” zagrożenia. W sumie więc zagadnienia
geopolityki, a ściślej geopolitycznej przestrzeni, zawsze
sprowadzają się do zagadnień bezpieczeństwa w najszerszym
tego słowa znaczeniu. To było, jest i najwidoczniej pozostanie
najistotniejszym, strategicznym wymiarem geopolitycznych
rozważań.

Janusz MONDRY

Kraj

Separatyzm po śląsku. Brzydkie słowo: autonomia

Pojawienie się na rządowych stronach internetowych in-
formacji o stanie bezpieczeństwa państwa niemal powszechnie
uznane zostało za błąd. Wprawdzie niektórzy prawicowi
politycy próbowali zbagatelizować sprawę, twierdząc, że po-
dobne raporty corocznie publikują także inne kraje, to jednak
dokument przygotowany przez Urząd Ochrony Państwa na
drugi dzień zniknął i nigdy się już w Internecie nie pojawił.

Mleko się jednak rozlało. Wśród wielu wniosków odno-
szących się do zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa
Polski, znalazł się również aż nad wyraz czytelny sygnał, że
niektóre środowiska społeczne są penetrowane przez służby
specjalne. Jedyną organizacją wymienioną w raporcie z nazwy
był Ruch Autonomii Śląska. Pośrednio cień podejrzenia padł
również na działaczy mniejszości niemieckiej. UOP ostrzegł,
że możliwa jest ekspansja propagandy niemieckiej, kierowanej
przez emigracyjne ziomkostwa, wnikające w struktury organi-
zacji krajowych. Jej celem miałyby być osłabienie terytorialnej
integralności Polski, choć zagrożenie to nie zostało nazwane
wprost, a wyrażałoby się poprzez głoszenie i realizowanie idei
„autonomizacji Śląska”.

Z tym pojęciem wojowano już wcześniej, głównie na po-
czątku lat 90-tych. Pojawiło się w publicznych debatach dość
niespodziewanie, ale jednocześnie – a dziś rozumiemy to le-
piej niż wtedy – naturalnie. Oto bowiem na fali demokra-
tyzacji zastanych instytucji państwa i powoływania nowych,
a także likwidacji cenzury i pojawienia się pluralistycznych

mediów, musiało dojść do reinterpretacji historii, także w jej lokalnych wymiarach. Tymczasem na Śląsku właśnie pojęcie autonomii należało do tych, które zwłaszcza starsze generacje Ślązaków darzyło niejakim sentymentem. Przywoływało ono nieco wyidealizowany obraz starej Polski, bo tak w latach komunizmu dawni mieszkańcy przedwojennego województwa śląskiego określali II Rzeczpospolitą. Za tymi słowami kryła się pewna sympatia i tęsknota do państwa, które wprawdzie nie zrealizowało wielu marzeń i aspiracji ludności autochtonicznej, lecz przecież dość skutecznie strzegło nowoczesnego systemu prawnego, socjalnego porządku i mimo bezrobocia – relatywnie wysokiego standardu życia.

Były to wartości, które nie uszły uwadze przedwojennych intelektualistów. Ferdynand Goetel, wówczas prezes polskiego PEN-Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich, po odwiedzeniu Katowic napisał w połowie lat 30-tych: „To żelazne prawo, że pieniądź jest rzeczą, której nie można otrzymać za nic i na nic obrócić, rozstrzyga w dużej mierze o wyglądzie Katowic. I trudno doprawdy powiedzieć, czy jest miasto to biedne, czy bogate. Skoro chodzimy po śródmieściu i zaglądamy w szare ulice, skromne ogródki, ciasne sklepy, stykamy się z byle jak ubranym tłumem – skoro nic nie uderzy nas blaskiem i nawet nie znajdziemy jednej olśniewającej kawiarni, jednego wspaniałego kina, jednego lokalu promieniującego wykwintem ‘wielkiego’ świata, – powiemy sobie, że chyba jest tu biedniej, niż gdziekolwiek w Polsce. Gdy jednak wyruszymy na krańce miasta, poszukując nędzy, przekonujemy się, że jej nie ma. Przedmieście z okropnymi ruderami, owa archaiczna otchłań niechlujstwa, owo łachmaniarские kretowisko, które otacza reprezentacyjne dzielnice polskich miast, w Katowicach nie istnieje. I choć, jak mówią statystyki, i tutaj mieszka po kilka osób w jednej izie, i chociaż i tu trudno o kąpiel, przecież nikt nie wypęła przed rynsztok, nikt swej nędzy nie wynosi przed próg i nie manifestuje jej urągliwie i bezwstydnie przed światem.”

To interesujące refleksje znanego przed wojną pisarza, gdyż rymują się z zachowanym przez starych Ślązaków obrazem ich rodzinnej ziemi. W ówczesnych relacjach i dyskusjach publicystycznych, do których włączali się również mieszkający poza Śląskiem autorzy (np. Ksawery Pruszyński),

pojawiał się jednak również inny ton. Ton, poprzez który dało się słyszeć poczucie krzywdy. Po przewrocie majowym i usunięciu z życia politycznego Wojciecha Korfanteo, dotąd niekwestionowanego regionalnego lidera, w kręgach opozycyjnych coraz częściej zwracano uwagę na fakt, że sanacja marginalizuje tzw. rodowitych Ślązaków, nie dopuszcza ich do urzędów i gdzie może – zastępuje ich przybyszami z Małopolski, Wielkopolski czy Kongresówki. To był bardzo poważny problem społeczny, który jednak nie wynikał tylko ze złej woli czy niezrozumienia aspiracji Ślązaków. Województwo śląskie cierpiało na brak rodzimej, polskojęzycznej elity intelektualnej i urzędniczej. Z dnia na dzień luki tej nie można było wypełnić. Tak czy inaczej – konflikt istniał a zapowiedzi ograniczenia konstytucyjnie zagwarantowanej autonomii dla województwa śląskiego odbierane były przez chudeką opozycję spod znaku Korfanteo jako zamach na prawa, również socjalne i bytowe, plebejsko-robotniczych mas.

Pomysł nadania specjalnego statusu prawnego ziemiom, które od prawie siedmiu stuleci znajdowały się poza państwem polskim, narodził się wcześniej, zanim jeszcze wytyczono granice między Rzeczpospolitą a Republiką Weimarską. Z perspektywy lat – w tak szybkim i radykalnym działaniu polskiego parlamentu widzieć trzeba mądrość ówczesnych elit politycznych, które potrafiły przewidzieć potencjalne napięcia społeczne i narodowe. Dość powiedzieć, że sam Korfanteo, nazywany nieraz przez Niemców „polskim nacjonalistą”, zdawał sobie sprawę, że wielu prostych Ślązaków, którzy całe swe życie spędzili w niewielkich osadach robotniczych czy wioskach, nie ma wykrystalizowanej świadomości narodowej. Dyktator III powstania śląskiego oceniał tę grupę na aż 30 proc. ogólnej populacji. W akcie nadania Śląskowi statusu autonomicznego był więc jawny element walki o „dusze Ślązaków”. Chodziło o przyciągnięcie tych labilnych narodowościowo mieszkańców Górnego Śląska i o przelicytowanie Niemców. Ten radykalizm w ogólnym rozrachunku opłacił się, bo nie wywołał nawet w ciężkich latach kryzysu gospodarczego jakichś szczególnie silnych tendencji odśrodkowych. Autonomię utrzymano do końca, do wybuchu II wojny światowej. Regionalne władze zaś nigdy nie przekroczyły jej granic, ba, nawet nie korzystały z niektórych swych uprawnień,

nie chcą, by ustawodawstwo śląskie nadmiernie odbiegało od ogólnopaństwowego.

Statut organiczny dla województwa śląskiego, bo taką oficjalną nazwę przyjęła owa „konstytucja śląska”, przyjęty został przez Sejm już 15 lipca roku 1920 i miał charakter ustawy konstytucyjnej. Po raz pierwszy nowelizowano ją 8 marca 1921, a więc na kilkanaście dni przed ogłoszeniem tzw. konstytucji marcowej, a również przed plebiscytem. Nowela ta gwarantowała autochtonom – w przypadku równych kwalifikacji zawodowych – pierwszeństwo w zatrudnieniu na wszelkie stanowiska. Poza tym nie można było żadnego mieszkańca województwa śląskiego bez jego zgody przenieść poza obszar autonomiczny. Utrzymano również „prawa samorządne” jako sumę uprawnień ustawodawczych i organów samorządu śląskiego – Sejmu, Wojewody i Śląskiej Rady Wojewódzkiej.

Niewątpliwie przyznanie szerokiej autonomii dla województwa śląskiego motywowane było przede wszystkim względami politycznymi. Nie ma jednak powodu, gdy rozumie się historyczne i kulturowe konteksty, by owe polityczne okoliczności wstydliwie przemilczać. W tamtych warunkach autonomia przyniosła więcej korzyści niż strat, zaś obecnie na niekiedy nadmiernie rozpaloną wyobraźnię śląskich samorządowców szczególnie działa tęsknota do odrębnego Skarbu Śląskiego. Z badań wynika, że w okresie międzywojennym 60 proc. dochodów własnych pozostawało na Śląsku. Podwyższony standard życia w porównaniu z innymi województwami przedwojennej Polski nie był więc osiągnięty dotacjami z centrali.

Marzenia o przywróceniu tamtego stanu rzeczy do dziś spędzają sen z powiek niejednego tutejszego polityka lokalnego czy regionalnego. Najsilniej eksponowane są właśnie w programach i odezwach Ruchu Autonomii Śląska, który głosi potrzebę pełnej decentralizacji kraju (i budżetu państwa), ustanowienia instytucji wybieralnego wojewody, regionalnego Sejmu i Skarbu. Według tej koncepcji Polska powinna zostać podzielona na najwyżej 8-10 regionów, których samorządowy status (czy: autonomiczny, bo słowo to używane jest przez działaczy RAŚ wymiennie) byłby równy. Nic więc dziwnego, że niedawna reforma administracyjna kraju nie spełniła

oczekiwań aktywistów RAŚ. Boli ich to, że Górny Śląsk nie został scalony. W skromnie, lecz regularnie wydawanym miesięczniku *Jaskółka Śląska* (z podtytułem niemieckim i czeskim: „Schlesische Schwalbe” i „Slezska Vlaštovka”), konsekwentnie więc używany jest cudzość w przy określeniu „województwo śląskie”. Województwo polskie zaś nazywane jest „nowotworem”.

Czym innym jednak jest obecnie odwoływanie się do samorządowych tradycji, które na Śląsku były dłuższe i bogatsze niż w innych regionach Rzeczypospolitej, a czym innym – nawoływanie do radykalnej zmiany *status quo* i przywrócenia przedwojennych reguł i powiązań prawno-administracyjnych z Warszawą. Słowo *autonomia* nie przestaje straszyć i źle się kojarzyć. Sanatorzy spod znaku wojewody Michała Grażyńskiego też w latach 30-tych nie lubili tego słowa, godząc się na autonomię kulturalną, a z trudem na polityczną, bo w niej wietrzyli – jak nie przymierzając dzisiejszy UOP – furtkę, przez którą mogli przeniknąć propagandyści niemieccy. Nie sposób jednak nie dostrzec różnic. Dzisiaj województwo śląskie nawet nie graniczy z Niemcami. Podobnie – województwo opolskie.

Raport Urzędu Ochrony Państwa był niefortunny, gdyż pośrednio podważył dobrą wolę i intencje naszego zachodniego sąsiada, który przez całą mijającą dekadę był polskim „advokatem” w sprawie integracji naszego państwa ze strukturami gospodarczymi i militarnymi Europy. Oczywiście, społeczne lęki przed zwłaszcza ekonomiczną dominacją Niemców i Niemiec nie zniknęły, choć badania socjologiczne podejmowane na Górnym Śląsku pokazują, że nie są w tym regionie silniejsze niż gdzie indziej. Nie potwierdzają tego również fakty. Przez wszystkie lata 90-te na Górnym Śląsku inwestycje niemieckie były prowadzone z mniejszym rozmachem niż amerykańskie czy włoskie. Jeśli ostatnio proporcje się zmieniają, to głównie za sprawą rozbudowy sieci niemieckich supermarketów, choć w tym obszarze handlu i gospodarki bardzo aktywni są również Francuzi. Tak czy inaczej – napływ kapitału zachodniego do województw śląskiego i opolskiego nie został przez Niemców zdominowany. Na pewno zaś jest ciągle niewystarczający, zwłaszcza w obliczu niedokończonej restrukturyzacji górnictwa i hutnictwa.

W przypadku tej drugiej branży większe nadzieje wiąże się z Brytyjczykami niż z Niemcami.

Błędem jest kojarzenie Ruchu Autonomii Śląska z organizacjami niemieckimi, krajowymi czy zagranicznymi. Z tymi pierwszymi RAŚ właściwie w ogóle nie utrzymuje żywszych kontaktów. Na przeszkodzie stoją nieusuwalne różnice programowe, choćby tylko te dotyczące podziału administracyjnego Polski. Jako się rzekło – działacze RAŚ rozbicie Górnego Śląska uznają za klęskę, zaś większość śląskich Niemców z Raciborza, Opola czy Gogolina zachowanie województwa opolskiego poczytują sobie jako wielkie zwycięstwo. Jedynie Niemiecka Wspólnota Robocza „Pojednanie i Przyszłość” z Katowic, jawnie i trwale skłócona z działaczami opolskimi, których liderem pozostaje poseł Henryk Kroll, głosiła hasła odmienne, artykułując swą niechęć do Związku Wypędzonych i krytykując niekonsekwentną jej zdaniem politykę rządu niemieckiego wobec całej mniejszości niemieckiej w Polsce.

Równie poważna przeszkoda pojawiła się w roku 1997, kiedy to powołano do dziś niezarejestrowany Związek Ludności Narodowości Śląskiej (obecnie skarga na rząd polski rozpatrywana jest przez Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu). Inicjatywa ta zrodziła się, by tak rzec, na obrzeżach RAŚ i Śląskiego Związku Akademickiego, nieformalnej młodzieżowej „przybudówki” RAŚ. Obecnie działacze Ruchu nie ukrywają swej sympatii do idei prawnego usankcjonowania istnienia *natio silesia*, co wyraziło się również podczas ubiegłorocznego kongresu RAŚ. Do władz Ruchu weszli także niektórzy inicjatorzy ZLNŚ.

Nie oceniając w tym miejscu zasadności i motywów, jakimi kierowali się twórcy *natio silesia*, zauważyć trzeba, że ewentualne uznanie nowej organizacji i przyznanie statusu mniejszości narodowej Ślązacom zapewne przyczyniłoby się do jeszcze silniejszej polaryzacji postaw i wyborów światopoglądowych. Takie rozstrzygnięcie na pewno uderzyłoby w mniejszość niemiecką. Obserwacje z ostatnich lat potwierdzają odpływ członków z Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców a najświeższe badania socjologiczne – dość częste zmiany deklaracji o charakterze tożsamościowym. Ślązacy ze Śląska Opolskiego coraz chętniej teraz podkreślają

raczej swe „niemieckie pochodzenie” czy „niemieckich przodków”, a nie niemiecką narodowość. „Jestem przede wszystkim Ślązakiem” – oto deklaracja, z którą najłatwiej się zetkniemy, zwłaszcza w wioskach i małych miastach województwa opolskiego.

RAŚ również odczuł skutki stabilizacji politycznej i ekonomicznej Polski. Na początku lat 90-tych skupiał 12 tysięcy członków, ale ta liczba dość szybko zmniejszyła się o połowę, gdy okazało się, że z uczestnictwa w Ruchu nie można czerpać żadnych korzyści ekonomicznych czy prawnych. Szczególnie cenne zaś jest posiadanie dwóch paszportów. Niemiecki – daje szansę na legalną, choć na ogół sezonową pracę w RFN.

Analiza wystąpień programowych a także publicystycznych, obecnych na łamach wspomnianej *Jaskółki Śląskiej*, nie upoważnia do podejrzeń o separatystyczne dążenia działaczy RAŚ, a już tym bardziej prowadzonych w komitywie z ziomkostwami śląskimi w Niemczech czy organizacjami mniejszościowymi. Wprost przeciwnie – kolejnym rządom III Rzeczypospolitej raczej zarzuca się zanadto proniemiecki kurs, choć RAŚ optuje za szybką integracją Polski z Unią Europejską. Trzeba też wiedzieć, że w powiecie rybnickim i jego przyległościach, bo tam RAŚ powstał i tam do dziś jest najsilniejszy, zdecydowanie przeważają Ślązacy o polskiej lub neutralnej tożsamości narodowej. Mniejszość niemiecka na tym terenie jest nieliczna i słaba, bo też mówimy o ziemiach, które przed II wojną światową w całości należały do Polski. Wolno nawet zaryzykować twierdzenie, że wielu członków czy sympatyków RAŚ ma ambiwalentny stosunek do Niemców i Niemiec. To ta część Ślązaków, która nie zapomniała o kolonizatorskich doświadczeniach Prus. Inna rzecz, że na tej samej szali, tyle że niejako po drugiej jej stronie, stawia się Polskę, także tę międzywojenną, nie tylko komunistyczną. W ustach autonomistów słowo „germanizacja” ma tę samą wagę i negatywnie emocjonalną wartość co „polonizacja”.

Z tego punktu widzenia ciekawa jest analiza wątków historycznych poruszanych na łamach *Jaskółki Śląskiej*. Liderzy RAŚ, świadomi kontrowersyjnych sądów dopuszczanych do publikacji, pod winietką zamieścili zastrzeżenie, że

„teksty nie podpisane przez redakcję lub władze Ruchu Autonomii Śląska wyrażają indywidualne poglądy autorów”. Tak czy inaczej – sporo materiałów podkreśla „inność” Ślązaków, obwiniając winą za cierpienia i represje, zwłaszcza powojenne, Polaków. Totalnej rewizji podlega tutaj historia XX wieku. Na przykład powstania śląskie nazywane są „wojną domową”, którą wywołali obcy, czyli Polacy z Wielkopolski, Małopolski i Kongresówki. Bez sympatii mówi się tu o Korfantym jako o tym polityku, który świadomie i niechętnie zaprzepaścił szansę na utworzenie po I wojnie światowej niezależnego państwa śląskiego (ocena tej postaci dzieli RAŚ od Związku Górnośląskiego, jednej z najbardziej wpływowych organizacji społeczno-politycznych w regionie). Warszawa zaś – wtedy i dzisiaj – postrzegana jest przez autonomistów jako prowincjonalne wschodnioeuropejskie miasto. Jako symbol arogancji i ignorancji władzy.

Nie można zaprzeczyć, że wśród tych wynurzeń publicystycznych, na ogół ahistorycznych, niekiedy rażąco naiwnych czy też czerpiących argumentację z faktów i wydarzeń drugorzędnej wagi, można wyłowić nutę wyraźnej tęsknoty do takiego Śląska, który rządziłby się zupełnie sam. Bez pomocy Warszawy, ale także Berlina. Nie przeceniałbym jednak siły tej publicystyki, uprawianej na ogół, choć nie tylko, przez historyków-amatorów i ludzi „starszej daty”. Zresztą te poglądy nie znajdują przełożenia na oficjalne dokumenty tego stowarzyszenia. Jest to, by tak rzec, rewizjonizm sentymentalny, choć wyrażany w tonie arbitralnym, niekiedy dosadnym. Jego realne znaczenie polityczne jest niewielkie, bliskie zera, co jednak nie przekreśla wyborczych szans tych kandydatów na parlamentarzystów czy radnych, którzy będą w przyszłości jednoznacznie określali się mianem Ślązaków i do tradycyjnego systemu wartości regionalnych się odwoływali.

Potwierdzeniem niech będą każdorazowe wybory do Senatu, przeprowadzane w Polsce według ordynacji większościowej. Liderzy RAŚ zdobywają w nich nawet ponad 100 tysięcy głosów, co jednak nigdy dotąd nie wystarczyło, by dostać się do parlamentu. Inna rzecz, że na początku lat 90-tych, gdy nie obowiązywały jeszcze 5-procentowe progi wyborcze, RAŚ i jego lokalni sojusznicy zdołali wprowadzić do Sejmu dwóch swoich faworytów, którzy jednak od razu

stali się „odszczępieńcami”, więc niechętnie się o tym dzisiaj mówi (jednym z nich był Kazimierz Świtoń). Poza tym w tamtych latach, ale również obecnie, choć w mniejszej skali, RAŚ – zwłaszcza na Ziemi Rybnickiej – zdołał wielu swoich członków i sympatyków umieścić w radach i władzach gmin czy powiatów.

Nie należy jednak, moim zdaniem, przeceniać siły politycznej tego stowarzyszenia, które partią nie jest i nie chce być. Niech więc nas nie dziwi, że liderzy RAŚ, choć po pamiętnym raporcie UOP od razu na znak protestu zwołali konferencję prasową, ostatecznie uznali „pół-zartem, pół-serio”, że służby specjalne zafundowały im „darmową kampanię reklamową”. Być może, jej swoistą kontynuacją niebawem stanie się proces sądowy, który jednemu z liderów RAŚ zamierza wytoczyć mało dotąd znana organizacja pod nazwą Ruch Obywatelski „Polski Śląsk”. Jego przewodniczący poczuł się dotknięty sugestią, że to właśnie „Polski Śląsk” prowadzi działalność agenturalną na rzecz UOP.

Największą troską Ruchu Autonomii Śląska jest dziś niedostatek „świeżej krwi” i nieumiejętność zawiązywania przedwyborczych koalicji (ostatnio – bez powodzenia – z Unią Polityki Realnej). Stąd mariaż z dość ekspansywnym Śląskim Związkiem Akademickim i brak wahań czy oporów, gdy toczyła się debata wokół rejestracji Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Ostatnio RAŚ – jak dotąd również bez powodzenia – próbuje przeforsować pomysł postawienia pomnika ku czci Ślązaków zamordowanych w roku 1945 bądź wywiezionych do Związku Sowieckiego. Pomnik miałby pojawić się na jednym z centralnych placów Katowic i zastąpić stojący tam do tej pory pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej (przed II wojną światową było to miejsce patriotycznych manifestacji wokół usuniętego później przez hitlerowców obelisku, upamiętniającego poległych powstańców śląskich).

Powtórzmy raz jeszcze: mimo nieraz ostrych sformułowań, jakie padają z ust członków czy sympatyków RAŚ, nie jest to organizacja, której dałoby się udowodnić działania na rzecz osłabienia niepodległości Polski. Antypolonizm nie jest bowiem w tym przypadku synonimem antypolskości. To raczej wyraz utrzymującej się w niektórych środowiskach

rdzennych Ślązaków frustracji, mającej podłoże historyczne i współczesne. Historyczne, bo przez długie lata Ślązaków traktowano jak obywateli drugiej kategorii, o czym mówić i pisać nie wolno było. Współczesne, bo koszt transformacji ustrojowej jest nadal bardzo wysoki, a rozwój samorządności lokalnej czy regionalnej – niesatysfakcjonujący.

Krzysztof KARWAT

Coraz mniej wiadomo

1.

„Gospodarka we mgle” brzmiał w *Gazecie Wyborczej* tytuł artykułu o rozmaitych prognozach tegorocznego rozwoju kraju. Rozczarowanie i niepokój towarzyszą zresztą znakomitej większości wypowiedzi i analiz na tematy gospodarcze w poważnych mediach, także opozycyjnych. *Trybuna*, gdzie do niedawna dominowała gorzka satysfakcja, że rządowi tak niewiele się udaje, również zaczęła zauważać, iż jeśli SLD w roku 2001 przejmie rządy, to mogą się one załamać pod ciężarem dziedzictwa i wobec tego nie ma się z czego cieszyć. SLD chce przecież wygrać wybory a nie, broń Boże, rewolucję... Hasło – im gorzej tym lepiej, jest nie na miejscu.

Nad „Obliczami postkomunizmu” debatowali w Łazienkach, w Pałacu na wodzie, uczestnicy międzynarodowego panelu, zaproszeni z okazji 11-lecia *Gazety Wyborczej*. Gospodarz Michnik wywodził: „Czy w ogóle istnieje coś takiego jak postkomunizm? – po komunizmie pojawiała się pewna praktyka i ideologia, w Polsce związana z nazwiskiem Balcerowicza. Dziś gotów jestem nadal bronić tej praktyki, ale po dziesięciu latach jestem coraz bardziej sceptyczny co do ideologii, do myśli, że za pomocą mechanizmu rynkowego można załatwić wszystko. Obawiam się, że może to spowodować

stworzenie w Polsce masy ludzi wykluczonych, pozbawionych możliwości pracy, uczenia się, leczenia itd.”.

O ile Michnik zwątpił w Balcerowicza–ideologa, o tyle otoczenie polityczne wicepremiera (że pominię t.zw. społeczeństwo) zwątpiło również w Balcerowicza–praktyka.

Wicepremier poniósł w Sejmie ciężką porażkę w głosowaniu nad rządowym projektem wprowadzenia podatku od wartości dodanej (VAT – *value added tax*) na produkty rolne: zamiast stopy 3% izba uchwaliła 0%. Wprowadzenie VAT oznacza w ogólności, że producent rolny może sobie w rozliczeniu podatkowym odciąć od należności dla fiskusa opodatkowanie VAT, zawarte w cenie nabytych przez niego środków produkcji (paliw, narzędzi etc.). Jeśliby VAT rolny wynosił 3%, to tenże rolnik powinien odprowadzać do fiskusa taki właśnie procent przychodu ze sprzedaży swoich produktów, przy czym zależnie od sytuacji na rynku mógłby podnieść ceny, żeby przerzucić koszt na nabywcę, albo też by nie mógł i te 3% by stracił. Przedstawiciele opozycji dowodzili, że w porównaniu z 3% całej wartości sprzedaży produkcji rolnej, zwracany chłopom VAT za środki produkcji niewiele waży (mimo że jest to 22%). Wymuszona na rządzie 0% stopa podatku oznacza, że chłop niczego ze swych przychodów nie odprowadza i wobec tego zarabia na czysto. Najwięcej, oczywiście, ten, który najwięcej sprzedaje: duży farmer. Za stopą 0% głosowała cała opozycja, lewa i prawa, oraz... 29 posłów AWS, wbrew zarządzanej w ostatniej chwili dyscyplinie klubowej. Stopa 0% figuruje w programie AWS i nawet jeśli w Senacie uda się skłonić AWS-owską większość do odrzucenia sejmowego rozwiązania, to wątpliwe, czy opozycjoniści w Sejmie ustąpią i ewentualnej poprawki senackiej nie przekreślą. Przyjaciele ostrzegali wicepremiera, żeby sprawy VAT nie ruszać...

Balcerowicz tymczasem natychmiast powtórzył groźbę, że ponieważ przy stopie 0% fiskus straci ok. 1,3 miliarda zł (które to wyliczenie opozycja stanowczo kwestionuje, mówiąc o 200-300 milionach) – nie będzie w r. 2001 obiecanej podwyżki ulgi rodzinnej. A ulga rodzinna na dzieci jest *cheval de bataille* całego obozu katolickiego. Unia Wolności, jako jedyny klub, głosowała samotnie przeciw wprowadzeniu VAT z 0% stopą na produkty rolne. Na tym nie koniec.

Ledwo rozegrano jedno, a już zaczęło się następne starcie: podatek od przychodów osobistych (PIT), którego reformę zawetował w ub.r. prezydent. Balcerowicz chce powtórzyć teraz tamtą inicjatywę (aktualne stawki wynoszą 19%, 30% i 40% – ostateczne w 2003 miałyby wynieść 18% i 28%, a już w 2001: 19%, 29%, 36%). W 1999 reforma PIT padła przede wszystkim z racji jej skrajnie niesprawiedliwego, w odczuciu społecznym, charakteru: ulgi dla bogatych. Argumentem wicepremiera i obozu jego wyznawców, z *Gazetą Wyborczą* w pierwszej linii, *Polityką*, *Wprost* i całą baterią mediów elektronicznych było, że bogaci będą dzięki tej uldze więcej inwestować i stworzą więcej miejsc pracy. Dyskusja, którą streszczam tutaj w tych dwóch sloganach, dotyczyła jednak najpoważniejszego problemu gospodarki: roli państwa i przyszłości państwa opiekuńczego w Polsce.

Wprawdzie od tamtej dyskusji minęło ledwie pół roku, ale parametry sytuacji uległy tak znacznej zmianie, że np. b. premier J.K. Bielecki, członek rady dyrektorów w EBOiR, twierdzi: „Obniżanie dochodów państwa w obecnej sytuacji stało się wręcz niemożliwe. Marzenie wielu przedsiębiorców i ministra Balcerowicza trzeba odłożyć na półkę”. Inni bankierzy nie są tak brutalni, ale wszyscy krzyczą, że budżet musi być „bardziej restrykcyjny”.

Najbardziej spektakularnym powodem tej zmiany stanowisk wobec projektu reformy podatków PIT było nagłe tąpnięcie złotówki wobec dolara (z 4,12 zł/dol do 4,74 zł/dol w momencie najgłębszego spadku i następnie stabilizacji do 4,40–4,50 zł/dol). Rada Polityki Pieniężnej, która jest zresztą za to gorzko krytykowana, sama sprowokowała spadek, uwolniony kurs złotego, t.zn. deklarując, że NBP nie będzie bronił kursu. Poprzednio swoboda kursu już była duża, $\pm 15\%$ poziomu urzędowego, tak, że realnie uwolnienie złotówki nie miało wiele znaczyć. Nie doceniono efektu psychologicznego w sytuacji, w której inwestorzy byli coraz bardziej zaniepokojeni nieustannie rosnącym poziomem deficytu płatności bieżących, a w tym również bilansu handlu i usług. Kiedy ogłoszono, że w marcu przekroczył on 8,4% PKB, ziemia pod złotówką się zapadła.

– Nic to – powiedział wicepremier za małym rycerzem – i ponowił atak podatkowy. Nie jest to jednak tym razem

projekt rządowy, tylko grupy posłów instruowanych przez Ministerstwo Finansów zgłoszony wprost w komisji finansów, nie u marszałka.

„Prace komisji nawet się jeszcze nie rozpoczęły – pisze sprawozdawca *Gazety Wyborczej* – a już premier Buzek i szef AWS Marian Krzaklewski zaczęli forsować propozycję odbiegającą od zgłoszonego projektu”. W myśl tej propozycji obniżono by podatek PIT tylko tym osobom fizycznym, które tworzą miejsca pracy, czyli prowadzą działalność gospodarczą. Balcerowicz zaoponował, bo jego zdaniem takiego rozróżnienia podatników nie da się skutecznie przeprowadzić (każdy może w Polsce zgłosić prowadzenie działalności gospodarczej nie mając nawet maszyny do pisania i śrubokręta). Część posłów AWS współfirmujących projekt, uwiarywszy wicepremierowi, postanowiła się podobno w ogóle wycofać z inicjatywy.

Pozwolę sobie na przepowiednię: w br. nie będzie żadnej reformy podatków. Działania wicepremiera są raczej swoistym testamentem, *ceterum censeo* na odchođnym.

Gospodarka we mgle – nie jest bynajmniej stwierdzeniem obiektywnej kłeski. PKB po pierwszym kwartale rośnie, wg Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, w sposób pozwalający przewidywać wykonanie m.in. prognozy rocznej z budżetu (5,1% wobec założenia minimalnego 5,2%). Inflacja jest jednak nadal wysoka, ponad 10% w skali rocznej, a deficyt handlu i płatności bieżących nie przestaje rosnać. Wg ministra gospodarki Steinhoffa deficyt płatności na koniec roku nie będzie niższy niż 8% PKB (wobec 7,6% w 1999). Prognozowane wzrosty eksportu (o 14%) i importu (8,9%) są, przyznaje Steinhoff, nierealne: eksport wzrośnie wg aktualnych przewidywań o 4% do 27,4 mld dol., a import o 6% do 43,2 mld dol. Konieczne będzie – to Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową – chłodzenie popytu wewnętrznego i niski wzrost płac, co sprawi, że w 2001 r. tempo wzrostu PKB spadnie do 4,2%... Bezrobocie na koniec roku najpewniej wzrośnie do 3 mln, tj. 15% ludności zawodowo czynnej.

Wywiadownia The Economist (Economist Intelligence Unit) poprawiła niemniej notowania Polski jako miejsca lokaty kapitału na liście 60 krajów: z 33 na 29. Choć infrastruktura w Polsce jest kiepska, za to łatwiej się prowadzi

działalność gospodarczą, niż gdziekolwiek indziej w Europie Wschodniej. Tyle dobrego.

2. Kiedy gospodarka jest we mgle, w polityce niepokój wywołuje ruchy nerwowe i poszukiwania na ślepo.

Marian Krzaklewski przetrzymał kontestatorów w AWS. Pomysł prawyborów upadł. ZChN, PPChD i nawet SKL pogodziły się z tym, że kandydatem AWS w wyborach prezydenckich będzie Marian Krzaklewski, tylko i wyłącznie. W zamian za to mają ponoć otrzymać premię w postaci zmian w rządzie (ale bez wymiany premiera), rewizji zasad głosowania w AWS i wreszcie gwarancji co do list wyborczych do parlamentu w 2001. Krzaklewski zapowiada kampanię dynamiczną i wierzy w zwycięstwo, jak „husaria pod Kircholmem”. We własnych elitach władzy spotyka się tylko z chłodną ironią. Nie wiadomo bowiem, na czym ta dynamika miałyby się zasadzać. Czy na tym, co podsuwa poseł Niesiołowski z ZChN, gdy nazywa aktualnego prezydenta „porno-grubasem”, a zatem na agresji słownej i dekalogu z zakrystii? Trochę tego mało, jak na program prezydencki.

Słabość Krzaklewskiego polega przede wszystkim na tym, że będąc tradycjonalistą z krwi i kości nie ma skutecznych wyborczo tradycji, do których mógłby się odwołać. Tradycja Solidarności jest martwa, a i sam związek mimo rozkrzewionego na posadach „aktywu”, nie miewa się dobrze, traci inicjatywę na rzecz OPZZ, zwłaszcza w kwestii bezrobocia, i płaci wygórowaną cenę za rolę związku rządowego.

Inne tradycje prawicy, zwłaszcza narodowo-katolicka, osobście Krzaklewskiemu bliska, jest zajęta przez skrajną prawicę i ZChN. Ta ostatnia partia, gdzie najbardziej prawicowe skrzydło znów odgrywa główną rolę i narzuca język całej formacji, ma największe wymagania i przyłoży Krzaklewskiemu dosłownie nóż do gardła. A wśród programowych postulatów ZChN na pierwszy plan powraca znowu państwo wyznaniowe, gdzie nigdy nie dość będzie „obecności Kościoła w życiu publicznym”.

ZChN sam sobie tego nie wymyślił. Hierarchia kościelna nie czuje się swojsko w sytuacji tak bezwzględnej przewagi prezydenta i SLD w sondażach politycznych, nawet jeśli uzys-

kuje od nich rozmaite satysfakcje. Od zakończenia Wielkiego Postu w mediach publicznych i w prasie prorządowej, z *Rzeczypospolitą*, trwa nieustający festiwal świętości. Nabożeństwa, święcenia, pielgrzymki i kazania. Teraz obchodzimy 80-lecie papieża, w telewizji publicznej będzie całodzienna transmisja z Wadowic i serial biograficzny o Karolu Wojtyłe, „tajemnice z Fatimy” są prezentowane jak największe odkrycie XX wieku. Zwłaszcza od kiedy okazało się, papież *dixit* (podobno), że owa trzecia tajemnica to była przepowiednia zamachu na papieża, spełniona w 1981 roku. Ale dzięki interwencji Matki Boskiej papież wyzdrowiał i alleluja. TVP żyje obecnie w obłoku cudów.

W tej atmosferze prezydent zawetował ustawę o całkowitym zakazie pornografii. I on sam, i jego minister Ryszard Kalisz głoszą wprowadzić na każdym kroku, że „pornografia jest złem” i że weto wynika tylko z niechęci do uchwalania nieskutecznego prawa. Nawet nie ośmielają się zająknąć, że dorośli Polacy mają prawo do pornografii, tak jak mają prawo do upijania się, byle nie na widoku publicznym... Bp Pieronek skwapliwie odpowiada, że przecież żadne prawo nie jest całkiem skuteczne, np. zakaz zabijania czy zakaz kradzieży – i oczywiście ma rację. Jednak w państwie liberalnym nie można każdego zła chcieć zwalczać prawem i nie można też *ex cathedra* deklarować „złem” i „absolutnym złem” obyczajów i zachowań, które nie odpowiadają określonej ortodoksji.

Kropkę nad „i” postawił 14 maja kardynał Glemp, który dokonał publicznej samokrytyki Kościoła i przeproszał za grzech największy (!), a mianowicie... zaniechania w walce ze złem, za „brak strategii walki ze złem”.

Czy jest to już zapowiedź aktywnego włączenia się hierarchii w walkę wyborczą? Niekoniecznie i zwłaszcza niekoniecznie zaraz w tym roku. Kwaśniewski, mimo że „pornogrubas”, jest zbyt popularny, by hierarchia chciała się narażać na kompromitującą klęskę. Ale liczyć się będą wybory parlamentarne w r. 2001, zwłaszcza że Leszek Miller zapowiedział już publicznie liberalizację ustawy antyaborcyjnej, którą biskupi

* Zapewne Telewizja Familijna, którą tworzą ex-pampersi na spółkę z Telewizją „Niepokalanów” franciszkanów, posiadaczka licencji za pieniądze czterech wielkich spółek państwowych – ma znakomicie zaniechania te nadrobić. Radio Maryja już się osłuchało.

uwazają za kamień węgielny nauki i pozycji Kościoła. Z tego wynikałoby, że episkopat nie zaangażuje się całą mocą w kampanię Mariana Krzaklewskiego. Problem, nierozstrzygnięty, polega jednak na tym, że jeśli Krzaklewski przegrał zbyt wyraźnie, nie daj Bóg już w pierwszej turze, to AWS by się rozleciał i w 2001 roku nie miałby kto walczyć z bezbożnikami. Nie wkładając obu rąk w ogień za kandydata AWS, episkopat uczyni, co zdoła, by ocalić szanse prawicy w r. 2001.

3.

Decydują się losy polskiego akcesu do Unii Europejskiej. Po półtorarocznym wakansie premier Buzek mianował wreszcie koordynatora UKE, odpowiedzialnego za tę sprawę sekretarza stanu, min. Jacka Saryusza-Wolskiego, polskiego „Mister Europa”. Powszechnym zdaniem jest to wybór trafny, ale przed nowym sekretarzem piętrzą się trudności.

Wg ostatniego sondażu Eurobarometru w UE tylko 28% pytanych Europejczyków uważa rozszerzenie Unii za jeden z priorytetów: pierwszym priorytetem jest dla 90% walka z bezrobociem.

Najchętniej „przyjmuje się” do Unii bogaczy, Norwegię (71%) i Szwajcarię (70%), choć akurat te kraje nie zgłosiły swej kandydatury. Więcej zwolenników niż przeciwników ma akces Malty (49:47), Węgier (47:31), Polski (44:34), Cypru (43:33) i Czech (42:35). Szkopuł w tym, że we Francji i Niemczech, najbardziej wpływowych krajach Unii, mamy szczególnie kiepskie notowania: 39:46 we Francji i 34:49 w Niemczech. Gorzej odnoszą się do naszego akcesu tylko Austriacy. Ogólnie w całej Unii poparcie dla naszego wstąpienia wzrosło w ciągu roku zaledwie o 1 punkt (z 43% do 44%). Tyle tzw. szeroka opinia europejska.

W elitach zachodnioeuropejskich trwa, jak wiadomo, debata o kształcie przyszłej Unii. Formuje się coraz wyraźniej koncepcja twardego jądra i peryferii lub, jeśli kto chce, salonu i przedpokoju. Jacques Delors lokuje w salonie sześciu członków założycieli, Giscard d'Estaing i Helmut Schmidt – członków strefy euro. Joschka Fischer przedstawił w odpowiedzi wizjonerski plan federacji europejskiej ok. 30 państw, z prezydentem, dwuizbowym parlamentem i rządem. Państwa członkowskie zachowałyby swą tożsamość narodową ale konstytu-

cja europejska wyraźnie i precyzyjnie dzieliłaby atrybuty suwerenności pomiędzy federację i państwa członkowskie. W gruncie rzeczy pomysł Fischera nie jest wcale polemiczny w stosunku do wspomnianego jądra czy salonu. Jest tylko ulokowany dalej w czasie, a w drodze do jego realizacji potrzebna będzie „awangarda integracji” spośród członków UE. Awangarda Fischera jest jednak mniej ekskluzywna niż salon i ma też wytyczony z góry punkt dojścia, ową federację. Fischer zastrzegł, że jego plan nie jest propozycją rządu RFN.

Dyskusja elit poprzedza zapowiadane na grudzień, za prezydencji francuskiej, reformy strukturalne organów decyzyjnych Unii. Przedtem, we wrześniu, miał być określony kalendarz akcesyjny. Jest na to jednak mało szans, co potwierdził odpowiedzialny za rozszerzenie Unii komisarz Verheugen, mimo że Saryusz-Wolski ostrzegwał w Brukseli, że nieokreślenie terminu przyjęcia spowoduje opóźnienie procesu przygotowań.

Polska dyplomacja i polski rząd nadal podtrzymują termin końca r. 2002 jako termin pełnej gotowości Polski do akcesu, ale zarazem polskie media, ustępując przed realiami, przygotowują czytelników i słuchaczy, że nie znajdziemy się w Unii ani w 2003, ani w 2004, może dopiero z końcem 2005. Nie wiadomo jeszcze jak to skutkuje w opinii. Ponieważ połowa Polaków nadal ma wobec idei akcesu stosunek sceptyczny – poprawa, o której wspominał premier Buzek, jest minimalna – postanowiono wzmocnić kampanię informacyjną.

O tym, że Polska powinna przystąpić do Unii przekonany jest i rząd, i opozycja SLD (PSL mówi raczej „tak, ale”), choć różnie stawiają akcenty. Dotyczy to zwłaszcza socjalnego aspektu Unii i jej stosunków z USA: ostatni rok sprawił, że kierownictwo SLD czuje się teraz bliższe Francuzom Jospina, niż niedawnym swoim mentorom z Londynu i Berlina. Nie potrafię ocenić, czy z wzajemnością. Sądzę jednak, że w kampanii wyborczej te różnice nie będą wygrywane. Natomiast skrajna prawica jest już otwarcie antyunijna i na tym buduje wszystkie swe wystąpienia. Amplifikowane w telewizji i radiu przy okazji kampanii wyborczej te obsesje skrajnej prawicy mogą sporo naszkodzić.

Krzysztof WOLICKI

Warszawa, 15 maja 2000 r.

Kartki ze skażonej strefy

Wojna '39 roku. Uciekając przed Niemcami na wschód, oparliśmy się z mamą o dawną granicę z Rosją sowiecką, by po 17-tym września zrobić gwałtownie w tył zwrot i kierować się z powrotem ku Warszawie. Śmierć czyhała na każdym kroku, ale obrazem prawdziwej grozy, zapowiedzią czegoś nadchodzącego i nieprzewidywalnego, stał się dla mnie Zamość. Mam go w oczach.

Pierwsze wrażenie: nieproporcjonalnie wielki Rynek (sto na sto metrów), tańczące na nim, poirytowane konie, nierytmiczny trzask ich kopyt o bruk; na koniach, oklep, krasnoarmiejki w cienkich milanezowych nocnych koszulach, w ozdobnych kapeluszach na bakier dopiero co wywleczonych z żydowskich sklepików w podcieniach Rynku. Żołnierki rozanielone, w euforii balu, pijane wódką i strojem, nie baczą, że strzemion rozpaczliwie czepiają się właściciele zagrabionych rzeczy, lamentując cichutko. Dołem walają się tekturowe opakowania, wyżej fruwią papiery, nad nimi chmary skrzeczających ptaków. Bokiem, w stronę prześwietlonej twierdzy, eskortowany przez Rosjan oddział polskich wojskowych. Epolety zdarte, głowy pospuszczone; milczenie, zupełne milczenie. Smutek i wstyd. Ich, i tłumu. Czasem ktoś odważniejszy przyskoczy, poda chleb, przyjęty bez podnoszenia oczu...

Zamość zapadł mi w pamięć najmocniej z całej wrześniowej peregrynacji. Przygarnęła nas wówczas gościnnie lekarka, Żydówka, wychowująca autystycznego syna sześciolatka. Miał wielki kolorowy atlas ptaków i zwierząt, głośno wykrzykiwał ich łacińskie nazwy. Gdy poszliśmy do ZOO, rozpoznawał je żywe i wzywał też po łacinie. Imponował mi. Dobrze nam było u pani doktor. Mieszkanie zasobne, czyste, duże, z gosposią. Za porady pacjenci płacili żywnością. Chciałyśmy wierzyć, że fala wojny przetoczy się obok nas.

Pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że Ruscy się wycofują. Na mocy dwustronnej ugody Zamość mieli przejąć Niemcy. Na ludność – w połowie w mieście żydowską – padł

nowy strach. Bo choć krasnoarmiejcy byli dziczą, zabijali drób walnięciem o ścianę, grabili, gwałcili i wykazywali zupełnie dla nas niezrozumiały głód na zegarki (każdy miał ich na ręku po kilkanaście, zrabowanych oczywiście) – to jednak Niemców bano się inaczej. Daleko głębiej.

W uliczkach zaroilo się od ludzi z tobołkami; pospiesznie zabijali deskami witryny i ruszali za wojskiem na wschód.

Mama patrzyła na lekarzkę zdumiona: nie szykowała się do drogi. „Nie lepiej uciec przed Niemcami?” – pytała. Lekarka wskazywała dziecko: „z nim? Jak? Nigdzie się nie ruszę.”

Przeżyliśmy dzień i noc zupełnej pustki. Zamość znie-ruchomiał. Rejwach na Rynku zamarł. Żywej duszy. Dopiero wtedy zwróciłam uwagę na architekturę, przypominała trochę warszawską Starówkę.

Po 24-ch godzinach na Rynek wjechała w ordynku zmortyzowana kolumna Niemców. Stalowe hełmy, stalowe płaszcze i niesamowity porządek. *Ordnung muss sein!* Na ratuszowej wieży załopotą flaga ze swastyką a w Ratuszu ulokowała się komenda. Matka zaraz tam poszła. Była dwujęzyczna; mówiła *hoch Deutsh* i w naturalny sposób traktowała Niemców z pewną dozą wyższości, co niebawem w okupacyjnych sytuacjach podbramkowych okazało się niezmiernie przydatne.

W Ratuszu otrzymała *ausweiss* na opuszczenie miasta. Mogłyśmy wracać do domu, ale nie było jak. Gospodyni znów pomogła. Skierowała nas do prywatnego właściciela autobusu (Żyd – jednak nie wszyscy zabrali się z Rosjanami), który szuka pasażerów do Warszawy. Właściciel siedział na wysuniętym nosie maski dolewając z konewki paliwo do baku. W ten sposób zawlekliśmy się po kilku dniach do rogatek stolicy.

Lekarka nie dała się uprosić. Nie pomogło osobiste zaproszenie mamy ani argumenty, że w wielkim mieście, gdzie nikt ich nie zna, łatwiej się ukryć. Kręciła przecząco głową i wskazywała na syna: nie!

Gdy po sześćdziesięciu latach stanęłam znów na zamojskim Rynku, obraz z tamtego czasu wrócił. Zorientowałam się po topografii, że mieszkam w tym samym domu, co wtedy. Nowy orbisowski hotel „Zamojski” zlepiono z czworoboku sześciu kamieniczek. Fasady zachowano, wnętrza naturalnie zmieniono. Jestem na uroczystym otwarciu.

Żałowałam tego dnia, że jadłam w drodze śniadanie. Bankiet, jaki nas czekał, przechodził wszelkie spodziewanie. Prezentowano kuchnię szlachecką, ukraińską i chłopską. Takiej zupy borowikowej nie kosztowałam nawet przed wojną. Takiego piwa typu pilzner w butelce kształtu granatu niemieckiego z browaru z pobliskiego Zwierzyńca nie piłam; takich komnat, jak te tutaj, nie widziałam. Tylko po co? Po co Zamościowi ten wielki wykwinny hotel na sto miejsc i kilka sal konferencyjnych?

Zaciekawienie polityczne Polską z początków ubiegłego dziesięciolecia zaprzepaściliśmy. Nie udało nam się przekształcić go na zainteresowanie krajem jako takim. Turystyka zagraniczna spada na łeb, na szyję. Kraków nie stał się turystyczną Pragą ani Budapesztem. Polski się nie zwiedza, przez Polskę się przelatuje w drodze na południe czy wschód. Ze słów prezesa Orbisu wynika, że bardzo liczy, iż hotel „Zamojski” przełamie impas, zapoczątkuje turystykę na Roztoczu, w obszarach przepięknych i czystych ekologicznie. Jodły w Górach Świętokrzyskich, ukochane jodły Żeromskiego, kończą żywot, zatrute wielką cementownią, tutaj, w Roztoczańskim Parku Narodowym, wchodzą w okres rozkwitu. Tu bobry, cietrzewie, głuszce – przyjeżdżajcie!

Dotychczas turyści wpadali do Zamościa na kilka godzin, dziś zanocują, bo jest gdzie spać i co oglądać przez wiele dni. Ponadto, co może ważniejsze – wyposażony po europejsku hotel stanie się dogodnym miejscem zjazdów i spotkań polsko-ukraińskich. Brakowało takiej bazy w terenie przygranicznym. Gdy w pałacu w Łańcucie urządzono sąsiedzkie spotkanie na wysokim szczeblu rządowym, lód do koktajli musiano sprowadzać z Warszawy. Tu wszystko będzie na miejscu. „Zresztą, państwo sami zobaczą...”

Wychodzimy na Rynek. Ogródki pod parasolami. Piwo, które w Warszawie kosztuje 12 zł, tu – trzy. Przemięła obsługa, bardzo młoda i dorodna. Zapytani, podkreślają jednak bezrobocie. Chłopcy jadą stąd na warszawskie budowy, żeby zatrudnić się na czarno. Na czarno, to znaczy, że przedsiębiorca nie płaci za nich ubezpieczenia, nie zarobią na emeryturę. Polak na czarno bezpieczniejszy od „Ruskiego”, bo nie zdradza go język. W razie kontroli skarbowej zatrudniającemu łatwiej się wyłgać, mówi, że rodzina zjechała.

Na oko Zamość sprawia wrażenie zasobności i ruchu w interesie. Prace renowacyjne w toku, ludzie dobrze ubrani, nie ma żebractwa, nie ma złodziei samochodów, ani watah sfrustrowanej młodzieży, nie ma satanistycznych czy antysemitickich graffiti na murach. Nie widać nawet blokowisk na horyzoncie, które długo jeszcze będą zapaskudzać nasze miasta; w Zamościu ulokowano je na obrzeżach. Gdzie jestem? W jak pięknym świecie się znalazłam? Oczywiście, idealizuję, ale moją miarą jest Warszawa, a jaka jest, każdy widzi.

Pogoda przydaje blasku otoczeniu. Bywały w Polsce upały w kwietniu, ale trwały dwa, trzy dni. Kwiecień 2000 cały upalny. Bzy, które zwykle kwitną na Zośkę – tego kwietnia w pełnym rozkwicie. Kasztanowce, czeremchy, irysy – wybuchły jednocześnie. Bardzo to piękne, ale groźne. Rolnicy w strachu. Gdy przyjdą przygruntowe przymrozki, zważą kwitnące sady. Nie myślimy o tym. Wieczorem nie chce się iść pod dach, tylko siedzieć na Rynku, sączyć piwko i patrzeć, jak niebo granatowieje nad Ratuszem.

Nie znoszę zwiedzania zabytków, choćby najświetniejszych. Dreptanie w miejscu, zadzieranie głowy, patrzenie, słuchanie męczy mnie daleko bardziej niż daleki marsz. Chyba że osobowość przewodnika potrafi przykuć uwagę do tego, co on chce. Redaktor Giedroyc mówił, że miał takiego przewodnika – był nim Wacław Zbyszewski.

Otóż trafił nam się podobny przy zwiedzaniu Zamościa. Kobieta. Młoda, przystojna, dowcipna i kompetentna. Co rzekła, to smacznie. Człowiek chciał notować, ale wołał słuchać...

Król Łokietek objeżdżając pobojuwisko po bitwie pod Płowcami, zauważył rannego wojaka, któremu bebechy wychodziły na wierzch. Bardzo się wzruszył, nadał mu herb „Jelita” oraz dobra ziemskie. Wojak, Florian Szary, wylizał się z ran i przyjął nazwisko Zamojski od wsi Zamość, jaką otrzymał. Ród robił karierę. Pod koniec XVI wieku Jan Zamojski, Kanclerz Wielki Koronny, przekształcił wieś w kompletne renesansowe miasto wedle wzorów architektów włoskich. Wybitny polityk, doradca Stefana Batorego, był człowiekiem szerokiej ręki i otwartego umysłu, pozwolił na osadnictwo Ormian, Greków i Żydów. Protestant, przywrócony katolicyzmowi w Padwie, nie zaniechał tolerancji. Mawiał: „pó

życia bym oddał, żeby niewiernych nawrócić, ale całe – żeby ich bronić przed prześladowcami”. Dziś wycieczki z Izraela i z Ameryki pytają o dom, w którym urodziła się Róża Luxemburg i dom poety Ichocha Pereca. Róża dom jest, wraz ze stosowną tablicą, Pereca – zmiotło.

Mimo zawieruch losu miasto przetrwało w oryginalnej formie 400 lat, czyli do dziś. Obrosło legendą literacko-historyczną, od Sienkiewicza po Łukasiewskiego. Stało się skuteczną twierdzą, wielokrotnie bronioną. Żeby się streszczać: Zamość został wpisany przez UNESCO do zabytków najwyższej wartości w skali światowej, za czym idą pieniądze na konserwację. Nawiasem mówiąc, Zamość jeszcze ich nie odebrał, bo nie dopełnił formalności, co sprawnie wykonały Wilno i Lwów, i swoje wzięły.

Ostatnim punktem przechadzki po Zamościu jest Akademia. Doskonale zachowany czworoboczny budynek, został zatwierdzony jako wyższa uczelnia bullą papieża Klemensa VIII w 1594 roku. Jej strukturę wzorowano na szkole Sturm w Strasburgu. Dziś w budynkach Akademii mieści się kilka szkół średnich, w tym jedno z lepszych w Polsce liceów, którego absolwenci nierzadko lądują jako stypendyści w Strasburgu. „Jak moja córka” – mówi nasza przewodniczka.

Zamość leży na skraju rozfalowanego dzikiego Roztocza. Jedziemy tam nazajutrz. Miasto-ogród Zwierzyniec; stary kościółek na wodzie; nowy kościół z makietą obozu tranzytowego dla ludności zamojszczyzny, jaki się w tym miejscu znajdował w czasie wojny. Zamojszczyzna była terenem najbardziej ucierpiałym w Guberni Generalnej. Najbardziej ucierpiał dzieci. Trzydzieści tysięcy oderwanych od rodziców. Róża Zamojska wyżebrała od Niemców 600 maluchów, z których stworzyła ochronkę. Pozostałych rozwożono w nieznaną. Pamiętam, jak po Warszawie zimą 1942/43 roku przebiegła szeptana wieść, że na bocznicach Dworca Wschodniego stoją wagony towarowe z dziećmi. Trzeba tam iść, odbić deski i rozebrać te, które jeszcze nie zamrzły lub nie umarły z głodu, apelowano. Czy dużo z nich uratowaliśmy...?

W Zwierzyni napotykamy nieformalną grupkę chłopców w wieku 15–8 lat. Starsi objuczeni plecakami po 15 kg, młodszy – lżejszymi. Cały sprzęt na sobie. Zmęczenie i szczęście

cie w oczach. Jednego się boją, czy ich do lasu wpuszczą z powodu zagrożenia pożarowego. Są ze Stalowej Woli. Typowego miasta upadającego ciężkiego przemysłu. Zatrute pyłem i marazmem. Wylęgarnia frustratów. Ulubiony temat filmowców-dokumentalistów: odrapane bloki, butelka, liche narkotyki i rozbój. Przesłanie jest takie: ludzie stąd nie mają innego wyjścia. Życie nie daje im propozycji. Bzdura! Wyjście jest. Choćby takie, jakie wybrali ci chłopcy na długi majowy weekend...

Przejażdżka bryczką, zaprzęzoną w koniki polskie, czyli tarpany. Koniki polskie wcale nie są polskie. Są stepowe. Dosiadali ich kozacy, a rycerze się śmiali, że na psach jeżdżą... Małe, o napuszonej dwukolorowej grzywie; maści myszowatej, wytrzymałości wielkiej, skubią, co popadnie w leśnych ostojach. Niektóre z nich leśnicy zwerbowali do pojazdów. Muszą być podkute, ale kowalstwo upadło. Do ich kucia sprowadza się hacele ze Szwecji, a kowala do domu.

Podbiła mi serce Zagroda Guciów. Szczera wieś u podnóża lesistej góry z siedliskiem praślowiańskim, dołem Wieprz. „Recepta na duszę” – mówi gospodarz Zagrody, Stach Jachymek, zataczając szeroki łuk ręką wokoło i wyliczając jednym tchem walory: „rowery, konie, przestrzenie, buki, orły...”. Na pewno jest to model odpoczynku na XXI wiek.

W małej roztoczańskiej wiosce małżeństwo Jachymków, trochę poetów, trochę etnografów, którzy poznali się na studiach, stworzyli miejsce, o którym pomyślałam, że mogłabym tu pozostać. Kompleks trzech chat „konstrukcji zrębowej na jaskółczy ogon, kryte strzechą z kiczkami w narożach i kozłami na kalenicy”. Pięknie brzmi, jeszcze piękniej wygląda. Już nie będzie takich strzech. Ostatni strzecharz zmarł. Nie przekazał umiejętności nikomu. Ubijamy w drewnianej maselnicy masło, które topi się potem na gorących podpłomykach, litrówka samogonu krąży z ręki do ręki. „Dobrze by tu było” – myślę. Myśl wzmacnia fakt, że w każdym z wynajmowanych przez Jachymka pokoiów jest łazienka! Anna Jachymek pisze:

Po krowy na pioch

Zapachy, zapachy

Mleczno-krowi i traw

Brzęk łańcuchów

Gonią przez kartofle

Już na drodze

Kurz...

Wrotycz, wrotycz, kurz...

A mąż jej wtóruje:

Czasu na wędrowanie w chmurach

Czasu na ciszę

Czasu na zdziwienie

Może nam trzeba?

Romantyzm chodzący po ziemi. Stacha nie od parady zrobiono sołtysiem. Poza swoją zagrodą, sporo we wsi dokonał. Rzeczy drobnych i praktycznych. W tym sielskim roztoczańskim otoczeniu, w stronach jakby stworzonych, żeby słać naturę, i zapomnieć o brudzie świata, ludzie myślą trzeźwo. Gdy tylko temat zahacza o politykę, adrenalina rośnie. To tu usłyszałam miażdżące: „azotoxem ich!” (przypominam: azotox, środek owadobójczy, silnie żrący.) Nie musieliśmy pytać o adresata; wiedzieliśmy, o co chodzi. Z niewesołą satysfakcją pomyślałam, że nie tylko mnie szlak trafia. W spojrzeniu na władzę naród jest jednomyślny.

Zmiana ministra ochrony środowiska z dobrego na złego, płace leśników Parku Narodowego mniejsze niż w lasach państwowych, to tylko pierwsze z brzegu przykłady. Rządy prywaty i korupcji nie ulatują z głów – „poeta pamięta”...

Lokalni „mężowie stanu” przy stoliku na bankiecie w hotelu. Przypominam sobie, trąciłam męża: „patrz, sekretarze”. Przejęli po tamtych sposób życia i bycia, choć młodzi, znali ich tylko z fotografii. Długo wlecze się za nami przeszłość.

Wróciłam do domu i podlewam uschłe kwiaty na balkonie. Kurz kopanej piłki na boisku pod nami wznosi się w górę wraz z przekleństwami. Śmiesznie brzmią te „kurwy”

w ustach chłopców przed mutacją, sopranowo. Tak nam to słownictwo weszło w ucho, że sami zaczynamy się nim posługiwać. „Znowu, kurwa, wrzuciłeś łyżeczkę do śmieci!” Brzydkie wyrazy przestały być brzydkimi wyrazami. Weszły na prawach obywatelstwa do potocznej mowy. Nie poprzedza się ich, jak dawniej: „że się tak wyrażę, że zacytuję...” Brzmia naturalnie. Natomiast anachronicznie brzmi pisk w telewizji głośzący brzydki wyraz.

Chłopakowi z dołu ukradziono już czwarty rower. Z dwóch musiał zsiąść dobrowolnie, stali nad nim zabijaki z kijami, dwa kolejne wyjęto z dobrze zabezpieczonej wózkarni. W piwnicy można spokojnie trzymać odzież. Kozuchów nikt nie ruszy. Biorą tylko rzeczy cenne. Stopa nam rośnie.

We wszystkich domach towarowych na świecie klienci kradną. U nas do perfekcji w kradzieżach doszli ochroniarze. W jednym z mieszkań znaleziono hurtownię rzeczy ukradzionych przez ochroniarzy z marketu, którego chronili. Daleko więcej nakradli niż klienci razem wzięci w tym samym czasie.

Do niedawna narzekano na plagę Cyganów rumuńskich zapadłych w Warszawie pod mostem Grota-Roweckiego. Plaga polegała na tym, że kobiety z niemowlętami zalegały ulice, śpiąc pod ścianami domów. Starsze dzieci wsiadały do tramwajów i autobusów taszcząc harmonie, na których grały. Nikt nie ucierpiał, nie kradli, nie byli napastliwi. Jedną szybką obławą policyjną zwinięto ich obóz i wszystkich deportowano.

Teraz mamy tylko własnych Romów. Niestety, bywają niebezpieczni. Napaść zwykle rozpoczynają Cyganki. Dziennikarkę pobiły na swoim zjeździe za wtrącanie się w ich sprawę. Na ulice są wysyłane na wabia.

Zaprosiłam przyjaciółkę na wczesny obiad. Zwykle punktualna, nie przychodzi. Po godzinie telefon: jest opatrywana. Idąc do nas podeszła do niej Cyganka pytając, gdzie jest ulica Żółkiewskiego. Przyjaciółka tłumaczyła wytrwale, bo Cyganka, bardzo skupiona, powtarzała z przejściem etapy drogi. Do tłumaczącej zbliżyło się z tyłu trzech mężczyzn i – było po herbacie. Ograbili ją i poturbowali. Przyjaciółka rzuciła w stronę Cyganki: „Jak się pani nie wstydzi!” Zauważyła, że tamta, świetnie władająca polszczyzną, zupełnie nie pojmuje, w czym rzecz.

Coraz częściej ludzie w Warszawie pytają mnie o drogę. Sprawia mi drobną przyjemność ten kontakt. Staram się więc być precyzyjna w tłumaczeniu. Czy w imię bezpieczeństwa mam się wyrzec tej małej uprzejmości świadczony innym?

Spotkanie z Tomaszem Venclovą. Miał ich kilka w Polsce, Z dużym powodzeniem. Trafiłam na najlepsze, bo nie było o literaturze, tylko o ludziach. Przystojny chłop, miły i prosty w obejściu. Po polsku mówi nie jak Wilniuk, ale jak Warszawiak.

Jako początkujący poeta i tłumacz uganiał się za Borysem Pasternakiem i Anną Achmatową. Pasternak nie ruszał się z Pieriedelkina, Achmatowa koczowała po ludziach. Pasternak miał lat siedemdziesiąt a wyglądał jak czterdziestolatek, mimo to niebawem umarł. Achmatowa wyglądała bardzo staro, ale jeszcze pożyła. Pasternak z wiekiem pisał coraz gorzej a był przekonany, że pisze lepiej. Achmatowa myślała, że pisze coraz gorzej a pisała coraz lepiej. Jej charakter porównywano do carycy Katarzyny II. Paraliżowała człowieka jak pajak muchę w sieci. Może dlatego przyciągała młodych twórców? Biegali za nią chcąc zaprezentować swoje wiersze. Werdykt Achmatowej był decydujący. Schorowana, jednak godziła się na tę rolę. „No, niech pan czyta” – rozkazywała zmęczonym głosem, gdy młodzieniec zjawiał się u progu. Stwierdzenie, że rytm niezły, znaczyło, że wiersz jest do kitu. Zdanie: „w pańskich wierszach jest tajemnica”, było pasowaniem na poetę. Tak oceniła wiersze Josifa Brodskiego, jak tylko je usłyszała. Natomiast Pasternakowi powiedziała: „za mało tajemnicy”; odwzajemnił się: „a u pani za dużo”.

Pod koniec życia Achmatowej urządzono tryumfalne *tournee* po Włoszech. W Taorminie odbierała nagrodę. Jechała na północ w orszaku; pokazywano jej wszystko, co najpiękniejsze. Gdy potem spytano ją o wrażenia, powiedziała: „Najlepiej pamiętam dworzec kolejowy w Wenecji i osie kół pociągu do połowy zanurzone w wodzie. Za późno” – dodała po chwili milczenia. Wkrótce zmarła.

Jej pokolenie naznaczone było owym „za późno”. Należy żałować? Czy żyjąc w wolności, bez wiecznej trwogi, pisałyby gorzej?

To pytanie odnosi się do poetów. Natomiast żal o życie w niedobrym czasie jest częstym tematem rozmów całego mojego pokolenia. Spieramy się z mężem, która generacja dostała bardziej w kość, nasza, czy naszych ojców? Wyliczamy, ile dobrego czasu mieli oni, ile my.

Danym mi było brać udział w entuzjazmie pierwszej Solidarności, ale potem nastąpiły lata martwoty. Gdy nastąpiła wolność, moje pokolenie było już spóźnione.

Andrzej Zakrzewski, minister kultury, na krótko przed śmiercią, urządził spotkanie drukarzy i wydawców opozycyjnych. Zjechali się z całej Polski. Był piękny dzień, towarzysztwo przeniosło się do ogrodu na zapleczu Ministerstwa.

Wino się lało. Gęby się nie zamykały. Nastrój jak na koleżeńskim zjeździe szkolnym po latach. Tylko ja milcząco sączyłam wino. Nikt do mnie nie zagadał, ani ja do nikogo. Minęliśmy się. Wtedy oni byli bardzo młodzi, teraz są w najlepszym swoim czasie, w uderzeniu, w karierach.

Poczułam się outsiderem. Zdałam sobie sprawę, że ze swoim rocznikiem w nic nie trafiłam. W wojnę – ni to dziecko, ni podłotek, w stalinizmie – zastraszona i pogubiona. Bez środowiska. Długo szukałam pracy drepcząc po gabinetach. Patrzonó na mnie ze zdziwieniem, bo nie mogłam powiedzieć, od kogo przychodzę. Gdy wreszcie przyjmowano mnie do roboty, byłam podejrzana. Zastanawiano się, kto za mną stoi, czym jestem człowiekiem. Nie mogąc dociec, brano mnie za wtykę.

Teraz, gdy mamy wolność, nadeszła starość. Gonimy za lekarstwami, nasłuchujemy, po kogo kostucha zapuka, chadzamy na pogrzeby i patrzymy, jak grzęzną piękne nadzieje.

Sobota, 7 maja. Rano na Stadion. Parkujemy na Saskiej Kępie, kawa w kafejce na Francuskiej i pod górę na koronę. Idziemy ławą, depcząc sobie po piętach. Pieniądze głęboko schowane. Po bokach zebracy, dywany, miękkie meble, Rosjanie szepczący do ucha „spirytus”, buty, dużo butów (są nawet komunijne ze stosownym napisem), perfumy w fikuśnych butelkach, nawet materiały bławatne, do których kolejka. Właściwie, z konfekcji jest wszystko, czego dusza zapagnie. Po bokach, w budach, handlują Polacy, na koro-

nie, pod odkrytym niebem – cudzoziemcy. Cały Wschód, trzeba pytać, skąd są, bo świetnie mówią po polsku. Ale jest też czarna Afryka z figurkami z hebanowego drzewa i markową odzieżą amerykańską – oczywiście podróby. Wszystko podróby. Najwięcej pirackich kaset i płyt kompaktowych; łakomy towar. W księgarni kompakt kosztuje 60 zł, tu – 10. Na nielegalne kompaktki polują tajniacy. Handlarze znają ich. Gdy się zbliżają, cyrkowym ruchem składają stolik i już na nim leży legalny wschodni dywan. Oficjalnej straży nikt się nie boi. Wszyscy zblatowani. Od ślicznej Rosjanki kupiliśmy wódkę o aromacie smorodiny, koniak i whisky. (Jak się otworzy, zobaczy się, co tam jest naprawdę.) Strażnik chciał ją pogonić, ale przemówiła mu do rozumu...

Na Stadionie wszystko jest mniej więcej pięciokrotnie taniej niż w supermarketach, i w większym wyborze. Można też dobrze zjeść. Wzięliśmy kebab i bakłazany. Sprzedawali Armeńczyk, swobodny w rozmowie, Palestyńczyk spod Betlejem, z którym wdałam się w polityczną dysputę, i Arab z Libii o kamiennej twarzy. Gdy powiedziałam kilka zdań na temat Kadafiego, twarz jeszcze bardziej mu skamieniała.

Słońce grzało przyjemnie, nie za gorąco, piwo z kija tanie, ludzie zabawni. Przy pornosach chłopaczek prowadzony za rączkę przez tatę powiedział: „o, to jest dobre, bo o pedałach”. Kupiłam letnią torebkę, włoskie sandały, apaszkę i słomkową czapkę z daszkiem. Przerazony mąż ciągnął mnie do domu, szłam opornie. Nie znoszę tłumów, ale Stadion ma swój klimat, wciąga, człowiek po chwili czuje się jego częścią.

Handlarze narzekają, że to już nie to, bo hurt się skończył. Minęły czasy, kiedy o brzasku Rosjanie ładowali kontenery tekstyliów zwożone tu nocą z całego kraju. Był to towar nasz. Szyty taśmowo w aglomeracjach Łodzi i innych wielkich miast. Zarabiali nie tylko kupcy, ale armia wykonawców, którzy teraz potracili pracę.

Dzisiejszy Stadion stał się częścią obrazu spadania eksportu i co za tym idzie – dołowania złotówki względem dolara. Pospieszaliśmy się z wprowadzeniem wiz dla Rosjan, zabijając kurę znoszącą złote jajka.

„To już nie handel, ale handelek” – mówią wszyscy zainteresowani. Na stadionowym parkingu zaledwie kilka autokarów sąsiadów zza wschodniej granicy.

A jednak – na szczęście – nie widzę możliwości likwidacji Stadionu, i w ogóle, bazarów w Polsce. Wybuchłby strajk generalny. Nawet głupia władza na to nie pójdzie, zwłaszcza przed wyborami.

Ocalałe miasta, takie jak Kraków czy Poznań, mają swoje tradycyjne targi w każdej dzielnicy, funkcjonujące od wieków. Nie zakasuje ich żaden supermarket, gdzie personel jeździ na wrotkach, a klienci, zwłaszcza ci starsi, których coraz więcej, bo społeczeństwo się starzeje, i coraz biedniejsi, gubią się i męczą nie tylko fizycznie. Czują się obco w anonimowości wielkich hal. Na bazarach każdy zna swego sprzedawcę, do którego może zagadać. Pójście na bazar stanowi towarzyski rytuał codzienności.

Poza tym, co tu gadać, towar, zwłaszcza jarzyny i owoce, jest tu tańszy i świeższy. Minęły czasy mięsa sprzedawanego ze stolików, od których handlarz odganiał muchy. Budki mają ludy chłodnicze.

Ze świadomości Polaka wielkie domy towarowe długo nie wyprą bazarów. W Warszawie małe targowiska przytulają się do nowych osiedli mieszkaniowych z dużym powodzeniem.

Oczywiście, samorządy mają chrapkę na likwidację bazarów, bo dochód z nich mniejszy niż z marketów. Gdyby się jednak na to porwały, byłby to dla nich ostateczny gwóźdź do trumny.

W okresie Czarnobyli w Wąwozie Okalskim koło Kazimierza Dolnego pojawiły się wielkie rydze, których tam nigdy nie było. Ani przedtem, ani potem. Zbieraliśmy je z zapałem i smażyli. Rydz to już w Polsce rzadkość.

W czternastą rocznicę katastrofy media rozwodziły się o skutkach trwających do dziś. Zabierali głos głównie lekarze. Wymieniali choroby, na które ludzie zapadli. Prócz raka padła nazwa rzadkiej, ale trwałej niedomogi tarczycy, zwanej chorobą Hashimoto. Mam ją. Mogę być dumna – noszę w sobie znamienne cząstkę swojej epoki.

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

Czekając na urzędnika

Kiedy przed paroma laty rozmawiałem o korupcji urzędniczej z poprzednim prezesem NIK, Lechem Kaczyńskim, wyraził on bardzo zdecydowany pogląd, że żaden nadzór, żadne kontrole nie zastąpią etosu urzędnika państwowego. Kaczyński podkreślał, że szczególne znaczenie mają tu postawy osób kierujących instytucjami państwowymi. Jeśli ludzie trafiający na te stanowiska z nominacji politycznej nie dysponują z jednej strony kwalifikacjami zawodowymi, a z drugiej strony, kiedy wątpliwe są ich kwalifikacje moralne, wówczas pojawia się atmosfera, w której ludzie uczciwi mogą się obawiać, czy zdołają utrzymać się w pracy.

O problemie korupcji pisze się w Polsce od lat. Tej wiosny obserwujemy jednak powódź poświęconych korupcji artykułów prasowych, dyskusji radiowych i telewizyjnych, a wreszcie publicznych wystąpień polityków. To zmasowane zainteresowanie zjawiskiem korupcji wywołane zostało przez raport Banku Światowego oraz przez obszernie opracowanie Najwyższej Izby Kontroli, oparte na przeprowadzonych w ubiegłych latach kontrolach.

Dokument NIK jest tu szczególnie cenny, gdyż zarówno zawiera przegląd umożliwiających zwalczanie korupcji przepisów prawnych, próbę zdefiniowania samego zjawiska korupcji, jak i wskazuje na najbardziej korupcjogenne obszary oraz procedury podejmowania decyzji urzędniczych.

Czy tak silne zainteresowanie tymi dokumentami zarówno środków masowego przekazu, opinii publicznej jak i samych polityków oznacza, że możemy oczekiwać jakiegoś przełomu, że pojawiła się zdecydowana wola polityczna, aby

postawić tamę korupcji? W to jak na razie nie wierzy nikt. Badania socjologiczne pokazują, że społeczeństwo jest głęboko przekonane, iż korupcja ma cały czas tendencję wzrostową, że administracja centralna i samorządowa jest przeżarta przez korupcję, że to co pokazuje prasa i telewizja to zaledwie maleńki czubek góry lodowej. *Gazeta Kujawsko-Pomorska* opublikowała artykuł o korupcji w Polsce pod znamienym tytułem: „Nie biorą tylko ryby”. Takie odczucie jest dość powszechne, ale niektórzy wyrażają obawy, że to co większości wydaje się być zaledwie wierzchołkiem góry lodowej, w rzeczywistości jest mocno nadmuchanym balonem nie popartych żadnymi dowodami zarzutów. Takie odczucie na temat korupcji w wymiarze sprawiedliwości ma Ewa Łętowska. Profesor Łętowska podkreśla, że obraca się wśród prawniczej elity, że morale sędziów gdzieś na głuchej prowincji może być niższe, ale ważna jest tu rozbieżność między rozpowszechnioną opinią o przekupności sędziów i prokuratorów, a liczbą udowodnionych spraw. Jej zdaniem pojawił się groźny mit, że sędziowie są przekupni, że w sądach można wszystko załatwić, ale, mówi profesor Łętowska, nie tylko nie ma dowodów popierających takie stwierdzenia, wiele wskazuje wręcz na to, iż w wymiarze sprawiedliwości korupcja jest w rzeczywistości zjawiskiem rzadkim. Oczywiście możemy narzekać na niewydolność sądów, a tym samym na ich małą skuteczność zwalczania korupcji w innych dziedzinach, ale w opinii Ewy Łętowskiej, sam wymiar sprawiedliwości najprawdopodobniej nie jest aż tak zabagniony jakby na to wskazywały publikacje prasowe. Istnieje problem małej wykrywalności tego typu przestępstw. Korupcja jest jednak zjawiskiem tak poważnym i przestępstwem tak trudnym do ścigania, że ustawodawca powinien się tu zdecydować na taki kompromis jak w przypadku kontrolowanego zakupu narkotyków czy świadka koronnego, aby naruszyć siłę porozumienia dającego i biorącego łapówkę.

W kilka dni po tej rozmowie, na łamach *Gazety Wyborczej* ukazał się obszerny wywiad z przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa, Włodzimierzem Olszewskim. Jego poglądy na temat korupcji w wymiarze sprawiedliwości są bardzo podobne. Włodzimierz Olszewski jest szczególnie oburzony na twierdzenia, że środowisko prawnicze dobrze

wie kto w sądach bierze i nie reaguje. Wskazuje na logiczny argument, że aby kupić wyrok, trzeba by było przekupić sędziego pierwszej instancji, trzech sędziów drugiej instancji i trzech sędziów Sądu Najwyższego.

Wydaje się to jednak zbyt proste. Z opisów konkretnych spraw wiadomo, że czasem wystarczy jeden prokurator czy jeden sędzia, aby umorzyć sprawę, zastraszyć świadków, czy w inny sposób doprowadzić do tego, aby sprawa w nieskończoność czekała na rozpatrzenie. Jeśli idzie o owe solidarne potępienie korupcji przez środowisko prawnicze, to i tu sprawa wydaje się bardziej skomplikowana. Osobiście spotkałem się z młodymi prawnikami twierdzącymi, że nigdy nie odważyliby się ujawnić jakichkolwiek podejrzeń wobec przełożonych z obawy o swoją pracę.

Telefoniczna rozmowa z Ewą Łętowską poniekąd ustawia jednak problem – czubek góry lodowej, czy nadęty balon niesprawdzonych i nie popartych żadnymi dowodami podejrzeń? Wśród obszarów szczególnie korupcjogennych opracowanie Najwyższej Izby Kontroli wskazuje prywatyzację. Decyduję się na rozmowę z Jackiem Ambroziakiem, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu Państwa. Znamy się od dziesięcioleci, nie mam wątpliwości, że rozmawiam z człowiekiem rozsądnym, zrównoważonym i nieskazitelnie uczciwym. Wywiady z ludźmi, których się zna i lubi są i łatwiejsze, ale i pod pewnym względem trudniejsze. Siedzimy w jego gabinecie na Wspólnej i mój magnetofon ewidentnie nam przeszkadza w normalnej, przyjacielskiej rozmowie.

Podobnie jak Ewa Łętowska w odniesieniu do wymiaru sprawiedliwości, Jacek Ambroziak jest głęboko przekonany, że zarówno opinie społeczeństwa, prasy jak i Najwyższej Izby Kontroli na temat korupcji w procesie prywatyzacji są głęboko krzywdzące, podkreśla że mamy tu do czynienia z nadętym balonem nie popartych żadnymi dowodami podejrzeń. Nikogo nie złapano na przestępstwie, na przyjęciu łapówki, zarzuty NIK dotyczą z reguły stosunkowo drobnych uchybień formalnych, sztandarowym i do znudzenia powtarzanym przykładem są Domy Towarowe Centrum, gdzie Ministerstwo Skarbu obstaje przy swojej opinii, iż nie było tu żadnych nieprawidłowości. Ten spór dotyczy głównie

rzekomo zbyt niskiej wyceny. To nie jest łatwe - mówi Ambroziak - sprzedaje się firmę, a nie tylko budynki i ich wyposażenie; w tym przypadku firmę, która chyliła się ku upadkowi. „Można było zapewne jeszcze trochę poczekać, próbując uzyskać lepszą ofertę, ale skutek mógłby być odwrotny, a tysiące ludzi mogło stracić pracę. W tym sporze o wycenę, NIK popełnił zresztą istotny błąd. W przypadku warszawskich Domów Towarowych Centrum grunty, których rzekomo nie wzięliśmy pod uwagę, nigdy nie były własnością Skarbu Państwa. Obecnie Gmina Centrum sprzedała je osobno nowemu właścicielowi, ale jeszcze mogą tu być problemy, bo pojawili się nowi pretendenci do tych gruntów. Same wyceny są często przedmiotem sporów z NIK, oni podchodzą to tego nazbyt formalnie, zapominając o zasadniczych celach prywatyzacji”.

Pytam o kontrolę wewnętrzną w Ministerstwie Skarbu Państwa. W opracowaniu Najwyższej Izby Kontroli podkreśla się z jednej strony to, że prywatyzacja jest takim procesem, który stwarza pokusę i możliwości korupcji, a z drugiej, że jedyną skuteczną metodą ograniczenia przestępstw urzędniczych jest silna kontrola wewnętrzna.

Jacek Ambroziak nie jest przekonany, że prywatyzacja jest obszarem korupcjogennym. Uważa, że narosły tu populistyczne mity o „złodziejskiej prywatyzacji” i „wyprzedawaniu narodowego majątku”. Takimi sloganami, jego zdaniem, szczególnie chętnie posługuje się PSL. „Nie ma żadnych dowodów korupcji, ale też od ludzi głoszących takie hasła nikt nie wymaga dowodów. Wewnętrzna kontrola w ministerstwie jest dobrze zorganizowana, co więcej, sprzedaż jakiegokolwiek poważniejszego przedsięwzięcia zawsze ściąga uwagę i prasy, i NIK, a wreszcie konkurujący ze sobą inwestorzy bardzo uważnie patrzają sobie na ręce, więc gdyby cokolwiek zauważyli, to natychmiast złożąliby formalne zaskarżenie naszych decyzji i donieśli o tym prasie. Nasza kontrola nigdy nie ujawniła przypadku korupcji, czyli po prostu brania łapówki przez urzędnika, czy przez inne osoby włączone w proces prywatyzacji”.

Jacek Ambroziak podkreśla, że nie chciałby być naiwny, że oczywiście przypadki korupcji mogą się zdarzać, problem polega jednak na tym, że nie ujawniły ich kontrole NIK, że

nie wyszły w kontrolach wewnętrznych, że nie ujawniła ich prasa. On sam uważa, że najbardziej podejrzanym obszarem mogą być pozorowane zakupy przez polski kapitał i szybka korzystna odsprzedaż nabytego majątku firmom zagranicznym. Chodzi tu głównie o mniejsze przedsiębiorstwa, z reguły kupowane za stosunkowo niewielkie pieniądze jako masa upadłościowa, bez szczególnych warunków. „Najczęściej są to zamknięte już i niszczące fabryki lub magazyny, których trudno się pozbyć. Czasem widzimy, że bardzo szybko znajdują kolejnego nabywcę, ale na to nie mamy już wpływu”.

Można się zgodzić z twierdzeniem, że opinie społeczeństwa nie opierają się na starannie sprawdzonych materiałach dowodowych, ale z jednej strony proces prywatyzacji rozpoczął się w Polsce od niewątpliwie rabunkowej prywatyzacji podjętej przez byłą komunistyczną nomenklaturę; opinia publiczna reaguje na różne sygnały, a więc i na kwestię prywatyzacji patrzy również przez pryzmat udokumentowanych afer gospodarczych, w które zamieszana była część klasy politycznej, chciwości polityków ujawniającej się w postaci kominów płacowych, a wreszcie przez pryzmat małej korupcji, w postaci tolerowania chociażby nagminnych oczekiwań łapówek przez policję drogową. Co samo Ministerstwo Skarbu Państwa zrobiło, żeby zmienić obraz prywatyzacji w oczach społeczeństwa?

Tym razem Jacek Ambroziak zgadza się ze mną, że ten czarny obraz prywatyzacji nie jest wyłącznie efektem populistycznej propagandy posłów PSL, czy zarzutów Najwyższej Izby Kontroli, jest wiele fatalnych zjawisk, ale jego zdaniem sama prywatyzacja oskarżana jest niejako z rozpędu, przy okazji innych spraw i głównie z pozycji ideologicznych.

Mój rozmówca do końca pozostaje w okopach obrońców koncepcji nadmiernie nadmuchanego balonu. Moje uparte powroty do sprawy skuteczności kontroli wewnętrznej są kwitowane relacjami o formalnych procedurach podejmowania decyzji. „Owszem był stosunkowo niedawno przypadek wysokiego urzędnika ministerstwa, który od prywatyzowanej firmy oczekiwał szczególnych przywilejów, a dokładniej prawa do korzystania z ich samochodów. Było to niewątpliwie nagannym, ale niezbyt poważnym przewinieniem. Do ministra skierowany został wniosek o zwolnienie, ostatecznie

skończyło się mniej drastycznym rozstaniem. Takie sygnały są jednak sporadyczne”.

Ponownie zgadzamy się, że być może większy rygoryzm, zerowa tolerancja dla najmniejszych nawet przejawów wykorzystywania stanowiska służbowego dla osiągnięcia prywatnych korzyści mogłoby wzmocnić to, co nazywamy etosem urzędnika. Zgadamy się również, że istnienia korupcji przy okazji prywatyzacji wykluczyć się nie da, że nawet jeśli trudno byłoby wręczyć komuś łapówkę za przyjęcie korzystnej dla inwestora oferty, to niezwykle cennym towarem jest informacja. Przecieki informacji są niemal nieuchwytnie, trudno również udowodnić, że inwestor w nielegalny sposób wszedł w posiadanie jakiejś informacji. Ponieważ w grę wchodzi duże zyski, więc pokusa korupcji istnieje, ale Jacek Ambroziak nie bardzo wierzy w to, że bardziej rygorystyczne przepisy prawne zmieniają sytuację. Sama prywatyzacja jest niezmiernie ważna, państwo musi wycofać się z bezpośredniego zarządzania gospodarką. „Oczywiście łączy się to również z ludzkimi dramatami – mówi Ambroziak. Sprywatyzowane przedsiębiorstwa modernizują się i redukują zatrudnienie. Jest to ostatecznie jednym z głównych celów prywatyzacji, żeby te zakłady pracy zaczęły być ekonomicznie sprawne i konkurencyjne w warunkach gospodarki rynkowej. Trudno się dziwić ludzkim obawom przed utratą pracy, te obawy są jednak wykorzystywane przez polityków odwołujących się do populizmu”.

Z prezesem NIK, Januszem Wojciechowskim, w stosunkowo krótkim okresie spotykamy się po raz drugi. W międzyczasie jednak w *Gazecie Wyborczej* ukazała się bardzo ostra krytyka, w której między innymi oskarżano samego prezesa NIK o szczególną formę korupcji jaką jest partyjny nepotyzm, czyli skłonność do zatrudniania osób w ten lub inny sposób powiązanych z ruchem ludowym. Janusz Wojciechowski jest urażony tymi zarzutami i twierdzi, że są one głęboko krzywdzące. Przypomina, że na stanowiskach kierowniczych w ciągu pięciu lat jego kadencji zatrudniono zaledwie 27 osób, jego poprzednik zatrudnił 42, a 58 osób zatrudnionych na stanowiskach kierowniczych pracuje w NIK dłużej niż 10 lat. Prezes NIK podkreśla, że w jego instytucji bardzo starannie przestrzega się skomplikowanych procedur

przyjmowania do pracy, że nawet *Gazeta Wyborcza* nikomu nie zarzuciła ani braku kompetencji, ani uchybień w pracy, a wreszcie, że w Najwyższej Izbie Kontroli mniej niż jeden procent pracowników to ludzie związani z ruchem ludowym.

Wśród publikacji na temat samego NIK-u naprawdę na uwagę zasługiwał świetnie napisany artykuł Mariusza Janickiego w *Polityce*. Jeden z jego zarzutów, to nazbyt ambitne cele Najwyższej Izby Kontroli, takie jak przeciwdziałanie bezrobociu, czy działania państwa na rzecz ograniczania ubóstwa. Dziennikarz *Polityki* sugeruje, żeby NIK ograniczył się raczej do kontroli wydawania funduszy publicznych. Na ile przynajmniej niektóre z tych krytyk stały się przedmiotem dyskusji w kierownictwie NIK?

Janusz Wojciechowski nie odpowiada na moje pytanie wprost. Przyznaje, że kompetencje NIK są szersze niż większości podobnych instytucji w krajach zachodnich, ale wszędzie zmierza się do tego, aby te kontrole miały również charakter merytoryczny, a nie tylko finansowy. Podkreśla, że w kontrolach NIK tak czy inaczej Izba koncentruje się przede wszystkim na tym jak wykorzystywane są fundusze publiczne, ale decyzje o tym gdzie i co kontrolować wymagają jakiejś hierarchii.

Inny zarzut, że zbyt rzadko dochodzi do skazań winnych przestępstw ujawnionych w wyniku kontroli NIK i że może to być spowodowane słabo przygotowanymi wnioskami do prokuratury, Janusz Wojciechowski odpiera stwierdzeniem, że Najwyższa Izba Kontroli ma przede wszystkim informować. „Izba nie jest organem ścigania. Wskazujemy na nieprawidłowości, za którymi może kryć się przestępstwo, reszta należy do prokuratury. Tym niemniej efekty nie są najgorsze, prawie połowa naszych zawiadomień, to sprawy, które kończą się postępowaniem karnym, aktem oskarżenia względnie warunkowym umorzeniem. Z samej prokuratury dwa lub trzy razy pojawiły się sygnały, że nasz wniosek był niedostatecznie przygotowany. Oczekuje się od nas spektakularnej skuteczności, łapania przekupnych urzędników, ale to nie jest możliwe, nie taka jest nasza rola. Kiedy w ubiegłym roku *Polityka* sporządziła listę dziesięciu największych skandali, okazało się, że dziewięć z nich ujawnionych zostało w wyniku kontroli NIK”.

Janusz Wojciechowski nie jest jednak przekonany do przedstawionego niedawno pomysłu powołania Centralnego Urzędu Antykorupcyjnego, ponownie akcentuje znaczenie kontroli wewnętrznej w państwowych instytucjach, rewizji sposobów podejmowania decyzji, tak by wyeliminować z nich dowolność i nadmierne uzależnienie od woli jednego urzędnika, potrzebę usprawnienia pracy prokuratorów i sądów. Zwraca uwagę na trudność ujawnienia przypadków przyjęcia łapówki, a co za tym idzie na konieczność eliminowania sytuacji korupcyjnych.

Wśród tych obszarów korupcyjnych w opracowaniu NIK na pierwszym miejscu wymieniana jest prywatyzacja.

„Tak, ponieważ w grę wchodzi ogromne sumy, jest to ważna dziedzina i ogromna odpowiedzialność państwa. W tych prywatyzacjach, które badaliśmy zbyt wiele było przypadków, w których nie można mieć pewności, że wszystko dobrze przebiegało. Naszym zdaniem relacje między potencjalnym inwestorem, firmą doradcą i urzędnikiem nadzorującym daną prywatyzację są zbyt słabo kontrolowane. Upieramy się, że brakuje niezależnych wycen i nie jest to nasz wymysł, gdyż należy to do standardów prywatyzacji w świecie”.

Wielka prywatyzacja jest pod specjalnym nadzorem, przygląda jej się uważnie prasa, NIK, politycy; inaczej sprawy przedstawiają się z prywatyzacją mniejszych przedsiębiorstw, w szczególności mienia komunalnego, które jest w gestii samorządów. Tu wielokrotnie widzieliśmy już udokumentowane przestępstwa kryminalne. Kontrole NIK są tu z natury rzeczy rzadsze i mniej wnikliwe.

Janusz Wojciechowski przyznaje, że w prywatyzacji mienia komunalnego ujawnia się bardzo dużo nieprawidłowości. Zarzuty NIK są tu w gruncie rzeczy podobne jak w odniesieniu do prywatyzacji wielkich przedsiębiorstw – zaniżona wycena wartości, sprzedaż przypadkowemu inwestorowi, nierzadko osobom powiązanych z gminą. Poważnym problemem jest egzekucja wniosków pokontrolnych. Jak mówi prezes NIK, „piszemy na Berdyczów, nie bardzo wiadomo kto jest adresatem i kto ma zrobić porządek. Burmistrz czy wójt z reguły odrzuca naszą krytykę. Sprawa jest w miarę prosta kiedy kierujemy doniesienie do prokuratury, ale w

przypadku nieprawidłowości, które trzeba usunąć, jeśli burmistrz ma poparcie w radzie, może zlekceważyć nasze wnioski. W przypadku urzędników państwowych można interweniować u przełożonych, ewentualnie domagać się usunięcia złe pracującego urzędnika. W samorządach nie ma takiej możliwości. Uprawnienia NIK do kontroli samorządów mają bardzo ogólny charakter. Ponownie chodzi przede wszystkim o ogólną informację. Przykład kontroli płac w samorządach pokazuje jak ważne są te działania”.

Bieżący nadzór nad samorządami spoczywa na Regionalnych Izbach Obrachunkowych. Te izby mają dość dobrą opinię. Przyglądając się z bliska działaniom samorządu gminnego mam tu jednak poważne wątpliwości. Istnieje mit, że głównym mechanizmem kontrolnym w samorządzie jest sama demokracja, ale w wielu gminach burmistrz czy wójt okazuje się panem i władcą, skutecznie terroryzującym wszelką opozycję. W większych gminach jest to trudniejsze, w małych, rolniczych gminach zdarza się, że po dawnemu króluje kacyk.

Janusz Wojciechowski mówi, że w samorządach wdrażanie pokontrolnych wniosków zależy od radnych, od lokalnej prasy, od samego społeczeństwa. „Tam gdzie nie ma lokalnej prasy, gdzie nie ma zorganizowanej opozycji, a społeczeństwo jest sterroryzowane, tam nie daje się nic zrobić”.

W wielu krajach zachodnich w walkę z korupcją włączona jest również policja podatkowa. Urzędnik, który żyje ponad stan zwraca uwagę nie tylko swoich przełożonych, ale również urzędu skarbowego. W Polsce jest rodzaj paranoi na temat tajemnicy dochodów, stanu kont bankowych, niedyskretnych pytań na temat pochodzenia pieniędzy na dom, jacht, czy kosztowne podróże zagraniczne. Niedawno Trybunał Konstytucyjny odrzucił skargę Rzecznika Praw Obywatelskich, że prawo wglądu urzędów skarbowych w konta bankowe narusza wolność i tajemnicę korespondencji, ale istnieje ogólna tendencja do przesadnej osłony stanu majątkowego osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa.

Prezes NIK zgadza się, że doszło do przesady w tworzeniu barier dostępu do informacji na temat sytuacji majątkowej. „Nie tylko przepisy są tu wadliwe, ale istnieje również tendencja do utrudniania dostępu do tych danych,

do których formalnie mamy prawo wglądu. Dla organów kontroli ten dostęp do informacji o stanie majątkowym urzędnika powinien być znacznie bardziej ułatwiony”.

Marcową *Kulturę* otwierał bardzo ważny moim zdaniem artykuł Witolda Kieżuna o czterech jeźdźcach apokalipsy polskiej biurokracji. Pierwszym z tych jeźdźców jest gigantomania, drugim luksusomania, trzecim korupcja, a czwartym arogancja władzy. Zarówno gigantomania jak i luksusomania polskich urzędów winny być przedmiotem zainteresowania Najwyższej Izby Kontroli. Fakt, że administracja centralna na przestrzeni minionego dziesięciolecia wzrosła ponad trzykrotnie, że obserwujemy ewidentne przerosty zatrudnienia w samorządach, że praktycznie rzecz biorąc nie ma nawet dyskusji o konieczności odchudzenia polskiej biurokracji, jest w najwyższym stopniu niepokojący i jest szczególną formą korumpowania państwa przez elity polityczne.

Prezes Wojciechowski potwierdza, że przy każdej kontroli budżetowej NIK zwraca uwagę na zmiany w strukturze zatrudnienia, które z roku na rok jest coraz większe. „W tym roku zamierzamy na to zwrócić szczególną uwagę, gdyż powinien to być pierwszy rok spadku zatrudnienia w administracji centralnej ze względu na przekazanie wielu spraw samorządom. W tej dziedzinie kontrola jest jednak bardzo trudna, ponieważ brak określonych norm. Wszystkie urzędy uzasadniają wzrost zatrudnienia zmianą zadań, rozszerzonymi kompetencjami, o których decyduje Sejm i to w końcu Sejm daje przyzwolenie na ten wzrost. Wydatki na płace są ściśle limitowane. Występując o wzrost budżetu na płace urzędy państwowe muszą udowodnić swoje potrzeby i ostatecznie to Sejm zatwierdza budżet. Rola NIK jest tu ograniczona, my sprawdzamy wykonywanie decyzji podejmowanych przez innych”.

To rozbuchanie biurokratycznych struktur z pewnością nie sprzyja pojawieniu się etosu urzędnika państwowego. Janusz Wojciechowski powraca do wspomnień swojego ojca na temat prestiżu i etosu urzędnika państwowego w okresie międzywojennym; ma wrażenie, że w samej Najwyższej Izbie Kontroli udało się zachować tradycję, która sięga jeszcze czasów carskich, Polaków ściągano do Izby, bo uważani byli

za nieprzekupnych. „Tej tradycji nie udało się tak całkiem stłamsić nawet w okresie komunistycznym. Izba nie rozrosła się, nie stała się jakimś molochem, pracownicy mają poczucie misji”.

Zastanawiam się nad pytaniem, na ile przeszkodą na drodze do odbudowy etosu urzędnika państwowego jest feudalna struktura administracji centralnej; fakt, że urzędy traktowane są jak udzielne partyjne księstwa? Prezes NIK reaguje niepewnie. Ostatecznie on sam pomawiany jest o partyjny faworytyzm w podległej mu instytucji. Przyznaje jednak, że to upartyjnienie administracji państwowej jest poważnym problemem.

Feudalna struktura administracji państwowej jest sama w sobie formą korupcji, gdyż urzędy publiczne stają się przedmiotem politycznych targów, ale nierzadko jest również osłoną przekupnych urzędników, ze względu na solidarność i obyczaj chronienia partyjnych towarzyszy niezależnie od powagi stawianych im zarzutów. Krytyka, zarówno instytucji jak i poszczególnych osób z reguły interpretowana jest jako forma walki politycznej, co pozwala na ignorowanie argumentów merytorycznych. Co gorsza, taka interpretacja jest często głęboko uzasadniona, gdyż żadna z partii politycznych nie rozpoczęła walki z korupcją od porządków we własnym domu. Ten komentarz zostawiam już jednak dla siebie, bo na prezesa NIK czekają następni klienci.

Po rozmowie z Januszem Wojciechowskim spotykam się towarzysko ze znajomym. Od lat nie czytuje już *Kultury* i z zainteresowaniem słucha o artykule Witolda Kieżuna. Zdawał sobie sprawę z tego rozbuchania biurokracji, ale nie sądził, że sprawa jest aż tak zabagniona. Nie ma wątpliwości, że winę za ten stan rzeczy ponosi AWS, SLD i PSL. To co ujawnia prasa, to zaledwie czubek góry lodowej. Przypominam, że budżet, a zatem i możliwości tego ciągłego puchnięcia biurokracji kontroluje Ministerstwo Finansów, a więc poniekąd Unia Wolności, że kolejni prezydenci Warszawy też chyba nie starali się odchudzić samorządu i jego urzędniczej obsługi w stolicy. Mój znajomy uśmiecha się krzywo, ale w towarzyskiej rozmowie nie upiera się przy obronie obłączonej twierdzy.

Ponieważ Stany Zjednoczone są idolem naszych stołecznych liberałów, kusi mnie żeby opowiedzieć stosunkowo

niedawną historię nagłego bankructwa amerykańskiej administracji federalnej. Kongres od dawna domagał się odchudzenia tej administracji, a ponieważ nic nie skutkowało (poprzedniemu prezydentowi też nie udało się na tym polu wiele zdziałać) więc w 1995 roku Kongres odmówił podpisania budżetu i administracja z dnia na dzień znalazła się bez pieniędzy. Zamknięte biura, placówki dyplomatyczne, muzea i parki narodowe wywołały prawdziwy wstrząs. Prawda, była to również próba pozbycia się Clintona, ale w wyniku tej przepychanki doszło do radykalnych cięć w federalnej administracji i niektórzy twierdzą, że cała ta sprawa po części przyczyniła się do zmiany permanentnego deficytu budżetowego w solidne nadwyżki i to nie tylko przez samo zmniejszenie funduszu płac, ale głównie przez zmniejszenie liczby specjalistów zastanawiających się nad tym, na co tu jeszcze wydać publiczne pieniądze.

W Polsce czterech jeźdźców naszej biurokratycznej apokalipsy to zjawiska ściśle ze sobą powiązane. Urzędnicza korupcja i arogancja są splecione z gigantomanią i głębokim przekonaniem, że kto raz zahaczył się w urzędzie, ten ma polisę ubezpieczeniową przed wszelkimi grozami kapitalistycznego rynku pracy; chyba, że będzie miał samobójcze tendencje do ujawniania braku lojalności wobec przełożonych. Nieudolność toleruje się nagminnie, drobne przewinienia często, Braku lojalności, czy chociażby krytycznego spojrzenia na własną instytucję – nigdy. Jest to zjawisko charakterystyczne dla wszelkiej biurokracji, nie tylko w Polsce. Szwedzka biurokracja, która zapewne jest jedną z najsprawniejszych na świecie, cierpi na ten sam syndrom. Obronę nieskazitelnego wizerunku urzędu prowadzi się bez względu na koszty. W Szwecji łapówkarstwo praktycznie rzecz biorąc nie istnieje. W tym sensie etos urzędnika jest bardzo wysoki. Inne niż w Polsce są tam formy arogancji władzy, głęboko przekonanej o swojej nadzwyczajnej sprawności i nieomyślności. Błąd w sztuce bywa tuszowany nawet kosztem kolizji z prawem. Kiedy trzydzieści lat temu przyjechalśmy z żoną na emigrację do Szwecji otrzymaliśmy broszurki w języku polskim, które zawierały wiele praktycznych informacji. Jedną z nich była nieco upokarzająca – wytfuszczonego drukiem informowano nas, że w Szwecji próba przekupstwa urzędnika

jest całkowicie nieskuteczna, a co więcej, dla imigranta może zakończyć się natychmiastowym wydaleniem z kraju. Identyczne broszury drukowano w dziesiątkach innych języków, ale my przyjęliśmy to oczywiście jako wycieczkę pod adresem naszych narodowych wad. Przyjeżdżaliśmy z kraju, w którym dawało się czekoladę w kiosku za odłożenie rzadkiego pisma, w którym butelka koniaku dla lekarza była powszechnie przyjętym obyczajem, w którym urzędnik bez żadnej zenady mówił, że załatwienie pozytywnej decyzji będzie kosztować. Komunizm niósł ze sobą całą kulturę wzajemnych grzeczności, towarzyskich przysług w postaci dostępu do rzadkich dóbr i usług. Tę kulturę czasami nawet traktowano jako formę obrony przed dzikim systemem. W komunizmie dawało się przeżyć bez konieczności dawania całkiem oczywistych łapówek w postaci koperty z pieniędzmi. Załatwienie okularów wymagało jednak znajomości, podobnie jak załatwienie lepszej opieki w szpitalu, czy sanatorium. Te, z pozoru niegroźne, formy korupcji otaczały nas jak powietrze i w końcu stawały się niezauważalne.

Profesor Ewa Łętowska opowiadała mi z rozbawieniem, że kiedyś jakiś wieśniak zaproponował jej prosiaka za załatwienie jakiejś sprawy, ponieważ zapewne wyobrażał sobie, że tak właśnie można spowodować pozytywną decyzję. Zastanawiam się, czy te jego wyobrażenia wynikały z lektury prasy, słuchania radia i doniesień telewizyjnych o powszechnej korupcji, czy też takie właśnie miał doświadczenia z codziennego życia w swojej wsi? Czy te wszystkie publikacje o korupcji w Polsce to rzeczywiście nadmiernie nadęty balon, czy też zaledwie czubek góry lodowej? Po powrocie z emigracji do Polski wydaje mi się, że nadal słyszę obecne w języku kody kultury powszechnego porozumienia. „Rachunek potrzebny?” „No, wie pan, może mógłbym to dla pana załatwić”.

Przestępstwa urzędnicze są bardzo trudne do wykrycia. Milczą nie tylko strony uwikłane w przestępstwo, milczą również postronni świadkowie, którzy mają zbyt wiele do stracenia. Argumentów Ewy Łętowskiej i Jacka Ambroziaka nie można odrzucić. Wydaje się jednak, że ten balon z niepopartymi zarzutami o korupcji unosi się nad czubkiem góry lodowej. Dowody ukrywają się pod powierzchnią, a tym-

czasem my czekamy na etos urzędnika. Mieliliśmy nadzieję, że ten etos wymusi demokracja, pluralizm, samorząd, wolna prasa. Cwaniacka kultura okazała się silniejsza. Niestety, nie tylko ta cwaniacka kultura lumpenproletariackiego przedmieścia, w niemałym stopniu promieniuje tu również hipokryzja znacznej części kleru, obyczaj świadczenia sobie przysług przez ludzi z towarzystwa, zatarcie granic między grzecznością, a wykorzystywaniem stanowiska służbowego dla własnej prywaty. Te same osoby, które przeklinają plagę korupcji, korzystają z przysługi znajomego lekarza, żeby taniej odpocząć w sanatorium, nie wahają się przed szukaniem protekcji znajomego profesora, żeby dziecko dostało się na studia, nie widzą niczego złego w przekazaniu znajomemu służbowej informacji, na której da się zarobić. Czekając na etos uczciwości trzeba przecież żyć. Jedni dają, żeby przetrwać do jutra, inni, żeby jak pisał w 1990 roku Jan Pietrzak: „W luksusie kąpać się nareszcie, jak Mongoł w spienionym kumysie”, a jeszcze inni dziwią się, że można nazwać korupcją taki drobiazg, jak korzystanie z zasobów firmy czy państwa dla zrobienia komuś grzeczności.

Andrzej KORASZEWSKI

O religii bez namaszczenia

Refleksje na czasie

Otrzymałem niedawno piękny prezent z Polski, z Lublina, historycznego miejsca spotkań wielu religii i wielu kultur. Okazały tom na przeszło 300 stron pod tytułem „Kalendarz ekumeniczny 2000”. Istotnie jest to kalendarz na ten bieżący, milenijny rok, ale równocześnie coś znacznie więcej, bo ekumeniczny właśnie w tym sensie, że też jest miejscem spotkania wielu religii i wielu kultur. Patronuje temu przedsięwzięciu komisja honorowa w osobach trzech miejscowych hierarchów: metropolity lubelskiego arcybiskupa Józefa Życińskiego, ordynariusza miejscowej diecezji prawosławnej biskupa Abła (Popławskiego) i zwierzchnika wyznania ewangelicko-augsburskiego w Polsce i równocześnie prezesa Polskiej Rady Ekumenicznej, biskupa Jana Szarka. Na tym jednak ekumenizm tej książki się nie kończy. Reprezentowane w niej są także pomniejsze wyznania chrześcijańskie jak zielonoświątkowcy i starokatolicy, a także religie niechrześcijańskie, nade wszystko judaizm i islam. Sam kalendarz wypełnia mniej więcej połowę całego tomu, po dwa do trzech dni na stronę, co pozwala na podanie mnóstwa informacji na temat religijnego znaczenia każdego dnia roku w tradycji poszczególnych wyznań czy religii. Te wyznania są zidentyfikowane za każdym razem za pomocą oszczędnych symboli. Są to: menora (siedmioramienny świecznik) dla judaizmu, krzyż prawosławny dla prawosławia, krzyż rzymski dla katolicyzmu, krzyż jerozolimski dla protestantyzmu i półksiężyc dla islamu. Kolejność symboli w każdym dniu odzwierciedla kolejność pojawienia się danej religii w historii ludzkości. Ponadto na stronach kalendarza rozsiany jest niezwykle

interesujący wybór mniej lub bardziej klasycznych tekstów, które dają pogłębiony wgląd w różne aspekty reprezentowanych w tym tomie tradycji religijnych. Niezależnie od tego, poza kalendarzem, cała druga część tomu zawiera serię krótkich, treściwych artykułów na temat poszczególnych religii i wyznań, oraz całej polskiej widowni ekumenicznej. Wśród autorów są tak znakomici eksperci jak katolicki znawca teologii prawosławnej ks. prof. Waław Hryniewicz OMI i współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów dr Stanisław Krajewski. Nie sposób wymienić wszystkich współpracowników tak szeroko zakrojonego wydawnictwa, bo jest ich w sumie kilkudziesięciu, ale koniecznie trzeba wymienić redaktora, który był *spiritus movens* całego wydawnictwa, choć z racji pierwszej litery swego nazwiska figuruje na ostatnim miejscu w alfabetycznej liście ośmioosobowego zespołu redakcyjnego. Jest nim dr Sławomir Żurek, historyk literatury polskiej na KUL-u, redaktor kwartalnika *Scriptores scholarum* i działacz katolicki w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Nie jest niczym nadzwyczajnym, że to wydawnictwo, bardzo religijne i równocześnie bardzo ekumeniczne, jest dziełem grupy katolickich intelektualistów w Lublinie, ale uderzające jest, że są to przede wszystkim świeccy katolicy. Wygląda na to, że to od nich wyszła inicjatywa, która potem znalazła pozytywny oddźwięk w sferach duchownych, zarówno katolickich jak i niekatolickich. Uderzające jest również, że inicjatywa zrodziła się w ramach instytucji, której założenia i cele nie były zrazu specyficznie religijne, lecz ogólnokulturalne. Pierwotnie był to teatr eksperymentalny, zwany Teatrem NN, który w ciągu paru dziesiątków lat rozrósł się w instytucję zwaną dziś Ośrodek Brama Grodzka i Teatr NN, i to ten ośrodek figuruje w książce jako jego wydawca. Brama Grodzka była podobno kiedyś przejściem do żydowskiej dzielnicy Lublina i dzięki temu stała się symbolem koncentrujących się w Lublinie wpływów całej gamy kultur i religii zrodzonych w ciągu wieków lub przejętych z zewnątrz na ogromnych obszarach polsko-litewsko-ruskiej Rzeczypospolitej. To tak pojęta „Brama Grodzka” jest tym, co zapewniło lubelskim działaczom ich szeroki oddech, ich zgoła misyjny zapał i szerokie ekumeniczne perspektywy. Powie-

działbym, że właśnie czołowa rola katolickich współautorów tego tomu gwarantuje, że lubelski „Kalendarz ekumeniczny 2000” jest przejawem nie jakiegoś indyferentyzmu religijnego, lecz szacunku dla indywidualnego charakteru każdej reprezentowanej w nim tradycji religijnej, i w tym zgoła etymologicznym sensie wyrazem aspiracji katolicyzmu do powszechności. Przypomnijmy, że okresem największej dojrzałości i atrakcyjności polskiego katolicyzmu był okres, w którym Rzeczpospolita dała światu Unię Lubelską i Konfederację Warszawską.

Wśród rozlicznych skarbów myśli religijnej rozsianych po kartach lubelskiego „Kalendarza” znalazłem również dłuższy cytat z „Drogowskazów” Hammarskjölda. Dag Hammarskjöld (1905-1961), szwedzki polityk i mąż stanu, był jak wiadomo od roku 1953 aż do swej tragicznej śmierci w r. 1961 Sekretarzem Generalnym ONZ, jednym z najwybitniejszych w historii tej instytucji. Ale mało kto wie, że był on również niepośledniej miary myślicielem religijnym, może nawet wprost świętym człowiekiem. Pochodził z głęboko religijnej rodziny protestanckiej, ale nigdy się swoją religijnością nie afiszował. Wiem z jego odpowiedzi na list pewnego bardzo religijnego młodego człowieka (nie potrafię już dziś podać bliższych danych), że pewną powściągliwość wyznaniową uważał za swój obowiązek jako wysokiego i bezstronnego przedstawiciela wielkiej międzynarodowej organizacji, zrzeszającej ludzi wielu różnych wyznań i kultur. Dopiero po jego śmierci w wypadku samolotowym na terenie Katangi w środkowej Afryce znaleziono w jego nowojorskim mieszkaniu rękopis prowadzonego przez wiele lat dziennika, wraz z listem do bliskiego przyjaciela upoważniającym go, jeśli to uzna za stosowne, do ogłoszenia tych tekstów drukiem. W rezultacie w dwa lata po śmierci Hammarskjölda ukazały się jego „Väg-märken”, czyli „Drogowskazy”, najpierw w języku szwedzkim, potem przetłumaczone na wiele innych języków. Na język polski przełożył je, ku mojemu zdumieniu wprost „z języka szwedzkiego”, jak mówi karta tytułowa „Drogowska-

zów” w wydaniu krakowskiego „Znaku” z r. 1981, sławny ks. Jan Zieja. W październiku/listopadzie 1939 miałem zaszczyt służyć do mszy św. temu mało jeszcze znanemu kapelanowi wojskowemu, który był nam wtedy nieocenioną podporą w szpitalu jenieckim w Jabłonnej-Legionowie. Nigdy go już potem nie spotkałem, ale wiem, że w czasie Powstania Warszawskiego był znów nieocenionym (i oczywiście nieuzbrojonym) kapelanem Szarych Szeregów, a potem, w wiele lat później, jednym z dwóch duchownych członków Komitetu Obrony Robotników czyli KOR-u. Kiedy, jak i dlaczego nauczył się po szwedzku, nie wiem. Mało tego, ks. Zieja zapatrzył swoje wydanie refleksji Hammarskjölda obszernymi i bardzo drobiazgowymi przypisami, które pozwalają lepiej zrozumieć duchowość tego protestanckiego świętego.

Oczywiście nie ma protestanckich świętych, w każdym razie w sensie formalnie kanonizowanych świętych. Kanonizacja, wraz z jej wstępnym stadium, jakim jest beatyfikacja, jest wyłączną własnością dyscypliny rzymsko-katolickiej. Istnieją święci w prawosławiu, ale tam przyznanie tego tytułu jest wynikiem znacznie mniej formalnej procedury niż w rzymskim katolicyzmie, podobnej raczej do spontanicznego uznania przez wiernych szczególnej duchowej rangi przysługującej postaciom, począwszy od apostołów, które odegrały szczególną rolę w rozwoju historycznego chrześcijaństwa. Taka idea osobistej świętości jest wspólną własnością całego chrześcijaństwa, niezależnie od wyznania. Nawet i w rzymskim katolicyzmie formalne procesy kanonizacyjne są względnie nowością, wprowadzaną stopniowo dopiero u progu czasów nowożytnych. I, powiedzmy od razu, teraz jest już najwyższy czas, by zostały na powrót złożone do historycznego lamusa.

Istnieje bowiem już dość powszechna świadomość, choć jeszcze dość nieśmiało artykułowana, że procedura, w wyniku której tylko osoba wyznania katolickiego może być uznana za świętą, jest nie do pogodzenia z od dawna przyjętą w Kościele prawdą, że Chrystus Pan umarł na krzyżu za wszystkich ludzi

i że zatem nie tylko katolik ale nawet człowiek niewierzący może być zbawiony, a zbawienie jest ostatecznie jednoznaczne ze świętością. Nikt, nawet sam papież nie twierdzi przecież, że na przykład męczennik miłości Janusz Korczak jest mniej wart w oczach Bożych, niż inny wielki męczennik miłości św. Maksymilian Kolbe. Ale każda kanonizacja czy beatyfikacja coś takiego sugeruje, bo prawo kanoniczne z zasady nie pozwala na podjęcie procesu kanonizacyjnego nie-katolika, jakim był Janusz Korczak. Jeśli kto powie, że Kościół katolicki jest kompetentny tylko w sprawach swoich własnych wiernych, to tym samym zaprzecza powszechności katolickiego Kościoła i tym samym powszechnej wartości zbawczej śmierci Chrystusa na krzyżu.

Ta refleksja jest bodaj najbardziej kardynalnym zarzutem, jaki bieżącej praktyce kanonizacyjnej można postawić. Takich zarzutów jest jednak więcej i dziwić się wypada, że nawet świecki świat tak rzadko je wysuwa, widocznie uważając, że te słabizny stanowią tylko swoiste *curiosa* jednego historycznego wyznania, którymi ostatecznie nie ma się co zbyt przejmować, bo i tak nie mają one większego wpływu na duchową przyszłość świata. I tak chyba tylko bardzo zadufani katolicy naprawdę wierzą, że Bóg na życzenie odpowiedniej dykasterii watykańskiej dokona cudu, nawet dwóch cudów, jakich ta dykasteria na potwierdzenie świętości znajdującego się właśnie na tapecie kandydata wymaga. I że Bóg takich cudów dokonuje w praktyce tylko, gdy wielbiciele kandydata, którym zależy na ogłoszeniu go świętym, zbiorą dostateczną ilość pieniędzy na pokrycie niezbędnych kosztów procesu kanonizacyjnego. Watykańscy urzędnicy nie mogą przecież pracować za darmo. A powodzenie procesu w dużej mierze od ich ciężkiej pracy zależy.

Te okoliczności sprawiają, że cała procedura kanonizacyjna jest potencjalnym terenem rozlicznych pomyłek i nadużyć. To, że udowodnionych błędów tego rodzaju jest stosunkowo mało, jest po części wynikiem tego, że takie udowodnienie nie jest rzeczą łatwą, a po części uczciwości zaangażowanych w tych procesach ludzi, którzy naprawdę wierzą w ich użyteczność. Ale wadliwość przynajmniej jednego z niedawnych procesów nie ulega chyba wątpliwości.

Chodzi oczywiście o zakończony w 1994 roku proces beatyfikacyjny ks. Escriva di Balaguera, założyciela potężnej zarówno duchowo jak i finansowo organizacji Opus Dei. Według wielu byłych członków tej organizacji i innych jej zwalców, jak najbardziej lojalnych katolików, ks. Escriva był genialnym manipulatorem ludzkich sumień i równie genialnym organizatorem i przedsiębiorcą, ale nie wzorem prawdziwej świętości. Zdobył sobie zaufanie kolejnych papieży – ze znamienym wyjątkiem Jana XXIII! – i już w 19 lat po śmierci (r. 1975) został przez Jana Pawła II beatyfikowany (1994), choć według dotychczasowej praktyki watykańskiej do beatyfikacji mogło dojść najwcześniej w 50 lat po śmierci kandydata.

Zdrowym elementem tradycyjnych procesów kanonizacyjnych była funkcja tak zwanego *advocatus diaboli*, którego zadaniem było nie dopuścić, by wyniesiony na ołtarze mógł być kandydat niegodny tego, albo choćby tylko kontrowersyjny. Kanonizacja oczywiście nie ma sensu, nie ma duszpasterskiej wartości, jeśli kandydat nie budzi czci całego Ludu Bożego. Mimo to mamy w oficjalnym pocście świętych kilka wątpliwych postaci. Obecnie kontrowersje budzi projektowana przez Rzym kanonizacja papieża Piusa XII. Całkiem niezależnie od słuszności czy niesprawiedliwości wysuwanych przeciw temu papieżowi zarzutów, ewentualna jego kanonizacja na pewno nie doprowadziłaby do załagodzenia istniejącego sporu, raczej wprost przeciwnie, i dlatego byłaby dyplomatycznie, i zwłaszcza duszpastersko, kontrproduktywna. Czci dla świętej osoby nie można zadekretować. Może ona być tylko wynikiem spontanicznego działania łaski w ludzkich duszach.

Tymczasem liczba beatyfikacji i kanonizacji przeprowadzonych w ciągu samego tylko obecnego pontyfikatu już przekroczyła tysiąc, podczas gdy w ciągu wszystkich poprzednich pontyfikatów od XVI wieku wyniosła w sumie niewiele ponad trzysta. Jest to wzrost, w ciągu jednego tylko pontyfikatu, przeszło trzykrotny. Ta inflacja urzędowej świętości nieuchronnie pociąga za sobą jej dewaluację, bo świadomość ogółu wiernych nie jest już w stanie tego nawалу ogarać. Nie mówiąc już o tym, jak wspomnieliśmy poprzed-

nio, że w naszych ekumenicznych czasach pojęcie świętości ogranicza się przez to do jednego tylko wyznania. Ale może to też znaczyć – daj Boże – że praktyka mnożenia oficjalnych świętych osiągnęła teraz swoje apogeum i że odtąd Kościół będzie znowu bardziej polegał na natchnieniach Ducha św., tak jak je odczuwa światowy *sensus fidelium*. Tak jak to czynił w ciągu wielu wieków przed wprowadzeniem urzędowych kanonizacji.

Przyznaję, że moja awersja do urzędowej świętości, choć niekoniecznie urzędowych świętych, jest dość radykalna i jeszcze stosunkowo mało powszechna. Ciekaw jestem, czy zgodzi się ze mną mój nowy przyjaciel, z którym znamy się zaledwie od roku, i to tylko korespondencyjnie. Mam nadzieję, że tak. Poznaliśmy się przez to, że jemu przemówiła do przekonania moja odpowiedź na zeszłoroczną ankietę *Znaku* w sprawie realizacji reform soborowych w Polsce, a mnie jeszcze bardziej jego odpowiedź na tę samą ankietę. Odtąd jest on dla mnie niezwykle cenną podporą moralną i sprawdzianem moich poglądów. Brat Jerzy Klukowski jest zakonnikiem, w zgromadzeniu znanym pod nazwą Małych Braci Jezusa i równocześnie listonoszem w Łodzi. To połączenie bardzo wiele mówi. Bo z jednej strony Mali Bracia Jezusa, związani normalnymi ślubami zakonnymi, prowadzą bardzo intensywne życie kontemplacyjne, ale poza tym niczym się nie różnią od zwykłych świeckich ludzi i zarabiają na życie w jakimś świeckim zawodzie. Mieszkają prywatnie w małych grupach (Brat Jerzy ma za towarzysza tylko Brata Andrzeja) i mają w swym mieszkaniu Najświętszy Sakrament. W bardzo istotnym sensie cały dzień, włącznie z pracą zarobkową, jest dla nich naznaczony kontemplacją, ale jej okresem szczytowym jest godzinna adoracja Brata Jezusa w domowej kaplicy. Poza tym Mali Bracia, tak jak świeccy wierni, chodzą w niedzielę do kościoła i prowadzą normalne życie sakramentalne. Zakon wywodzi się z Francji, czy może raczej z Algierii, z tradycji wielkiego pustynnego świętego Charlesa de Foucault, i w Polsce istnieje dopiero od połowy

lat 70-ych. W interesie autentyczności ich posłannictwa oddaję teraz głos Bratu Jerzemu. Oto dwa krótkie cytaty z jego niedawnego listu:

„W naszej formacji mocno podkreślamy, że jesteśmy zgromadzeniem kontemplacyjnym, więc wszystko musi być 'za darmo', bez innego celu niż absolut dwóch miłości, Boga i człowieka. W relacjach z drugim człowiekiem wręcz nie mogę, nie mam prawa myśleć o ukazywaniu jakiejś prawdy, o przekonaniu go. Liczy się tylko jego osoba, jego dobro, chodzi o podstawowe jego prawa – najpierw ma prawo istnieć taki jaki jest – zaakceptowany bez żadnego osądzania, gdyż tylko Bóg może znać pełną prawdę o jego sercu. I moim zadaniem jest patrzeć na niego tak jak Bóg na niego patrzy... Myślę, że im bardziej potrafię mieć przyjacielskie relacje z każdym, a jednak przed nikim nie ukrywać swej tożsamości (w prostych, niekościelnych słowach wytłumaczyć jak żyję), tym bardziej takie życie wśród ludzi ma znaczenie 'świadczenia'. Lecz jest ono tym większe, im mniej ja sam o nim myślę, im reakcja moja jest bardziej spontaniczna. 'Niech twoja lewa ręka nie wie, co czyni prawa'”.

Drugi cytat jest reakcją Brata Jerzego na wcześniejszą wymianę myśli na temat dwóch chrześcijańskich męczenników hitleryzmu, pastora Dietricha Bonhoeffera i austriackiego chłopca, katolika, Franza Jaegerstaettera (obu, nawiasem mówiąc, bez szans na kanonizację). Brat Jerzy pisze:

„Znałem już te nazwiska, szczególnie Jaegerstaettera – w czasie stanu wojennego byłem blisko związany z ludźmi szukającymi inspiracji do walki bez przemocy i jego świadectwo, wraz z innym Austriakiem Ottonem Schimkiem – było dla nas wielce mówiące. Dobrze też znałem życiorys Bonhoeffera, ale do jego pism jakoś nigdy nie odważyłem się zajrzeć. To, co o nim piszesz, głęboko mną poruszyło. Być może sam właśnie przechodzę ten etap zmagania się z chrześcijaństwem we współczesnym 'świecie bez Boga', coraz lepiej rozumiejąc, że żaden religijny system, instytucja, nie są w stanie zamknąć żywego Boga i pełnego o Nim świadectwa, które złożył Jezus

z Nazaretu, sam zresztą zrywający wszelkie 'religijne' pewniki. Jego czciciele mają wielbić Boga 'w duchu i w prawdzie', w wolności, miłosierdziu, współczuciu, braterstwie. To 'niereligijne chrześcijaństwo' Bonhoeffera jakoś bardzo mocno do mnie przemawia. Zresztą jak i inne drogi szukania Boga, o których piszesz – Simone Weil, Bertrand Russell. Iluz takich proroków posyła nam Bóg, byśmy mogli kontynuować nasze ludzkie powołanie i wciąż bardziej stawać się ludzkimi, 'uwrażliwiać się', jak mówił Skolimowski".

Przypominam nazwisko autora listu: Mały Brat Jezusa, Jerzy Klukowski, Łódź.

Antoni POSPIESZALSKI

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sąsiedzi

Dokąd zmierza Kuczma?

Dla Ukrainy trzecie milenium zaczęło się bardzo burzliwie. Prezydent Leonid Kuczma po wyraźnym zwycięstwie w jesiennych wyborach w ubiegłym roku, zabrał się energicznie do utwierdzenia i pogłębienia swojej władzy. Objęcie urzędowania przypominało koronację monarchy. Zjechało się wielu dygnitarzy, przeważnie z sąsiednich krajów. Tylko Zachód nie dopisał. Nawet z najbardziej – oczywiście zaraz po Polsce – zaprzyjaźnionych Stanów Zjednoczonych przyjechał tylko minister ochrony środowiska, jakby Waszyngton chciałby w ten sposób Kuczmie przypomnieć wciąż ropiejący wrzód Czarnobyla. Nawet „patron” przyjaźni, Zbigniew Brzeziński, nie przyjechał.

Nieobecność ważnych gości z zachodniej Europy wywołała różne reakcje: „widocznie nie chcą nas w Europie i wpychają, jak to w historii bywało, na wschód” zauważył w prywatnej rozmowie urzędnik z otoczenia Kuczmy. No, ale prezydenta Ukrainy nie wybiera brukselska nomenklatura, która ponownie dowiodła, że nie docenia wagi tego kraju dla stworzenia geopolitycznej spójni pomiędzy wschodem i zachodem kontynentu.

Nie zniechęciło to jednak Kuczmy. Jemu głównie chodziło przy tej „koronacji” o zapis do historii. Oto sierota, którego ojciec zginął na froncie po inwazji niemieckiej, żyjący z rodziną w ziemiance, w spalonej przez uciekających Niemców – wiosce, chodzący boso do szkoły, zostaje po latach dyrektorem największej na świecie fabryki interkontynentalnych rakiet atomowych, a potem wreszcie prezydentem Ukrainy. Nie wiem, co go obecnie inspiruje: sława czy władza? Zapew-

ne jedno i drugie, a może tylko chęć naprawienia błędów popełnionych w okresie pierwszej prezydentury.

Kierując się takimi czy innymi ambicjami, prezydent Kuczma przeniósł drugą część uroczystości do katedry św. Zofii, najstarszego zabytku sakralnej architektury z doby Kijowskiej Rusi. W otoczeniu krypt, w których spoczywają władcy dawnej Rusi, Kuczma otrzymał namaszczenie od wszystkich zwierzchników Kościołów i wyznań. Coś podobnego wydarzyło się tylko raz przed kilku laty, kiedy politycy i duchowni asystowali w ingresie patriarchy Mściśława do Soboru.

Te wszystkie uroczystości nie znalazły należytego echa. Społeczeństwo stało się nieufne, mieszkańcy stolicy patrzyli bez sympatii na przejeżdżające limuzyny. Społeczeństwo klepie biedę i przestaje wierzyć we wznieśnięte ideały i roztaczane wizje o świetlanej przyszłości. „Zmarnował szanse naprawy państwa, bo otoczył się kliką szarlatanów i złodziei” – brzmi najczęściej powtarzany zarzut. Czy Kuczma wie o tym, że ludzie go nie lubią, chociaż na niego głosowali? Nie bardzo wiadomo, jak w praktyce wygląda informowanie prezydenta o nastrojach społeczeństwa. Zapewne zausznicy boją się przedstawiać głowie państwa rzeczywisty obraz opinii społecznej.

Paradoks ukraińskiej sytuacji polega na tym, że z jednej strony Kuczma zwycięża w wyborach, a z drugiej społeczeństwo otwarcie wyraża niezadowolenie z dotychczasowej polityki. Może prezydent uświadomił sobie ten niebezpieczny dysonans i stąd jego pasja do reformowania systemu rządzenia i funkcjonowania gospodarki. Ale, zanim zabrał się do dzieła, zemścił się na tych wszystkich, którzy poszli w wyborach z opozycją. Wykorzystując swoje prerogatywy usunął ich brutalnie z zajmowanych stanowisk. Przypomina to trochę, przy wszystkich odmiennościach sytuacji i formatu postaci, przewrót majowy Marszałka Piłsudskiego i jego walkę z sejmem i opozycją. Kuczma oczywiście nigdy nie czytał Piłsudskiego, i, jak stwierdziłem, mało wie o legendarnym Marszałku i o Petlurze. Ale jego przodkowie byli w wojsku zaporoskim i coś tam może z ducha walki z warcholstwem pozostało. A reszta to sowiecka szkoła sowieckiej dyscypliny w takim przedsięwzięciu jak produkcja najgroźniejszych rakiet atomowych na świecie.

Parlament, rozbity na frakcje, w większości wrogi wobec prezydenta i rządu, pod przewodnictwem nieudolnego Pustowojtenki, nie był zdolny do akcji. Kuczma zapowiedział plebiscyt by otrzymać pełnomocnictwa do rozwiązywania parlamentu i zlikwidowania nietykalności poselskiej oraz do powołania drugiej izby parlamentu dla usprawnienia administracji. Groźby Kuczmy spowodowały popłoch wśród parlamentarzystów, którzy bali się utraty swojej pozycji czy ewentualnego pójścia za kraty. Niektórzy składali skargi w Trybunale Konstytucyjnym i donosy w Radzie Europy w Strasburgu. Trybunał skreślił dwa punkty z ankiety plebiscytu kolidujące z konstytucją, a Rada Europy zaleciła kilka drobnych zmian i w ogóle przeniesienie referendum na termin późniejszy. Ale Kuczma się uparł, przystosował się do wyroku Trybunału, natomiast zlekceważył Radę Europy, która zresztą była zajęta kolonialną wojną Rosji w Czeczenii i strachem przed tą właśnie Rosją.

Jednocześnie Kuczma rzucił się w wir reform. Najpierw zmusił parlament do obalenia ponownej kandydatury Pustowojtenki na stanowisko premiera. Potem powołał na jego następcę prezydenta Narodowego Banku Ukrainy, Wiktora Juszczenkę, fachowca, który jest uosobieniem drugiej fazy niepodległości. Nie ma nic wspólnego z dawną nomenklaturą, posiada dobre wykształcenie ekonomiczne i jest symbolem zjednoczenia ziem ukraińskich, gdyż urodził się na Czerkaściźnie, a uczył się w Tarnopolu. Jest rzecznikiem gospodarki rynkowej, a co najważniejsze, nie należy do żadnych tzw. „grup oligarchicznych”, czyli potentatów w na wpół sprywatyzowanej gospodarce. Zapewnia mu to popularność w społeczeństwie, ale też może stać się jego zgubą w skorumpowanej elicie dorobkiewiczów.

Bat referendum i groźba rozwiązania parlamentu spowodowały taki szok, że skłócona Werchowna Rada w dramatycznej walce uformowała przewagę nad lewicą, obaliła jej rzecznika, przewodniczącego Izby, Tkaczenkę, i zrobiła generalną czystkę w kierownictwach komisji parlamentarnych. Na przewodniczącego Rady powołano znowu Iwana Pluszcza, który piastował to stanowisko za czasów prezydentury Krawczuka. Jowialny, wykonujący swoją funkcję z umiarem i humorem, Pluszcz umie pośredniczyć w konfliktach i

rozładowywać napięcia. W każdym razie, po raz pierwszy, parlament przyjął rządowy projekt budżetu bez zmian i zatwierdził program działań gabinetu Juszczunki w nadziei, że Kuczma odwoła referendum jako niepotrzebny zabieg wobec uległości parlamentu.

Stało się jednak inaczej. Prezydent nie wierzy w stałość koniunkturalnej stabilizacji. Obawia się, że po jakimś czasie, kiedy dojdzie do bardziej drastycznych reform, Werchowna Rada znów zacznie wierzczać. Pozostał więc przy pierwotnych planach i przeprowadzone 16 kwietnia referendum zapewniło mu pełne poparcie. Obecnie jest pytanie, co Kuczma zrobi z tego ponownego zwycięstwa. Jakich nowych pełnomocnictw zażąda dla siebie, jakie zmiany zaproponuje w tekście konstytucji i jaki wniesie projekt odnośnie drugiej izby parlamentu. Przeciwnicy Kuczmy lamentują, że prezydent prowadzi kraj do dyktatury, zwolennicy zapowiadają, że nareszcie zapanuje ład i porządek, a neutralni obserwatorzy uważają, że Kuczmie przyświeca idea systemu prezydenckiego, podobnego do panującego we współczesnej Francji.

Bohdan OSADCZUK

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: W roku 1999 eksport niemiecki osiągnął wartość 992,3 miliardów marek (wzrost o 3,9% w porównaniu do roku 1998) a import 867,7 miliardów (wzrost o 4,8%). Najważniejszym partnerem handlowym Niemiec pozostała Francja przed USA. ■ Od 1 sierpnia do Niemiec może oficjalnie przybyć i pracować przez okres do 5 lat 30 tysięcy specjalistów z zakresu oprogramowań komputerowych. Kampania werbunkowa zainicjowana przez kanclerza Gerharda Schrödera spotkała się z krytyką niektórych polityków chadeczek i przedstawicieli związków zawodowych, którzy zażądali

przeszkolenia niemieckich bezrobotnych i obsadzenia nimi wakatów w tej branży. ■ Zdaniem ekspertów mimo dużego bezrobocia w Niemczech brakuje także specjalistów z zakresu budowy maszyn i chemików. Również rzemieślnicy żądają wprowadzenia w Niemczech prawa imigracyjnego w celu walki z bezrobociem. ■ Transfer finansowy z landów zachodnich do wschodnich także w następnych latach wynosić ma ponad 140 miliardów marek rocznie. ■ Wedle ekspertów Niemieckiego Towarzystwa Badań Konsumpcji GfK gotowość firm niemieckich do inwestowania w Polsce jest duża, jednak istnieje duża niepewność co do wyboru miejsca inwestycji. ■ Pod koniec marca br. 2/3 mieszkańców Niemiec chciałoby cofnięcia decyzji o wprowadzeniu waluty Euro, pozostawić ją chciało 23%, a 12% chciałoby wprowadzenia w jego miejsce dolara. ■ Przedstawiciele gospodarki niemieckiej wyrazili zadowolenie z wyboru Władimira Putina na prezydenta Rosji i oświadczyli, że w przypadku kontynuacji polityki reform będą rosły tam inwestycje niemieckie. ■ Przeciwno zbyt szybkiemu rozszerzeniu UE wypowiedzieli się eksperci z Deutsche Industrie- und Handelstag zalecając przyjęcie do Unii w roku 2004 Węgier i Słowenii, w 2005 Polski a w 2006 Czech i Estonii. ■ Rosja jest przed Norwegią najważniejszą dostawcą ropy naftowej do Niemiec. ■ **POLITYKA:** Minister obrony Rudolf Scharping podsumowując swą marcową wizytę w Rosji, powiedział, że Rosja musi pozostać partnerem przy budowie wspólnych struktur bezpieczeństwa. Na rok bieżący Rosja i Niemcy uzgodniły 33 wspólne projekty na obszarze kooperacji wojskowej i techniczno-wojskowej. ■ Liczba osób odmawiających odbycia służby wojskowej w Niemczech wyniosła w roku ubiegłym 174 347 i osiągnęła tym samym nowy rekord. ■ Kościół katolicki w Niemczech obawia się utraty „tradycyjnego znaczenia” w całych Niemczech, wskazując na tendencje zanikania środowisk kościelnych tak, jak stało się to w Niemczech Wschodnich. ■ Decyzja Federalnego Sądu Administracyjnego w Berlinie o wprowadzeniu do szkół nauki islamu wywołała zaniepokojenie i żądanie władz laickiej Turcji w sprawie cofnięcia tej decyzji. ■ Minister obrony Rudolf Scharping, zapowiedział wypracowanie „kodeksu zachowania się” wobec żołnierzy homoseksualistów, który ma wykluczyć ich dyskryminację z powodu orientacji seksualnej. ■ Zdaniem Scharpinga Bundeswehra nie jest obecnie zdolna do działania w sojuszu NATO z powodu braków inwestycyjnych w wysokości 15 miliardów marek, które są niezbędne do unowocześnienia przestarzałego i zakupu nowego sprzętu. ■ Po raz

pierwszy w historii krajów niemieckiego obszaru językowego profesorem teologii systematycznej została kobieta Dorothea Sattler, która wykładać będzie na Wydziale Teologii Katolickiej Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. ■ Prezydent bawarskiego Landtagu Johann Boehm został nowym rzecznikiem organizacji wypędzonych Niemców Sudeckich. ■ CIA przekazała Niemcom pierwszą część kartoteki enerdowskiej Stasi zapisaną na płycie kompaktowej, zapowiadając przekazanie 1000 dalszych płyt, na których utrwalonych jest pół miliona operacji Stasi oraz 320 000 nazwisk. Zdaniem niektórych ekspertów nie są to całe archiwa, lecz „przefiltrowany wybór”. ■ Zdaniem Urzędu Gaucka, enerdowska Stasi stosowała substancje radioaktywne do niewidzialnego znakowania papierów, banknotów, ale także ludzi, co ułatwiało jej obserwację. Takie znakowanie mogło stanowić zagrożenie dla zdrowia ludzi. Nie stosowała ona natomiast celowego napromieniowania opozycjonistów. ■ Były szef Stasi Erich Mielke przeniósł się z prywatnego mieszkania do domu starców, ponieważ jego żona odmówiła dalszego zajmowania się niedołącznym fizycznie i umysłowo 92-latką. ■ Helmut Kohl, który był obserwowany przez enerdowską bezpiekę od 20 roku życia, ostro zaprotestował przeciwko upublicznieniu zebranych raportów na jego temat. ■ Przeciwko wykorzystaniu tych raportów w postępowaniu wyjaśniającym w sprawie afery finansowej z udziałem Helmuta Kohla wypowiedział się też kanclerz Gerhard Schröder. ■ Członek CDU i ostatni minister spraw wewnętrznych NRD Peter-Michael Diestel oskarżył Joachima Gaucka o współpracę ze Stasi. Miał on jakoby używać pseudonimu „Larwa”. Urząd Gaucka zaprzeczył zarzutom, twierdząc, że istnieje kartoteka na nazwisko Joachima Gaucka, ale „wykazuje ona jednoznacznie, że Gauck był ofiarą, a nie donosicielem Stasi”. ■ Co piąty ekstremista skrajnie lewicowy w Niemczech mieszka w Berlinie. ■ W roku ubiegłym w RFN zarejestrowano o 5,9% mniej naruszeń prawa z pobudek politycznych w porównaniu do roku poprzedniego. Niemal 2/3 spośród nich miało podłoże skrajnie prawicowe, antycudzoziemskie lub antysemickie, co piąty przypadek zaliczono na konto grup skrajnie lewicowych, natomiast 16% przypada na konto cudzoziemców. Za motyw spowodowania śmierci dwóch osób uznano nienawiść do cudzoziemców. ■ Badania ankietowe młodzieży niemieckiej wykazały w tym roku, iż 27% młodocianych można uznać za wysoce wrogo nastawionych do cudzoziemców. ■ Sąd Administracyjny zakazał pod koniec lutego marszu 500 ekstremistów prawicowych dla uczczenia 70 rocznicy śmierci jednego z byłych

liderów SA Horsta Wessela, gdyż istniało zagrożenie, iż demonstranci będą śpiewać pieśń bojową z tytułem pochodzącym od jego nazwiska (Horst-Wessel-Lied), co jest w Niemczech czynem karalnym. ■ Około 500 neonazistów demonstrowało w Erfurcie pod koniec lutego, żądając zwrotu utraczonych przez Niemcy terenów. ■ Pod koniec kwietnia policja niemiecka schwytała trzech młodocianych sprawców nieudanego podpalenia synagogi w Erfurcie. ■ Według danych bawarskiego Urzędu Ochrony Konstytucji wśród członków skrajnie prawicowej partii NPD znajduje się od 15 do 20 nazistów austriackich. ■ Główny sąd landu Meklemburgii-Przedpomorza skazał na kary więzienia od lat 2 do 6 pięciu skrajnie prawicowych młodocianych za napad i niebezpieczne pobicie dwóch Wietnamczyków. ■ Federalny minister sprawiedliwości pani Herta Däubler-Gmelin zapowiedziała ostre ściganie neonazistów prowadzących swą działalność w sieci Internetu i podjęcie w tym celu rozmów z największymi firmami internetowymi jak AOL, Bertelsmann i Microsoft. ■ W roku ubiegłym wzdłuż granicy niemieckiej ujęto 3410 przemytników ludzi, którym udowodniono nielegalne przetrzymanie do Niemiec 11.101 cudzoziemców. Najwięcej, bo około 2/3 obcokrajowców z ogólnej liczby 37789 osób chcących nielegalnie dostać się do Niemiec schwytano przy granicy z Czechami i Austrią. ■ KULTURA I POLONICA: Moskwa zgodziła się na oddanie RFN 101 rysunków z breneńskiej Kunsthalle przewiezionych w roku 1945 z Niemiec do Związku Sowieckiego jako „trofeów wojennych”. ■ W 38 miastach Północnej Nadrenii-Westfalii od kwietnia do listopada odbywa się prezentacja literatury, sztuki i kultury polskiej. Zaplanowano ogółem 250 wieczorów autorskich, wykładów, występów teatralnych, koncertów i seminariów. ■ Z okazji 20-lecia istnienia Niemieckiego Instytutu Polskiego w Darmstadzie odbyła się uroczystość z udziałem m.in. prezydentów Niemiec i Polski oraz znanych polityków, działaczy i artystów. ■ Bogaty program imprez w pierwszym kwartale br. zaplanowały także Polskie Instytuty Kultury w Düsseldorfie i Berlinie. Berliński PIK zaprosił do siebie m.in. Krzysztofa Zanussiego, Pawła Łozińskiego, Olgę Tokarczuk oraz Bałtycki Teatr Dramatyczny. Natomiast PIK w Düsseldorfie obok imprez kulturalnych zorganizował także dyskusję panelową pt. „Polskie przystąpienie do NATO. Prawdziwe zakończenie Jałty” oraz wspólnie z władzami Düsseldorfu i Krakowa fotograficzną prezentację Krakowa jako „kulturalnej stolicy Europy” w roku 2000. ■ Pod hasłem Polska 2000 wydawnictwo ROSPO-Verlag

oferuje w tym roku m.in. dzienniki Andrzeja Bobkowskiego, felietony literackie Pawła Huelle, eseje Jerzego Stempowskiego, opowiadania Nataszy Goerke, wybór prozy Krzysztofa Rutkowskiego oraz wiersze Leszka Szarugi i Ryszarda Krynickiego. ■ Rząd landu Brandenburgii rozważa możliwość utworzenia we Frankfurcie nad Odrą Akademii Polskiej (Polen-Akademie), która miałaby się zajmować wspieraniem przystąpienia Polski do Unii Europejskiej np. za pomocą szkoleń dla pracowników polskiej administracji w zakresie norm unijnych. ■ W wieku 65 lat zmarła wschodniemiecka autorka i współautorka książek na temat losu wypędzonych z byłych ziem niemieckich w NRD Ursula Höntsch. ■ We wschodniemieckim mieście Schwedt położonym przy granicy z Polską odbyła się polsko-niemiecka inscenizacja teatralna „Romea i Julii” zrealizowana przez młodocianych z obu krajów. ■ W dniach 25 i 26 marca br. odbyły się w Berlinie Niemiecko-Polskie Targi Oświatowe poświęcone nauce i nauczaniu języka polskiego w stolicy Niemiec pt. „Przyszłość z językiem polskim”. Zorganizowały je m.in. Polska Rada Społeczna i Towarzystwo Niemiecko-Polskie w Berlinie. ■ Berlińska gazeta *Der Tagesspiegel* zamieściła w połowie marca notkę Charlesa A. Landsmanna na temat papieża Karola Wojtyły i jego wczesnych kontaktów z mieszkającymi w Polsce przed wojną Żydami. Landsmann pisze m.in., że Jan Paweł II urodził się i wzrastał w domu, którego właścicielem był miejscowy rabin, a jego pierwszą przyjaciółką była Żydówka Regina Reisenfeldt, zwana Gienką, z którą grał razem w teatrze i która nazywała go „Lulek”. Po wyborze na papieża, Karol Wojtyła przyjmując w Watykanie swych żydowskich przyjaciół z młodości, którzy przyjechali tam z Izraela, w pierwszych słowach spytał, co się dzieje z „Gienką”. Natomiast Regina Reisenfeldt jeszcze kilka lat temu „z błyszczącymi oczami” opowiadała o nim, że „Lulek był pięknym młodym mężczyzną, wysportowanym i uduchowionym, po prostu do zakochania się”. Podczas ostatniej wizyty w Izraelu do spotkania obojga nie doszło, gdyż „Gienka zanurzyła się w świecie zapomnienia jako ofiara jednej z najbardziej zdradzieckich chorób starości”. ■ Tegoroczne Targi Książkowe w Lipsku odnotowały o 20% większą liczbę uczestników (60.000) niż ubiegłoroczne. ■ Berlińsko-Brandenburska Akademia Nauk wydała szeroki przegląd wszystkich publikacji na temat historii Niemiec, które ukazały się w roku 1998. Zawiera ona ponad 16.000 informacji na temat, ponad 16.000 monografii i artykułów z czasopism fachowych i wydawnictw zbiorowych. (*Jahresberichte für deutsche Geschichte*,

Berliner Akademie Verlag 1999, 1237 stron). ■ W Weimarze zaprezentowano pierwsze kompletne wydanie zapisków Friedricha Nietsche, które ma ukazać się jesienią br. ■ W Berlinie Polska Rada Społeczna prowadzi kampanię przeciwko likwidacji w berlińskiej sieci kablowej programu TV Polonia. Inicjatorzy akcji podkreślają znaczenie tego programu dla zachowania i nauki języka polskiego szczególnie dla dzieci z rodzin przybyłych z Polski. ■ W 500 lat po pierwszym druku tzw. Biblii Gutenberga (Gutenberg-Bibel) ukazała się jej replika na płycie kompaktowej wydanej przez Bibliotekę Państwową i Uniwersytecką w Getyndze. ■ Czasopisma fachowe i specjalistyczne zdobywają coraz większą część rynku prasowego w Niemczech i wypierają pisma wielotematyczne jak *Stern* (zmniejszenie nakładu o 13,3%), *Spiegel* (- 8,9%) czy *Fokus* (- 13,5%). ■ Ekspozycja Wiener Secession nie ma prawa wystawiać obrazu austriackiego malarza Otto Mühla, ukazującego m.in. scenę seksu zbiorowego, na której widnieją twarze papieża Jana Pawła II, Matki Teresy oraz szefa FPÖ Jörga Haidera. Sąd, który zabronił wystawiania obrazu, stwierdził w wyroku, że „wolność sztuki nie daje artyście prawa do obrażania innych”. ■ Niemiecki minister kultury Michael Naumann wyraził nadzieję, że jego wizyta w Moskwie i rozmowy z Władimirem Putinem doprowadzą do polepszenia stosunków i klimatu rozmów na temat zwrotu zagrabionych dzieł sztuki. ■ Niemal co drugie gospodarstwo domowe w Niemczech posiadało po koniec marca br. komputer. ■ Liczba użytkowników Internetu w Niemczech w ciągu ostatnich 6 miesięcy uległa podwojeniu i osiągnęła w kwietniu 15,9 milionów użytkowników. ■ Największa w Niemczech sieć telefoniczna Deutsche Telekom rozpoczęła praktyczną realizację zamierzenia pod hasłem „Szkoły do sieci”, której celem jest bezpłatne podłączenie i eksploatacja sieci Internetu przez wszystkie szkoły w Niemczech. Także konkurencyjna firma internetowa AOL zwróciła się do szkół z ofertą bezpłatnego użytkowania jej usług internetowych. – Co na to Telekomunikacja Polska SA i polski minister kultury?

Andrzej STACH

Kronika białoruska

10 maja w Mińsku odbyło się pożegnanie dyrektora tamtejszego Instytutu Polskiego Tomasza Niegodzisa i powitanie nowego dyrektora Cezarego Karpińskiego z Lublina. Tomasz Niegodzis obejmuje funkcję ambasadora RP w Senegalii. ■ Od 12 do 13 maja odbyło się seminarium „Rozwój prasy niezależnej w warunkach transformacji socjalnych, ekonomicznych oraz politycznych” zorganizowane przez Fundację „Wiedzieć jak”, Kolegium Białoruskie, Białoruskie Stowarzyszenie Dziennikarzy oraz Instytut Polski. W seminarium wzięli udział: redaktorzy *Gazety Wyborczej* Wojciech Maziarski, Ernest Skalski i Alicja Seliga oraz niezależna dziennikarka Teresa Torajska. ■ Od 17 do 21 maja miał miejsce w Mińsku V Międzynarodowy Festiwal Chórów Prawosławnych z udziałem chórów: Białorusi, Ukrainy, Rosji, Jugosławii, Rumunii i Polski. ■ 18 maja został otwarty Międzynarodowy Festiwal „Mińska wiosna”. Wśród uczestników były zespoły muzyczne z Białorusi, Polski, Niemiec oraz teatry z Polski i Białorusi. Festiwal trwał do 20 maja. ■ Od 21 do 25 maja odbył się w Mińsku III Kongres Białorutynistów. W ramach kongresu miał miejsce okrągły stół na temat „Wzajemne wzbogacanie się białoruskiej i polskiej kultur w ciągu ostatniego tysiąclecia”. W skład delegacji polskiej wchodził profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego, Olsztyńskiego, Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytetu w Białymstoku oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Wszystkie powyższe imprezy odbyły się przy współpracy z Instytutem Polskim w Mińsku. ■ W czasie obchodów 60-lecia powstania uniwersytetu w Grodnie rektor Uniwersytetu w Białymstoku, Adam Jamróz podpisał umowę między uniwersytetami w sprawie rozszerzenia i pogłębienia współpracy, tj. prowadzenia wspólnych badań naukowych, wymiany nauczycieli i studentów oraz wymiany informacji naukowych i publikacji w dziedzinie badań prowadzonych w obu uniwersytetach.

Notatki Redaktora

Samorząd warszawski jest od lat domeną koalicji AWS-UW. Gmina Centrum jest najbogatszą i największą w Polsce, a więc głównym oparciem politycznym i finansowym dla rządzącej koalicji. Samorząd jest monstrualnie rozbudowany, liczy ok. 650 świetnie opłacanych radnych (w samej Gminie Centrum 85 radnych), a więc może rozdawać dobre posady swoim zwolennikom. Układ ten został ostatnio naruszony przez wybranie burmistrza p. Wieteskę z SLD. Wojewoda mazowiecki (AWS) zakwestionował ten wybór, uznając, że w gminie powstaje chaos i wprowadził zarząd komisyjny. Premier Buzek mianował komisarzem p. Hermana – człowieka AWS. AWS więc zupełnie opanował Warszawę, pozbywszy się przy tym koalicjanta, z którym te posunięcia nie były uzgodnione. Metody te doprowadziły do kryzysu rządowego, gdyż Unia Wolności zapowiedziała wyjście z koalicji. Nie wiadomo, czym to się skończy, bo w chwili, kiedy piszę te notatki trwają nieustanne zakulisowe dyskusje.

W każdym razie jest to kryzys, który całkowicie sparaliżował działalność państwa i skompromitował nas na terenie międzynarodowym. Powołanie nowego premiera i zasadnicza rekonstrukcja rządu z wprowadzeniem bezpartyjnych fachowców nic nie da, gdyż parlament jest niezdolny do ograniczenia swych funkcji i dania pełnomocnictw nowemu Grabskiemu. Zresztą tego nowego Grabskiego nie widać na horyzoncie. To rozwiązanie pozwoli jedynie do kulejącego dotarcia do końca kadencji. Stworzenie rządu mniejszościowego przez AWS też nie jest rozwiązaniem, bo nie będzie mógł on nic zrobić poza jałowymi dyskusjami w każdej ważniejszej sprawie. Przyspieszone wybory i dojście do władzy SLD niczego nie zmienia sądząc po wypowiedziach Leszka Millera w jego wywiadzie udzielonym Urbanowi, o którym

wspominałem w ostatnich „Notatkach”. Natomiast zaczyna się zarysowywać cień nieobliczalnego populisty Leppera.

A prezydent? Nie wiem.

Natomiast co zrobić z Warszawą? Samorząd warszawski działa źle, mając skomplikowaną i niewydolną strukturę. Wszystko to z powodu, że Warszawa jest w fatalnym stanie. Niedokończone metro, brak mostów, zła przelotowość ulic, nieprzemyślane budownictwo, gdzie drapacze sąsiadują z walącymi się kamienicami, archaiczna kanalizacja, przysłowiowy brak wody pitnej, lista jest długa. Nie widzę innego rozwiązania jak mianowanie komisarycznego prezydenta ale dla całej Warszawy, dobrego organizatora, wyposażonego w szerokie pełnomocnictwa, i co najważniejsze, bezpartyjnego. Przykład Starzyńskiego jest najlepszym dowodem skuteczności takiego rozwiązania. I proszę nie mówić, że to jest niedemokratyczne. Jak wygląda demokracja, to widzimy w dzisiejszej Warszawie. Od lat o to bezskutecznie walczę. W swoim czasie znakomity architekt, Czesław Bielecki opracował plan przebudowy centrum Warszawy, ale na tym się też skończyło.

Coś się ruszyło w polskim Kościele. Kardynał Glemp zachęcony przykładem Papieża, ogłosił rachunek sumienia z błędów popełnionych przez Kościół w okresie powojennym. Rachunek bardzo uczciwy i odważny. Szkoda jednak, że pominał dążenia niektórych ośrodków kościelnych do przesadnej ingerencji w życie polityczne w kraju, jedynie przeslizgnął się nad wzrostem antysemityzmu, który przybiera w Polsce niepokojące rozmiary.

Gazeta Wyborcza podaje iż Stowarzyszenie Powiatów i Gmin Nadburzańskich zorganizowało wyjazd do Włoch 33 samorządowców (na 100 starostów, wójtów i burmistrzów)

by podziękować Ojcu Świętemu za wizytę na Podlasiu. Według *Gazety Wyborczej* większość z nich spędziła dwa tygodnie we Włoszech na koszt swoich gmin i powiatów. Organizatorzy wycieczki tłumaczą, że prócz trzech dni spędzonych w Rzymie, byli na Monte Cassino, w Asyżu i Loretto, San Marino, Neapolu i Capri. Wicestarosta Węgrowski uzasadniając jej celowość powiedział, że radni odwiedzili sporo miejsc świętych, kultowych, „a my jesteśmy przywiązani do tradycji”. Zaś burmistrz Łosic stwierdził, że była to pielgrzymka, czyli wyjazd służbowy. Ostatnio jest ogromna ilość pielgrzymek do Rzymu, czy nawet Ziemi Świętej, ale czy one są opłacane przez uczestników prywatnie, czy też są to też „wyjazdy służbowe”?

Profesor Adam Zieliński, rzecznik praw obywatelskich, w liście do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stwierdził źle i lekceważące traktowanie obywateli ukraińskich na przejściach granicznych przez straż graniczną. Ze swej strony mam liczne relacje, że dotyczy to również celników. To samo dzieje się na granicy polsko-białoruskiej. Trzeba z tym jak najenergiczniej walczyć. Poza wydaniem odpowiednich zarządzeń, należy w stosunku do winnych wytaczać postępowania dyscyplinarne. Nie wystarczają zapewnienia i deklaracje na najwyższych szczeblach o przyjaźni i współpracy. Istotne jest by to naprawdę funkcjonowało w dole. Należy przypomnieć jak przed laty traktowano polskich handlarzy w Berlinie, czy jak obecnie traktuje się polskich turystów w Austrii. To nas oburza. No, ale to jest Zachód.

Od dłuższego czasu Ministerstwo Gospodarki prowadzi korespondencję z Gazpromem dla przeprowadzenia drugiej rury Rurociągu Jamalskiego. Rosji zależy na tym by wziąć Ukrainę za gardło i by zaczęła prowadzić politykę w stylu Łukaszenki. Oficjalnie motywuje się tym, że Kijów oprócz opłat za tranzyt jest winny blisko 2 mld dolarów. Minister Steinhoff nie zaprzecza, że takie rozmowy są prowadzone od

dłuższego czasu, ale że te rozmowy prowadzi nie ministerstwo, tylko Polskie Górnictwo i Gazownictwo. Prezes PGG, Stefan Geroń, przyznał na konferencji, że w tej chwili oczekuje on intencyjnego listu z Gazpromu by rozpocząć konkretne rozmowy. I to wszystko odbywa się przy akompaniamentie zapewnień premiera Buzka o współpracy gospodarczej z Ukrainą. Jeszcze jeden przykład jak funkcjonuje rząd.

Niepokojące jest zjawisko orderomanii i deprecjacji najwyższego odznaczenia Orła Białego. Jest to order przeznaczony dla głów państw czy za specjalne zasługi. A przyznaje się go osobom, których zasługi nie uzasadniają tak wysokiego odznaczenia.

W ogóle jest inflacja orderów zupełnie w stylu Sławoja-Składkowskiego.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Lothar Herbst

Urodził się w roku 1940 w Breslau. Kiedy miasto zamieniono na twierdzę, wraz z matką i siostrą opuścili je, żeby przeczekać w Wałbrzychu. Po przejęciu miasta przez polską administrację wrócili do Wrocławia, by stwierdzić, że mieszkanie jest częściowo zniszczone i doszczętnie rozszabrowane. Znow wyjechali do Wałbrzycha.

Początkowo mieszkają na niemieckim osiedlu wraz z innymi rodzinami niemieckimi, których władze polskie nie chciały wypuścić ani do RFN, ani do NRD, ze względu na ich wysokie kwalifikacje zawodowe. Po kilku latach czekania staje się jasne, że ojciec Lothara nigdy już nie wróci z sowieckiej niewoli. Niespodziewana tragedia, jaką jest śmierć siostry Lothara, dodatkowo skłania matkę do pozostania. Decyzja ta powoduje odwrócenie się od nich całej rodziny, która zrywa z nimi wszelki kontakt.

Mimo możliwości, Lothar nie chce chodzić do istniejącej na osiedlu szkoły niemieckiej i decyduje się na szkołę polską. Przez kolegów niemieckich uznawany za zdrajcę, a przez polskich rówieśników za Niemca, musi często używać pięści przeciwko jednemu i drugiemu i organizuje grupę złożoną z kilku innych „odmieńców”, z którą łatwiej jest im się bronić przed prawdziwymi Niemcami i prawdziwymi Polakami – doświadczenie, które będzie towarzyszyło mu do końca życia.

W roku 1956 Lothar odprowadza kilku swych najbliższych kolegów do ostatniego pociągu z wysiedleńcami udającymi się do Niemiec Zachodnich. Sam zostaje, opanowuje doskonale język polski. Mimo presji i szykan z różnych stron oraz namów zatrużonej o jego los matki nie chce zmienić

ani imienia, ani nazwiska. – Myślę, że zrobiłem to bardziej dla mego ojca – powie mi kiedyś. Postawę tę zachowuje także w szkole zawodowej, liceum, a potem na studiach polonistycznych we Wrocławiu, gdzie zostaje następnie asystentem naukowym, zajmuje się polską prasą emigracyjną, wydaje swe pierwsze wiersze, prowadzi działalność wydawniczą, ułatwiający debiuty literackie innym.

Lata życia we Wrocławiu to okres jego pracy naukowej, działalności wydawniczej legalnej i w podziemiu, publikacji wierszy i odezw, działalności w strukturach NSZZ Solidarność i podziemnej „Solidarności Walczącej”. To także doświadczenia z przesłuchań, grózb i rękoczynów ze strony służby bezpieczeństwa. Z podziwem i wdzięcznością wspomina później wspaniałe postawy niektórych profesorów pochodzących z kresów wschodnich, którzy otwarcie i z odwagą wstawiają się za nim w obliczu szykan z powodu jego pochodzenia, nazwiska i przynależności do opozycji politycznej. Mimo nacisków w czasie internowania i więzienia, nie przyjmuje paszportu na wyjazd do Niemiec. Podczas jednego z przesłuchań zdenerwowany jego uporem oficer SB krzyczy: „Panie Herbst, wynoś się pan do Reichu!” – „A wy wynoście się do Moskwy” – odpowiada im Lothar. Mocno go za to pobito: – Ale to nic – mówił.

Z powodu choroby oczu, w styczniu 87 r. wyjeżdża czasowo na kurację do RFN, gdzie od razu rozpoczyna agitację na rzecz opozycji niezależnej w Polsce. Z dumą mówi potem o pobycie w Maisons-Laffitte i w Londynie, gdzie „za wybitny wkład w życie kulturalne Narodu i pracę dla niepodległości Polski” przez prezydenta RP na uchodźstwie odznaczony zostaje Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odwiedza też środowiska polonijne w USA. Pytany wielokrotnie w Niemczech, kim naprawdę jest, odpowiada niezmiennie: „Po pierwsze jestem człowiekiem, nazywam się Lothar Herbst, a po drugie najpierw jestem Ślązakiem. Natomiast wzrastałem jako Polak i w tym sensie jestem polskim patriotą. Oczywiście zachowałem też w sercu język mej matki i nie chcę, by ktoś się do tego wtrącał”.

Po powrocie do Polski w lutym 1989 r. znów aktywnie uczestniczy w strukturach Solidarności i piastuje wiele odpowiedzialnych funkcji. Kiedy 10 lat temu zostaje szefem

Polskiego Radia Wrocław jeszcze raz ukazuje swe zdolności organizacyjne, przystosowując rozgłośnie do wymogów nowej rzeczywistości politycznej i gospodarczej i modernizując także sam gmach. Niektórzy zarzucają mu, że nie zrobił gruntownej „czystki” politycznej i pozostawił w radiu byłych członków PZPR. Odpowiada na to niezmiennie, że „zwolnił kilka osób najbardziej odpowiedzialnych za sprawy przeszłe, innym trzeba dać szansę”.

W ostatnich latach coraz krytyczniej podchodził do polityki AWS i środowisk chrześcijańsko-narodowych, dostrzegając w niektórych działaniach aktywistów tego spektrum analogie do działań współczesnych nacjonalistów niemieckich. Sam odrzucał wszelkie nacjonalizmy, ideologię, dogmatyzm i manipulację polityczną w mediach. W jednym z listów napisał mi: „Nie wiadomo, czy będę wtedy tu (w radiu – A.S.) jeszcze pracował. AWS chce dostać media, ciągle mają nowe pomysły ich przejęcia, a na dodatek we wszystkim trzeba być partyjnym. Kto nie jest – wypada z gry. Wielu moich kolegów (jesteśmy po naradzie) ma te same odczucia”.

Lothar był silną osobowością. Dla niektórych był nieprzystępny, szorstki i mrukliwy. Dla przyjaciół był serdeczny, pomocny i pamiętający. Mimo bardzo dużych wymagań i oczekiwań wobec innych, miał wielu przyjaciół i znajomych. Wiele im pomógł i od wielu zagnał pomocy. Zawsze miał jakiś cel, jakieś plany i przejrzysty sposób ich realizacji. Ułatwiała mu to działalność w coraz bardziej grząskiej rzeczywistości politycznej.

Lothar kochał i był dumny ze swego syna Krystka. Lubił poezję i dobrą literaturę, Beatlesów i Janis Joplin. Chętnie przebywał w towarzystwie mężczyzn i kobiet. Jego witalność pozwoliła mu tak dzielnie znosić postępującą coraz bardziej białaczkę. Do końca swych fizycznych możliwości przyjmował zaproszenia na seminaria w Niemczech, gdzie – jako Niemiec z urodzenia – mając wiarygodność i kredyt zaufania, uczciwie wobec obu stron prezentował polską rację stanu.

Lothar kochał podróże, ale mówił, że jego miejsce jest we Wrocławiu. Z innych miast najbardziej lubił Berlin, gdzie bywał bardzo często i gdzie odwiedzaliśmy razem nocami niezliczone knajpki, puby i restauracje.

Podczas naszego ostatniego spotkania w szpitalu, skąd miał wyjść następnego dnia, cieszył się z autobiografii Reicha-Ranickiego, o którą prosił. Kilka dni później i na dwa dni przed śmiercią w rozmowie telefonicznej, powiedział, że ma kłopoty z chodzeniem i musi wrócić do szpitala. Zamówił żywność bezglutenową.

Na pogrzebie Lothara w dniu 5 maja były tłumy, przyjaciół, znajomych, przedstawiciele władz miasta, Polskiego Radia, środowisk artystycznych, dziennikarskich i Solidarności. Nie było kilku osób, z którymi dobrze się znał. Zacytowano słowa Władysława Frasyniuka, że Lothar Herbst był postacią etosu, dla której nieważne były sprawy partykularnych interesów politycznych, lecz dobro ogółu. Urnę z prochami pochowano na cmentarzu wrocławskim na Grabiszynku. Kompania Wojska Polskiego oddała salwy honorowe.

Andrzej STACH

Eugenia Szabelska (1902-2000)

Eugenia Szabelska, z domu Dziedziul, urodzona w Smolanach na ziemi mohylewskiej. W 1924 r. ukończyła Wydział Prawa i Nauk Społecznych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Pracowała w Sądzie Apelacyjnym. W 1931 r. wyszła za mąż za Konstantego Szabelskiego. Na skutek działań wojennych Szabelscy znaleźli się we Francji. W 1940 r. Eugenia Szabelska była urzędnikiem Rządu RP w Angers. W 1943 r. ukończyła dwuletni kurs doktoratu prawa w Grenoble. W latach 1949-56 pracowała w kancelarii adwokackiej w Paryżu. Była bardzo czynna w wielu organizacjach polonijnych, m.in. była radcą prawnym SPK i Towarzystwa Historyczno-Literackiego przy Bibliotece Polskiej. Po ciężkiej chorobie zmarła w szpitalu w Orleanie. Została pochowana na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Kronika kulturalna

Józefa Czapskiego świadectwo prawdy

Dwunastego stycznia 2000 roku minęło siedem lat od śmierci Józefa Czapskiego. Oczywiście mierząc czas kategoriami historii sztuki – to zaledwie moment. Biorąc jednak pod uwagę tempo zjawiska zwanego obecnie życiem artystycznym, które często zdominowane jest przez reguły życia towarzyskiego, skandale i sensacje, wielkości, o których zapominają wszyscy po kilku dniach – nawet tym siedmiu latom warto przyjrzeć się uważnie.

Czapski przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia doznał się uznania jako malarz i jako pisarz (może lepiej powiedzieć piszący o sztuce i innych interesujących go sprawach). Było to zainteresowanie spowodowane książką Murielle Werner-Gagnebin, intensywną współpracą ze szwajcarskim marszandem Aeschlimannem, wreszcie odkryciem Czapskiego jako niemal prekursora tzw. „Nowych dzikich” czyli ruchu ekspresjonizmu w malarstwie światowym. Dzięki temu obrazy malarza znalazły się w kolekcjach angielskich, niemieckich, szwajcarskich i amerykańskich, zaczęto też uważnie patrzeć na jego twórczość we Francji.

W tym samym czasie spotęgowało się zainteresowanie Czapskim w Polsce, od której był odgradzony brutalnymi decyzjami partyjnej cenzury jako „zoologiczny wróg Związku Radzieckiego” – jak nazwał go jeden z peerelowskich publicystów. Obrazy Czapskiego eksponowano nawet w muzeach, zreżymie ukrywając je w mnogich pokazach kapistów. Niewątpliwie jednak eseje Czapskiego, i te napisane jeszcze przed

wojną i poświęcone Pankiewiczowi, ale i wydane już przez Instytut Literacki w Paryżu, czytane w szmuglowanych przez granice numerach *Kultury* – stawały się intelektualną sensacją polskiego środowiska twórczego. Stał się więc Czapski jedną z legend polskiej emigracji, z wszystkimi dobrymi i nie najlepszymi skutkami tej sytuacji. Ważne było więc na pewno to, że chociaż miało go nie być – był, istniał, czytano go, przepisywano, cytowano, z radością odnajdywano reprodukcje czy obrazy. Z drugiej strony, ta wiedza była niepełna, dotyczyła raczej tego, co Czapski pisał niż jego malarstwa.

Bardziej więc wyobrażano sobie malarstwo Czapskiego i jego ewolucję od lat przedwojennych, a lektury pochłaniane były przez wielu jako zakazane, a więc te, które należy znać jeżeli ma się opozycyjne poglądy. Ta ocena może wydawać się zbyt surowa czy niesprawiedliwa. Jest jednak jak sądzę bliska prawdy. Nie zmienia to oczywiście faktu jakim była, jest i pozostanie twórczość Józefa Czapskiego. Warto jednak pamiętać o tym również dlatego, by twórczość tę oceniać całościowo, a nie pobieżnie, emocjonalnie i na wyrwyki.

Kiedy w 1992 roku wielka wystawa Czapskiego ze zbiorów szwajcarskich stała się wydarzeniem – słyszałem na otwarciu w Krakowie rozmowę dwóch historyków sztuki: „No cóż, Czapski to kawał polskiej historii, Katyń, kapiści, ale mimo to jakoś mało nowoczesny, zawiodłem się...”. Może ktoś powiedzieć: nie przejmujemy się wywodami niedouczonego... tak, ale to właśnie ta szara strona legendy.

Bo przecież cały czas Józio (a pisanie w ten sposób przychodzi mi łatwiej, bo jest pisaniem o wielkim przyjacielu), otóż cały czas Józio był malarzem zmagającym się z obrazami, ze swoją wizją świata, cały czas pokornie poszukującym. Cały czas wiernym raz obranej drodze.

Tak więc siedem lat to dużo. To czas, który spotęgowany intensywnością współczesnego życia, lawiną informacji, wytrąca z równowagi ludzi i każe im ekscytować się codziennością, sprzyja zapomnianiu o rzeczach ważnych.

Zorganizowana przez krakowskie Muzeum Narodowe wystawa „Gry barwne”, podejmująca problematykę Komitetu Paryskiego (1996), wystawa Cybisa i towarzysząca jej sesja naukowa (Zachęta w Warszawie, 1997), wystawa Nachta-Samborskiego w Poznaniu (1999) i Zygmunta Waliszewskie-

go w Warszawie (1999) – świadczą jednak o konsekwentnym i upartym działaniu polskich muzeów narodowych, by zjawisko polskiego koloryzmu zobaczyć ponownie, z uwagą i rzetelnością. Oddali to łatwe uogólnienia i pamiętane sprzed laty schematyczne oceny związane z uczniami Józefa Pankiewicza, którzy postanowili wyjechać na studia do paryskiej filii krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych by zobaczyć jak wygląda „malarzkie malarstwo”.

Był rok 1924. Od tego czasu rozpoczyna się wielka malarska przygoda grupy przyjaciół, którzy najpierw pracowali razem, potem rozpoczęli samodzielną twórczość, by po latach, do późnej starości – a żyli długo – zdecydować o jednym z najbardziej inspirujących nurtów polskiej sztuki.

W marcu 2000 roku Muzeum Narodowe w Gdańsku zorganizowało wystawę obrazów i rysunków Józefa Czapskiego. Ta wystawa, będąc kolejnym, niezwykle ważnym ogniwem poznawania „świata kapistów” – pozwala poznać, a mówię to z pełną odpowiedzialnością – drogi i ścieżki do istoty malarstwa Czapskiego, pozwala zobaczyć tę twórczość poprzez proces twórczy, dzięki prezentacji dzieł w większości zupełnie nieznanymi.

Autor wizji tej wystawy, jej pomysłodawca i uparty twórca – Wojciech Zmorzyński zatytułował pokaz „Widzenie życia”. Sądzę, że ten tytuł pozwala odnajdywać tropy ku obrazom, rysunkom, kartom z dzienników czy listów, pozwala zobaczyć twórczość Czapskiego w całej złożoności, ale równocześnie dostrzec całość tej twórczości i jej klimaty. Pozwala też, dzięki doborowi prac artysty – dotykać i wyczuwać istotę procesu twórczego, tak przecież dramatycznego, tak znakomicie i bez udawania ukazaną w Dziennikach Józia.

Na wystawie pokazano 60 obrazów olejnych i 162 rysunki, akwarele, rysunki podmalowywane, notatki, szkice i gwasze. Są też fragmenty Dzienników wypożyczone ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, Biblioteki Czar-toryskich. Jest wśród tych kolorowych szkiców autoportret Czapskiego z roku 1951. W tle – półki z książkami i kajetami, na pierwszym planie błękitny flakon, brązowe naczynia z pędzlami i wpatrujący się w nas Józio z siwiejącymi włosami otaczającymi różową twarz, szczupłą, bardzo trafnie naryso-waną.

W jednym momencie zobaczyłem go w wąskim pokoju-pracowni na piętrze w Maisons-Laffitte. Nagle szybki, barwny szkic stał się wspomnieniem, ale stał się nim przede wszystkim dlatego, że jest świetnym, wystudiowanym, ale i z błyskawiczną trafnością namalowanym kawałkiem świata, rzeczywistości.

Sądzę, że wartością tej wystawy jest – podobnie jak w przypadku wspomnianego autoportretu – pokazanie czegoś, co było dla Józefa Czapskiego nieustannie nurtującym go problemem. Mam tu na myśli z jednej strony pasjonujące go szybkie szkice i rysunki, notatki z natury, które w założeniu miały być początkiem obrazu, z drugiej – obrazy, które malowane dłużej, na różnych, nieraz dużych formatach – nie spełniały pragnienia artysty, nie dawały tej satysfakcji co szkice. W Dziennikach bardzo dużo o tym właśnie Józio pisze, pisze z goryczą, z żalem, ale równocześnie nie przestaje stawiać sobie zadań jakby był swym własnym, coraz bardziej doświadczonym uczniem.

Sądzę, że ostatnia wielka malarska miłość Czapskiego – de Staël – to właśnie zobaczenie świetnych obrazów malowanych błyskawicznie (Józio lubił to słowo). Ale też chodziło tu nade wszystko o zachowanie pierwszego olśnienia, o zatrzymanie tego zachwyty w dłuższym procesie malowania. Na gdańskiej wystawie wiele jest takich właśnie obrazów, które w moim przekonaniu tę nutę spełnienia zawierają. Paryskie ulice i podwórka, świetna „Wystawa” z sylwetką czerwonej damy przechodzącej koło obrazu, plaża z gapiącym się na morze łysym mężczyzną bez koszuli, grzejący się przy kaloryferze „Człowiek w poczekalni”. To są te obrazy, w których to co marginalne staje się ogólnoludzkie, a to co prowincjonalne – jest już uniwersalne.

Kolejnym zagadnieniem, bardzo ważnym w malarstwie Czapskiego i ukazany dobrze na gdańskiej wystawie, jest swoista metoda komponowania obrazów, przez Czapskiego nazywana też „kadrowaniem”. Fakt, że początkiem prawie wszystkich obrazów Józia były rysunkowe i barwne, z natury robione notatki – dawał im niezwykłą prawdziwość, a niekiedy zbliżał metodę obserwacji i postrzegania do metody fotografa. Łoże teatralne, wnętrza podmiejskich pociągów, kawiarnie czy bary, tunele metra i bramy kamienic – to

motywy, w których kadr stwarza napięcie, ale też potęguje autentyczność, prawdę zobaczonego świata. Ciekawe są porównania tych zabiegów malarza widoczne na rysunkach czy barwnych szkicach i obrazach. Pozwalają – skonfrontowane z zapisem w Dziennikach – poznać i zrozumieć trud malarskiej roboty.

Wreszcie sprawa o tyle ważna, że pozwalająca zobaczyć ewolucję Czapskiego – kapisty z lat trzydziestych i malarza, który przecież pozostał wierny przyjaciołom, ale w istocie oddalił się od manifestów młodości, chociaż i w przedwojennych obrazach („Opera leśna w Sopocie”, „Wnętrze tramwaju”) bywał „inny”. Kapiści odzegnawali się od tego, co nazwali „treścią” w obrazie. Obraz miał być polem „gier barwnych”, miał być ewokacją koloru i formy, jak najdalszy od „opowiadania”, od spraw „pozamalarskich”.

Droga Józefa Czapskiego ku pełnym i dojrzałym dziełom dramatycznej starości – była drogą, na której odszukiwał sens przesłania obrazu. Rzecz więc nie miała polegać na „opowiadaniu”, ale na malowaniu prawdy o sobie, świecie, innych ludziach, o krajobrazie, a nawet o przedmiotach, które w martwej naturze mogą wyrażać radość istnienia, ale i metafizyczne rozważanie o przemijaniu. Takie są obrazy, na których stare kobiety siedzą na ławkach stacji metra St. Lazare, młodzi ludzie przytuleni w czerwonym wnętrzu kawiarni wplatają się w rytm barokowych luster, a w przedziale podmiejskiej kolejki czerwień i błękit reklam kontrastuje z rytmem uchwytów foteli i siwą głową kobiety.

W Gdańsku nie ma szaro-czarnych, ostatnich płócien tracącego wzrok malarza, nie ma internowanych na spacerniku, czy interpretacji „Wyszzymanego Chrystusa” Rouaulta. To były obrazy wieńczące Czapskiego drogę do prawdy i widzenie życia malarza, jednego ze świadków mijającego stulecia.

W miarę upływu lat, w malarstwie tym nie było rzeczy mniej czy bardziej ważnych. Nie można więc przed tymi obrazami mówić o formie, o treści i analizować co jest ważniejsze. Czy ktoś stojąc przed martwą naturą Chardina zastanawia się czy ważniejsze są naczynia metalowe czy ceramiczne i czy są one treścią czy formą w obrazie?

W swym trudzie i goryczy, w dniach jałowych i tych

najlepszych, wtedy kiedy pisał i rozmawiał, czy sięgał po książki stojąc na szarym kocu przykrywającym łóżko, a głową sięgając pod sufit – cały ten czas Józef Czapski był przede wszystkim malarzem. Był obserwatorem świata i ludzi, tego co widzialne i niewidzialne, a dlatego, że z pokorą zamalowywał to, co mu się nie udawało – pozostał malarzem wielkim. Malarzem prawdy o sobie i swoim czasie. Takie było jego widzenie życia wtedy, kiedy mówił współtowarzyszom w Starobielsku o Prouście i wtedy kiedy współtworzył paryską *Kulturę*.

Wystawa w gdańskim muzeum jest więc pięknym i wielkim hołdem złożonym Czapskiemu, hołdem, który urodziła przyjaźń i podziw dla jego sztuki. Trzeba tu wspomnieć, że na otwarciu wystawy obecna była p. Janina Gąskiewicz, która przez wiele, wiele lat opiekowała się „panem Józefkiem” w Lafficie, której energia i pomoc okazywała się ważna w pracy nad wystawą. Pisząc ten tekst wspominam też i swoje przyjazdy do Maisons-Laffitte, długie rozmowy i spacerki, oglądanie obrazów, wyjazdy do Paryża.

Jestem szczęśliwy, że tekst o Józiu piszę właśnie do paryskiej *Kultury*, która była częścią jego życia i jego „widzenia życia”.

Stanisław RODZIŃSKI

Pomoc kulturalna dla Polski – Szwajcaria 1945-1990

Mało znaną, ale też bardziej konkretną pomocą dla kraju była akcja pomocy kulturalnej prowadzona w Genewie przez Zygmunta Kallenbacha pod firmą „Szwajcarskiej Sekcji Polskiej YMCA”. Kallenbach, syn Józefa, prof. literatury polskiej na wielu uniwersytetach, urodzony 1901 r. we Fryburgu,

korzystając z podwójnego obywatelstwa i pracy prokurenta w małym genewskim banku po przybyciu do Szwajcarii w czasie wojny, kierował tą jednoosobową instytucją jako jej prezes i zarazem wiceprezes Polskiej YMCA w Londynie. Poświęcił się tej pracy całkowicie do śmierci 2 listopada 1988, kierując cały wysiłek na kraj. Akcja wyrażała się w wysyłce do Polski, w szczególności do polskich uniwersytetów i dla pracowników naukowych wszelkiego rodzaju książek i przybrała z biegiem lat poważne rozmiary. Ze względów politycznych, Kallenbach musiał zrezygnować w korespondencji z krajem z oficjalnej firmy „Polska YMCA”, pod którą zdobywał fundusze. Mała tabliczka szwajcarskiego fikcyjnego stowarzyszenia „Les Amis du Livre” na drzwiach jego mieszkania zastępowała właściwą nazwę. We wspomnieniach z tej pracy pisał:

„Przez szereg lat polska YMCA prowadziła w Szwajcarii też szeroką akcję stypendialną dla młodych polskich naukowców. Były to krótkie stypendia parutygodniowe, które miały w zasadzie na celu danie możliwości młodym uczynom, piszącym pracę doktorską lub inną, wyjazdu do Genewy dla przestudowania tematu w bibliotekach genewskich i przedyskutowania z odpowiednimi profesorami Uniwersytetu Genewskiego. Chodziło mi o to aby przed postawieniem kropki nad i autor mógł osobiście zetknąć się z nauką zachodnią. Dostawaliśmy na ten cel duże subwencje od wielu instytucji szwajcarskich. Niestety po kilku latach tej znakomitej działalności władze krajowe zaczęły nam stawiać przeszkody, aż wreszcie wręcz okólnikiem Ministerstwa Szkolnictwa zabroniły z korzystania z naszych stypendiów” (Manuskrypt w zbiorach piszącego te słowa).

Na podkreślenie zasługuje również działająca w Genewie Fundacja im. Kościelskich. Powstała 31 października 1961 z zapisu ś.p. Moniki Kościelskiej w celu popierania rozwoju literatury polskiej przez przyznawanie młodym pisarzom nagród literackich. Zarząd Fundacji składa się z osób zasłużonych w pracy naukowej. Pierwszym prezesem był b. ambasador Kajetan Morawski, a od 1964 do 1984 funkcję tę i kierownictwo Fundacji sprawował Zygmunt Kallenbach, później prezes honorowy do śmierci 2 listopada 1988. Rada Fundacji i Jury (w której skład wchodziła m.in. dr Maria Danilewicz Zielińska) przyznała w latach 1962-1984 pisarzom w kraju i na emigracji – głównie w kraju – 80 nagród na ogólną sumę fr. szwajc. 220.000 (cyfry wymienione w broszurze pamiątkowej „25 lat Fundacji im.

Kościelskich”, Genewa 1984). Działalność Fundacji kontynuowana była pod kierownictwem Krzysztofa Górskiego (zmarł w 1993). Fundacja zdobyła sobie poważną pozycję w kraju, mniej była znana i ceniona na emigracji. Kallenbach – jak pisał – starał się, aby nagrody dostawali nie tylko dobrzy pisarze i poeci, ale i dobrzy Polacy. Ruch oporu w Polsce opierał się w dużym stopniu na laureatach Fundacji ze średniego i młodego pokolenia.

Bardziej na emigracji – mniej w kraju – znana była inna instytucja kulturalna w Szwajcarii, funkcjonująca w latach 1963-1973 pod nazwą „Nagroda im. Anny Godlewskiej”. Ufundowana była z corocznych dotacji przez Juliana Godlewskiego dla upamiętnienia zmarłej jego matki i prowadzona z jego ramienia przez Kazimierza Vincenza. Julian Godlewski stronił od polityki, ale zdobył sobie w życiu Polonii szwajcarskiej szczególną pozycję szczerego ofiarodawcy na różne polskie cele społeczne i kulturalne.

Lista 29 laureatów „Nagrody im. Anny Godlewskiej”, opublikowana w pamiątkowej książce wydanej w „Oficynie Stanisława Gliwy”, Londyn 1973, obejmuje niemal wyłącznie nazwiska i instytucje na emigracji.

Janusz RAKOWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Książki

„Imperium Dobra” kontratakuję

„... pokusa totalitarna w masce demona Dobra jest stałą składową ludzkiego umysłu” (J.-F. Revel)

O Revelu – filozofie z wykształcenia, racjonalistcie z temperamentu i publicyście z zawodu – pisywałem w *Kulturze* wielokrotnie. Obok Raymonda Arona przez dziesięciolecie był jednym z nielicznych głosów rozumu wołających na puszczy francuskiego goszyzmu. Po definitywnej kompromitacji Przodującej Doktryny i implozji Związunia sądziłem, że jego ostrzegawczo-analityczne książki typu „Pokusa totalitarna” (1976) czy „Jak umierają demokracje” (1983) spełniły swoją rolę i więcej już takich nie będzie, bo po co. Podobnie myślał sam Revel. W swej najnowszej książce pt. „Wielka parada. Esej o przetrwaniu utopii socjalistycznej”* autor ten pisze: „W 1990 r., wspominając artykuł niejakiego Iwana Frołowa, doradcy Michaiła Gorbaczowa, zacytowałem zeń następującą perłę: ‘Lenin nadal stanowi nieprzemijającą wartość’. Dodałem: ‘Pan Frołow powinien wiedzieć, że tego rodzaju stwierdzenie może dziś na Zachodzie wzbudzić jedynie śmiech’. W roku 2000 nie ośmieliłbym się już tego zdania napisać. Dzisiaj bowiem rehabilitacja marksizmu-leninizmu toczy się pełną parą. Wypełnia książki i artykuły, w których się nam zaleca – co mówię: wręcz nakazuje! – powrót do ‘prawdziwego’ Marksa. Frazesy Frołowa głoszącego ‘przejdźcie do jakościowo nowego etapu, do odnowionego, humanitarne-

* Jean-François Revel, „La grande parade. Essai sur la survie de l’utopie socialiste”. Plon, Paris 2000, 345 p.

go socjalizmu' brzmiały dziesięć lat temu jak żalosne brednie. Obecnie znów rozkwitają pod zachodnimi piórami (...). Gdy przeglądam prasę zachodnią z początków lat 90-tych uderza mnie częstotliwość z jaką wówczas powtarzały się, nawet w gazetach lewicowych, dwa stwierdzenia prezentowane jako niezbywalne prawdy. Po pierwsze, że należy raz na zawsze położyć krzyżyk na komunizmie i wszystkim co się z nim łączy – co było logiczną konkluzją z nieubłaganie pouczającej plajty. Po drugie, że opcja liberalna okazała się jednak, po kłapie marksizmu, alternatywą może nie najlepszą, ale jedyną. I w ekonomii, i w polityce była jedyną jaka istniała i jaka ostała się mimo wszystkich swych niedoskonałości. (...) Pod koniec dekady dokonał się zwrot o 180°: oba te stwierdzenia są obecnie odrzucane. Przynajmniej w teorii, bo praktyka – jako, że trzeba w końcu żyć – często temu przeczy. Komunizm, choć nie jest już praktykowany, coraz rzadziej podlega obecnie krytyce. Liberalizm, choć się go prawie powszechnie potępia, jest stosowany coraz szerzej. W ten sposób inherentna sprzeczność pomiędzy ideałem a rzeczywistością – podstawowa cecha totalitarnego myślenia – znowu się szerzy, chociaż w innej szacie słownej i niejako w próżni, ponieważ 'rzeczywisty' komunizm znikł".

Tematem książki jest ilustrowany przykładami przegląd historii tego zwrotu, czyli odzyskiwania terenu przez „postępową myśl społeczną” (co prawda głównie we Francji, która zawsze stanowiła *un cas special*) po – zdawałoby się – definitywnej kompromitacji. Tytuł „Wielka parada” jest aluzją do dwóch znaczeń francuskiego słowa *parade* (zachowanych też w polskiej pożyczce): (1) „odparowanie ciosu”, np. w szermierce, (2) „paradowanie/defilada”, czyli dumne występowanie publiczne ludzi nie mających sobie nic do wyrzucenia, a wręcz przeciwnie... Ilustracją tego drugiego niuansu jest choćby fakt, że Francuska Partia Komunistyczna, aż do upadku Zw. Socjalistycznego najjadłowiej stalinowska partia na Zachodzie, zamiast przechrzcić się wzorem towarzyszy włoskich, hiszpańskich i innych na „socjaldemokratyczną”, ostentacyjnie zachowała dawną nazwę – i nikogo już to nie razi. Praca Revela śledzi proces ewolucji samousprawiedliwień typu „mieliśmy dobre intencje” stosowanych zaraz po pierwszym szoku i coraz agresywniejszą propagandę antyliberalną, polegającą obecnie

na narzucaniu ogółowi mgliście socjalistycznych czyli „politycznie poprawnych” stereotypów werbalnych i myślowych. Zdaniem autora pierwsza linia obrony polegała na podkreśleniu wyższości moralnej akolitów komunizmu niezależnie od rzeczywistych skutków ich działalności. Przytoczmy tu tylko jeden z przykładów instaurowania tej neo-nowomowy. Już w grudniu 1991 odbyło się w Paryżu – i to nie byle gdzie, bo w gmachach Parlamentu i Sorbony, czyli za poparciem (także finansowym) władz państwowych – wielkie sympozjum poświęcone (pseudo-)refleksji nad upadkiem „socjalizmu realnego”. Wśród obsady figurowała cała francuska elita lewicowa (tu nawiasowa uwaga Revela: „lewicowa inteligencja to spokojne sumienie plus subwencje państwowe”), kilkunastu cudzoziemców niezorientowanych w miejscowym „kto jest *who*”, oraz zero zaproszonych spośród ludzi, którzy już od dawna mieli zastrzeżenia co do perspektyw Świetlanej Przyszłości. Jaki był tytuł obrad? „Można by przypuszczać” – pisze Revel – „że będzie to np. 'Lewica: intencje i złudzenia', lub 'Lewica: naiwność czy współwina?', albo też bardziej jasno: 'Lewica i totalitaryzm'. Nie. Za wszelką cenę należało uniknąć sugestii, jakoby coś było nie w porządku z bystrością intelektu czy sumieniem [lewicy]. Lewica nigdy się nie myli (...). Jej twórczość intelektualna i powołanie odkupicielskie niezmiennie tryumfują. To właśnie należało podkreślić we wstępnym sympozjum. I to też uczyniono. Tytuł kolokwium całkowicie i ze słodyczą zaspokajał potrzebę samouniewinnienia: na czele programu figurowało sformułowanie 'Metamorfozy samozaangażowania'".

Drugą fazę tego „zaangażowania” stanowi nieomal powszechny już odruch niechęci wobec słowa 'liberalizm' – przy czym w charakterystyczny sposób zaciera się tu rozróżnienie na liberalizm polityczny i ekonomiczny – i typowe dla klasycznego *newspeak* u odwrócenie terminologii, por. np. takie sformułowania jak „Dyktatura liberalna” (tytuł książki J.-Chr. Rufin, 1994) czy „kapitalizm totalitarny” (w przemówieniu Ph. Séguin [czołowego gaullisty] w grudniu 1997 w Brukseli). W tym klimacie intelektualnym nie dziwi też już nikogo, że niezwykle sprawnie organizowane demonstracje goszystowskie (Revel mówi wręcz o „partyzantce miejskiej”) przeciw międzynarodowej konferencji ekonomicznej w Seattle

w ub. roku i w Genewie w roku obecnym (*nota bene* całkiem w stylu dawnych rozrób pacyfistycznych i anty-NATO-wskich) były w całej niemal prasie przedstawiane ze „rozumieniem” i sympatią dla zamaskowanych bojówkarzy uzbrojonych w żelazne drągi.

Przedmiotem „szczególnej troski” są – niezbyt liczne, dodajmy – prace na temat przeszłości reżymów komunistycznych i roli zachodniej lewicy w ich legitymizacji. Nawet łagodna krytyka tej roli w oględnej i stonowanej książce F. Fureta pt. „Dzieje pewnej iluzji” („Le Passé d'une illusion”, 1995) wywołała duże wzburzenie w prasie nie tylko postkomunistycznej, ale i „odpowiedzialnie” lewicowej (jak np. *Le Monde*), a prawdziwą furję rozpętała publikacja „Czarnej księgi komunizmu” (1997) – udokumentowanego świadectwa zbrodni komunistycznych, opracowanego przez grupę historyków pod redakcją Stéphane’a Courtois. Największym kamieniem obraży było jasne (wreszcie!) stwierdzenie jej autorów, że zbrodniczość komunizmu jakościowo w niczym nie ustępowała (a ściślej: „-uje”, bo system trwa nadal w Chinach, Wietnamie, Korei Pn. i na Kubie) działalności nazistów, a liczebnie wielokrotnie ją przewyższyła (co najmniej 80 mln. ofiar śmiertelnych). Do zwalczania tej książki użyto wszystkich klasycznych środków retorycznych: od zwykłych obelg aż po słynny argument „wody na młyn” (por. np. wypowiedź J.-M. Colombariego, dyrektora *Le Monde*: „[‘Księga’ ta] dostarcza alibi wszystkim tym, którzy chcą dowieść, że jedne zbrodnie warte są drugich i tym samym obalić bariery, chroniące nas przed uprawomocnieniem skrajnej prawicy”). Co więcej – „poprawne” władze CNRS użyły wobec dwóch swoich pracowników będących współautorami „Księgi” tzw. nacisku administracyjnego (czyli szantażu), zmuszając ich do „odcięcia się” od tej publikacji. Jak śpiewał Stefan w „Staszym Dworze”: „O Boże mój, melodia ta, o jakież chwile przypomina...”.

Byłoby oczywiście przesadą czy też objawem paranoi wnioskować, że cała ta „parada” jest sterowana przez jakieś zorganizowane ciemne siły za kulisami, toteż Revel zastanawia się nad mechanizmami psychologicznymi, które kierują podświadomymi sympatiami i antypatiami ideologicznymi dużych grup ludzkich i powodują, że układają się one w określony wzór – w danym wypadku irracjonalnego neogosyzmu.

Pomijając „bezpośrednio zainteresowanych” czyli osoby, które w przeszłości współdziałały z komunizmem i nie zamierzają obecnie przyznać, że działały głupio lub w złej wierze, istnieją też liczne warstwy ludzi zaniepokojonych ryzykiem i zwiększoną odpowiedzialnością indywidualną za własny los, jakie niesie ze sobą liberalizm – i tym samym odruchowo lgnących do ideologii mniej lub bardziej kolektywistycznych. Autor „Wielkiej parady” uważa, że głównym reprezentantem takiej ideologii jest obecnie socjalizm niekomunistyczny, który wprawdzie ze względów pragmatycznych („trzeba w końcu żyć”) jest dość rozwodniony w sferze ekonomicznej, ale w teorii musi trzymać się *quasi*-komunistycznych, ludzkość-kochających haseł. Stąd też niezamierzony, ale nieunikniony sojusz ideologiczny z dawnymi „towarzyszami z lewicy”, którzy swoją retorykę propagandową czerpali z tych samych źródeł. I stąd niechęć do wyciągania zbyt radykalnych wniosków ze „światlanej przeszłości”, włącznie z wnioskiem naczelnym, a mianowicie, że wszelka ideologia czyli zaplanowane z góry ręczne sterowanie społeczeństwem kończy się tak, jak to widzieliśmy, ale o czym rzekomo lepiej za dużo nie mówić.

Książka Revela jest użyteczna z wielu względów. Po pierwsze świadczy o tym, że istnieją nadal trzeźwi obserwatorzy tego, co dzieje się na europejskiej scenie światopoglądowej i przypomina, że ideologiczne urabianie opinii publicznej za pomocą „dymów i luster” bynajmniej nie skończyło się wraz z Przodującym Ustrojem. Po drugie, wyjaśnia w logiczny a przystępny sposób tak dziwne na pozór zjawiska jak np. to, że „sprawa Pinocheta” do dziś nie schodzi ze szpalt gazet, a o pułkowniku Mengistu – bezpośrednim sprawcy śmierci setek tysięcy Abisyńczyków (w tym planowo mordowanych dzieci), a obecnie spokojnym azylancie u boku prezydenta Mugabe – w ogóle już zapomniano. Po trzecie, zawiera spory wykaz konkretnych adresów, które należy nawiedzać, hm, ostrożnie; dzięki niej np. zrozumiiałem, dlaczego dobór i naświetlenie pewnych tematów we francusko-niemieckiej TV „Arte” wydawały mi się, hm, dziwne. A po czwarte i w ogóle jest napisana świetnie: rzeczowo, choć z pasją i zaangażowaniem bez cudzysłowu.

Zachęcający początek roku

Już dawno nie było na rynku księgarskim takiej obfitości książek poświęconych tematyce ukraińskiej i etnicznej, co pod koniec i na początku bieżącego roku.

Niewątpliwie jedną z najważniejszych pozycji końca ubiegłego roku jest praca młodego historyka z Instytutu Studiów Politycznych PAN Grzegorza Motyki pod tytułem „Tak było w Bieszczadach”. Tytuł chwytliwy, bo kojarzący się tzw. przeciętnemu czytelnikowi z osławionymi „Łunami w Bieszczadach” Jana Gerharda, jest jednocześnie mylący, bo Motyka zajmuje się konfliktem polsko-ukraińskim na terenie obecnej Polski, od Włodawy po Łemkowszczyznę, a nie tylko na terenie Bieszczad. Po drugie, praca Motyki w istocie obnaża mity na temat tego konfliktu tworzone pieczołowicie przez PRL-owską propagandę, w której Gerhardowskie „Łuny w Bieszczadach” zajmowały poczesne miejsce. Główne tezy Motyki można by streścić w następujący sposób: walki polsko-ukraińskie na terenie obecnej Polski, w przeciwieństwie do Wołynia, były walkami dwóch mniej więcej równoważnych stron, w pewnym momencie ukształtował się nawet regularny front polsko-ukraiński. W ich wyniku zginęło ok. dwunastu tysięcy Ukraińców i dziesięć tysięcy Polaków. Motyka jest zwolennikiem tezy, iż konflikt pomiędzy Polakami a Ukraińcami został zapoczątkowany przez tych ostatnich na terenie sąsiedniego Wołynia, skąd przeniósł się na tereny obecnej Polski. Według Motyki, czemu dał wyraz również w swoich publikacjach w *Karcie*, istnieją przesłanki, by twierdzić, że krwawe walki polsko-ukraińskie zapoczątkował, do dziś nieodnaleziony, rozkaz dowództwa Ukraińskiej Powstańczej Armii. Na koniec Motyka nie zgadza się z koncepcją, że akcja „Wisła”, wysiedlenie Ukraińców z Polski południowo-wschodniej, było jedynym sposobem likwidacji Ukraińskiej Powstańczej Armii, a co za tym idzie zakończenia walk polsko-ukraińskich. Według niego partyzantkę ukraińską można było zlikwidować na przełomie 1946/47 roku, tyle

tylko, że wówczas polscy komuniści bardziej byli zajęci fałszowaniem wyborów. Oczywiście praca Grzegorza Motyki nie wyczerpuje tematu walk polsko-ukraińskich na terenie obecnej Polski, niemniej z całą pewnością jest bardzo poważnym krokiem na drodze do poznania prawdy o tamtym dramacie. Praca Motyki została już przez profesjonalistów dostrzeżona i doceniona, czego wyrazem było przyznanie mu prestiżowej nagrody *Przeglądu Wschodniego*.

Wcześniejszym, ale bardzo ważnym dla stosunków polsko-ukraińskich, okresem historii zajął się krakowski historyk Jan Jacek Bruski w książce „Petlurowcy. Centrum Państwowe Ukraińskiej Republiki Ludowej na wychodźstwie w latach (1919-1924)”. Pomimo, że dość często w ostatnich latach, w różnych przyczynkach pojawiał się temat Ukraińskiej Republiki Ludowej, szczególnie zaś sojuszu Piłsudski-Petlura (ten wątek wyjątkowo często był wykorzystywany przez polityków), książka Bruskiego jest pierwszą monografią na ten temat w języku polskim. I nie ma swojej analogii w języku ukraińskim. Choć punkt ciężkości Bruski kładzie na losy Centrum Państwowego URL na emigracji, głównie w Polsce, to jest w jego pracy obszernie omówienie sytuacji politycznej na Ukrainie Naddnieprzańskiej w przededniu wojny i rewolucji, genezy i kulisów politycznych sojuszu Piłsudski-Petlura. Zupełnie pionierski jest kompleksowy opis życia i działalności emigracji petlurowskiej w II Rzeczypospolitej (do tej pory obszerniej były opracowywane: tematyka obozów dla internowanych Ukraińców i kwestia cmentarzy petlurowców i Instytutu Ukraińskiego w Warszawie). Na pochwałę zasługuje również drobiazgowo przygotowany aneks zawierający skład kolejnych ukraińskich gabinetów w latach 1917-1926. Niezależnie od tego, czy autor i wydawcy mieli taką intencję, książka Bruskiego, siłą rzeczy, może być uznana za początek obchodów osiemdziesięciolecia układu Piłsudski-Petlura. Tyle tylko, że nie wiadomo, czy obchody takowe w ogóle się odbędą, natomiast książkę można nabyć w każdej dobrej księgarni.

Lubelski Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, kierowany przez prof. Jerzego Kłoczowskiego, wydał książkę, która, w moim przekonaniu, winna się znaleźć w każdej ukraińskojęzycznej bibliotece. Chodzi o „Historię Ukrainy 1772-1999.

Narodziny nowoczesnego narodu” lwowskiego historyka Jarosława Hrycaka. To nieco zmieniona, pod kątem polskiego czytelnika, wersja jego pracy, która ukazała się cztery lata temu w Kijowie pt. „Narys istorji Ukrainy. Formuwanjia modernoji ukrajinskoji nacji XIX-XX stolittja”. W centrum zainteresowania Hrycaka jest, jak głosi podtytuł, proces formowania się nowoczesnego narodu ukraińskiego. Za słupy graniczne w tym procesie lwowski badacz uważa odrodzenie narodowe z połowy XIX wieku; I wojnę światową i rewolucję, w wyniku których doszło do powstania ukraińskich organizmów państwowych; politykę ukrainizacji prowadzoną w latach dwudziestych na Ukrainie sowieckiej, która zaowocowała sformułowaniem się w pełni nowoczesnego narodu, i choć głód i terror lat trzydziestych zepchnął Ukraińców na powrót na poziom wspólnoty etnicznej, to ukraiński renesans z lat dwudziestych stał się punktem odniesienia dla następnych pokoleń ukraińskich działaczy narodowych; II wojna światowa, która na długie lata przypieczętowała klęskę ukraińskiej tradycji demokratycznej; w końcu budowanie własnej państwowości na gruzach Związku Sowieckiego. Wedle Hrycaka jednym z głównych mankamentów ukraińskiego ruchu był nie tylko niedostatek elit ale brak czy niedostateczne współdziałanie elit i ich zaplecza, głównie chłopskiego. Przypadkiem ekstremalnym była polityka działaczy Centralnej Rady, którzy, z pobudek ideologicznych, demonstrowali głęboką niechęć do pozyskiwania dla ruchu ukraińskiego miejscowych klas średnich i wyższych. Na marginesie, jednym z prognostyków, który dobrze wróży trwałości obecnego państwa ukraińskiego, jest fakt, że w latach dziewięćdziesiątych ukraińscy narodowcy nie popełnili błędów swoich poprzedników z Centralnej Rady i przyciągnęli pod ukraińskie sztandary dużą część miejscowej postsowieckiej elity partyjnej, rządowej i gospodarczej. Praca Hrycaka jest w wielu miejscach polemiką z tradycyjną, szczególnie nacjonalistyczną, historiografią ukraińską. Szczególną niechęć wśród historyków tego nurtu wywołała na Ukrainie krytyczna ocena ideologii i działalności Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Jarosław Hrycak obarcza ukraińskich nacjonalistów częścią winy za odejście społeczeństwa ukraińskiego od tradycji demokratycznej. Przy czym lojalnie trzeba tu dodać, że

według lwowskiego historyka, część odpowiedzialności za porażkę wartości demokratycznych w oczach tego społeczeństwa ponoszą, prowadzące momentami obłądną politykę wobec mniejszości narodowych, polskie władze. W tym wypadku Hrycak jest spadkobiercą Iwana Łysiaka Rudnickiego, który komentując polską politykę wobec Ukraińców w II Rzeczypospolitej napisał: „To gorzej niż zbrodnia – to głupota”. Hrycak też poświęca najwięcej miejsca, z autorów, którzy z ukraińskiej strony zajmowali się polsko-ukraińskimi relacjami, konfliktowi polsko-ukraińskiemu z lat czterdziestych i dramatowi polskiej ludności na Wołyniu, Podolu i Galicji. Ten konflikt przez całe dziesięciolecia był tematem tabu w sowieckiej historiografii, na emigracji zaś wokół niego panowała swoista zmowa milczenia. Hrycak nie formułuje ostatecznych sądów, bo jest to niemożliwe (badania nad konfliktem z lat czterdziestych na Ukrainie są dopiero w powijakach; w Polsce jest trochę lepiej, ale i tu najlepiej przebadany jest konflikt na terenie Polski w powojennych granicach), niemniej bardzo lojalnie referuje stan badań nad tą problematyką. Wydaje się też przychylić do tezy, przywoływanego wyżej Motyki, iż skala, konsekwencja i systematyczność antypolskiego terroru na Wołyniu pozwalają przypuszczać, iż poprzedzał go rozkaz gremiów kierowniczych UPA.

Książka Hrycaka to nowoczesny podręcznik historii Ukrainy dwóch ostatnich stuleci i choć nie było to z pewnością jego celem, jest też dobrą płaszczyzną do dialogu ukraińskich historyków. Dla szerszego grona odbiorców może być interesująca, ponieważ dzięki niej po raz pierwszy polski czytelnik może spojrzeć na ukraińską historię oczami ukraińskiego historyka (tak, tak, to pierwsze tłumaczenie tego typu pracy na język polski). Do tego profesjonalisty najwyższej próby (na marginesie – książka Hrycaka oparta jest nie tylko na bogatej bibliografii ukraińskiej, ale także polskiej, angielskiej i rosyjskiej) i co nie bez znaczenia, pozbawionego kompleksów i narodowych resentymentów.

Początek tego roku przyniósł też interesującą książkę białostockiego historyka Eugeniusza Mironowicza „Polityka narodowościowa PRL”. W ostatniej dekadzie ukazało się bardzo dużo książek poświęconych problematyce mniejszości narodowych w Polsce, szczególnie Żydom, Ukraińcom, Niemcom,

Białorusinom, niemniej ciągle nie ma całościowego opracowania poświęconego problematyce etnicznej w powojennej Polsce i polityce narodowościowej komunistów. Praca Mironowicza jest ważnym krokiem na drodze do wypełnienia tej luki. Główne tezy „Polityki narodowościowej PRL” dałyby się streścić następująco: polscy komuniści przez całe powojenne dziesięciolecie (z wyjątkiem lat 1955-1958) traktowali fakt, że według nich, Polska po 1945 roku stała się krajem bez mniejszości narodowych, jako swój atut. W tym wypadku mogli liczyć na spore poparcie społeczne. Złożyło się na to kilka czynników, między innymi endeckie resentymenty w części polskiego społeczeństwa, złe doświadczenia wojenne z mniejszościami narodowymi oraz fakt, że władze traktując mniejszości instrumentalnie, animowały i pobudzały antymniejszościowe nastroje w polskim społeczeństwie (najbardziej spektakularny jest przykład antysemskiej nagonki z 1968, znacznie mniej znany jest np. fakt, że to decyzją Biura Politycznego rozpoczęto w 1947 roku olbrzymią kampanię propagandową, w której oskarżano UPA o wszystkie możliwe zbrodnie, w tym również o mordowanie ludności cywilnej powstańczej Warszawy). Mniejszości narodowe były w Polsce Ludowej obiektem asymilacyjnej polityki władz. Wprawdzie z krótkimi wyjątkami (np. Ukraińcy po akcji „Wisła”) władze pozwalały na pewną samoorganizację społeczności mniejszościowych, niemniej wydaje się, że chodziło nie tyle o zaspokojenie elementarnych potrzeb narodowych tych społeczności, a o najbardziej pełną kontrolę nad życiem mniejszości narodowych. Stąd w centrum zainteresowania partyjnych czynników było obsadzanie narodowościowych towarzystw społeczno-kulturalnych „swoimi” ludźmi (najczęściej funkcjonariuszami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) lub działaczami w pełni dyspozycyjnymi wobec władz (na marginesie, najdłużej bronili się przed ubezwłasnowolnieniem swojego towarzystwa Litwini). Naczelną rolą, jaką władze wyznaczyły organizacjom narodowościowym, było ubieranie w narodowe formy obowiązującej polityki socjalistycznego państwa. Jeden z rozdziałów pracy Mironowicza nosi nawet ironiczny tytuł: „Co mniejszości mogą czynić ku chwale partii?”. Nie zmienia to faktu, że co jakiś czas, sytuacja wymykała się władzom spod kontroli, co w ekstremalnych wypadkach doprowadzało

do wyrzucania niepokornych działaczy z towarzystw mniejszościowych. Niezależnie też od zamysłów władz, towarzystwa społeczno-kulturalne odegrały rolę nie do przecenienia w zachowaniu tożsamości narodowej społeczności mniejszościowych. Niemniej, asymilacyjna polityka władz przyniosła również swoje efekty: nie tylko w postaci szybkiej polonizacji, ale również w postaci dramatycznego obniżenia się jakości narodowego życia społeczności mniejszościowych, które przed zmianami z 1980 roku zostało niemal całkowicie sprawadzone do folkloru.

Wątpliwości budzi periodyzacja polityki narodowościowej PRL, którą przyjął białostocki historyk, szczególnie zaś wyodrębnienie okresu 1944-47 jako tego, w którym obowiązującą wytyczną polityki rządzących komunistów było hasło „Polska jako państwo jednolite etnicznie”. Z książki samego Mironowicza wynika natomiast, że w okresie tym o żadnej spójnej polityce nie można mówić. Zdecydowanym represjom zostali poddani Ukraińcy (odrębną kwestią są Niemcy, którzy nie byli uznani za polskich obywateli i którzy na mocy międzynarodowych uzgodnień mieli w całości zostać wysiedleni), natomiast w sposób stosunkowo nieskrępowany rozwijało się życie organizacyjne mniejszości żydowskiej, poza zainteresowaniem władz pozostawali Litwini, zaś w przypadku Słowaków władze centralne dokładały starań, by ich potrzeby narodowe były zaspokajane wbrew zresztą nastawieniom miejscowych Polaków (nie było w tym bynajmniej altruizmu, chodziło po prostu o zapewnienie jak najszerzych praw Polakom na Zaolziu). Podobnie pewne wątpliwości budzi wyodrębnienie w popaździernikowej rzeczywistości dwóch etapów w polityce narodowościowej – jeden obejmujący lata 1959-1966 i drugi 1967-1976 – w sytuacji, kiedy główne trendy w polityce wobec mniejszości narodowych w owym czasie nie zmieniły się. Pewien niedosyt budzi też dość zdawkowe potraktowanie w pracy Mironowicza mniejszości słowackiej i litewskiej, które stanowią tło dla lepiej opisanych Białorusinów i Ukraińców.

Książka Mironowicza nie daje też pełnej odpowiedzi jak w polityce narodowościowej wyglądały relacje między polityką czynników partyjnych i administracyjnych, a działaniami Służby Bezpieczeństwa. Innymi słowy mówiąc, kto był

rzeczywistym kreatorem tej polityki w konkretnym fragmencie historii PRL. Po lekturze „Polityki narodowościowej PRL” pozostaje pewien niedosyt, niemniej tylko częściowo niedosyt ten może obciążać autora. Książka Mironowicza jest opracowaniem pionierskim, a jako takie raczej zarysowuje przestrzeń badawczą niż stawia wszystkie kropki nad „i”. Mironowicz przetań szlak, którym, miejmy nadzieję, pójdą następni badacze problematyki etnicznej w powojennej Polsce.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Grzegorz Motyka, „Tak było w Bieszczadach”, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1999;

Jan Jacek Bruski, „Petlurowcy. Centrum Państwowe Ukrainiejskiej Republiki Ludowej na wychodźstwie (1919-1924)”, ARCANA, Kraków 2000;

Jarosław Hrycak, „Historia Ukrainy 1772-1999. Narodziny nowoczesnego narodu”, Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 2000;

Eugeniusz Mironowicz, „Polityka narodowościowa PRL”, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 2000.

Listy odśrodkowe

Korespondencji Jerzego Stempowskiego specjalnie chwalać nie trzeba. Od czasu publikacji jego listów do Krystyny Marek (1974) wiadomo, że jest to kopalnia informacji, spostrzeżeń, erudycyjnych uwag, a także poezji, która kryje się w stylu tych tekstów, w ich specyficznym, czasem lekko ironicznym tonie. Potwierdzenie tej opinii przyniosła publikacja listów, wymienionych z Bolesławem Micińskim (1995), a zwłaszcza dwutomowe wydanie korespondencji z Jerzym Giedroyciem (1998). Niestrudzonym zbieraczem listów Stempowskiego i kompetentnym ich edytorem jest od lat Jerzy Timoszewicz. *Zeszyty Literackie* jako jeden ze swych celów stawiają systematyczne ogłaszanie co ważniejszych listów autora „Esejów dla Kassandry”.

Opublikowany obecnie tom zawiera w dużej części listy do osób, które były związane z *Kulturą*, bądź przyjaźnią i miejscem zamieszkania, bądź jako autorzy. Mam tu na myśli rodzeństwo Czapskich, Miłosza, Józefa Wittlina. Pozostali adresaci to rodzice Stempowskiego (tu na szczególną uwagę zasługuje list do matki z roku 1924, jedyny przedwojenny tekst w tomie, z kapitalnym barokowym opisem składania Piłsudskiemu w Sulejówku życzeń imieninowych), Jan Kott i Wiktor Weintraub.

Listy Stempowskiego dzięki swej różnorodności mogą być z pożytkiem czytane przez czytelników o różnych zainteresowaniach, upodobaniach czy poglądach politycznych. Kto wie, może w tym właśnie tkwi ich największa wartość. W decentralizacji, odśrodkowości. Siedząc w samym środku Europy, w oku cyklonu, Stempowski z niezmaconym spokojem (choć nie beznamietnie) rozprawia na wszelkie możliwe tematy – historyczne, polityczne, literackie, artystyczne, medyczne, kulinarne, obyczajowe. Dla mnie osobiście jego listy są przede wszystkim punktem wyjścia – czasem zaledwie punktem zaczepienia – do dalszego szperania, do dalszych lektur i poszukiwań.

W niniejszym tomie takim smakowitym kąsem jest opisana w listach do Czesława Miłosza sprawa szesnastowiecznego dystychu Janusa Vitalisa o Tybrze – utworu, z którym Stempowski zetknął się w Karpatach w pierwszą zimę drugiej wojny (pisał o nim w jednym ze swych najbardziej znanych esejów, „Księgozbiórze przemytników”). Czytając zwięzłe słowa o rzece płynącej wśród ruin (w jego własnym przekładzie: „Dowiedz się więc, co może fortuna: nieruchomości upadają, rzeczy zaś mające być wiecznie płynne, zostają”) Stempowski myślał wówczas proroczo, że po zniszczeniu Warszawy pozostanie chociaż Wisła. Po wojnie, w Szwajcarii, nie poniechał tego tropu. Pyszny jest opis wyprawy Stempowskiego do Bazylei w celu odszukania w tamtejszej bibliotece druków zapomnianego włoskiego epigramatysty. Miłosz zwrócił mu uwagę, że przekład epigramatu Vitalisa zawarł Sęp Szarzyński w zakończeniu „Epitafium Rzymowi”. Ale przecież nie na tym koniec. Wątek powraca w wierszu Słowackiego „Rzym”, w słowach „Rzymie! Nie jesteś ty już dawnym Rzymem” i w przeciwstawieniu obrazu gromady okrętów, pędzonych „nad falami” porannym wiatrem – wizji Rzymu „co już się wali”.

Tu jednak daliśmy się porwać sile odśrodkowej tych

listów. Sam Stempowski odchodzi w innym kierunku. Dalszy ciąg jego listu do Miłosza jest klasycznym przypadkiem erudycyjnych meandrów epistolografii autora „Od Berdyczowa do Rzymu”: „Mamy więcej przykładów zniknięcia z pamięci sławnych niegdyś autorów. ‘Arkadia’ Sannazzara dała swą nazwę niezliczonym miejscowościom dotąd tak nazywanym. Aż do XIX w. komparsi w utworach dramatycznych nosili imię Erast i określenie „rouge amarante” używane jest dotąd. Otóż Erast i Amaranta są bohaterami ‘Arkadii’. Nawiasem mówiąc Amaranta, po grecku – nie więdnąca, jest jednym z najpiękniejszych imion kobiecych. Od stu lat ‘Jean Sbogar’ nie był czytany, ale kiedyś był tak popularny, że mój dziadek miał wyżła Sbogara. Ostatnio powieść ta ukazała się w ‘Livres de poche’. Ciekawe, jakie będą jej losy.”

Ten list został napisany w roku 1966. Rzeczywiście, wkrótce nastąpił w Europie Zachodniej renesans romantycznej literatury fantastycznej i wampirologii, w którym opowieść Nodiera miała swój istotny udział. Ale co do genezy imienia wyżła sprawa jest, jak się wydaje, jeszcze bardziej skomplikowana. Otóż „Jean Sbogar”, francuska opowieść o korzeniach illiryskich, a więc słowiańskich, cieszyła się szczególnie popularnością w Rosji. Lermontow w liście do Wiazemskiego skarży się, że za jej wypożyczenie zapłacił z góry dziesięć rubli i wciąż nie może się książki doprosić. Puszkina w „Onieginie” wśród bohaterów najmłodniejszych książek wymienia, obok Melmotha, Żyda Wiecznego Tułacza i Korsarza, właśnie „tajemniczego Sbogara”. A w jednej z „Opowieści Biełkina” tegoż Puszkina, Liza, szlachcianka przebrana za wieśniaczkę, rozpoznaje Aleksego, który próbuje udawać własnego lokaja, po tym, że do psa myśliwskiego woła po francusku. Otóż ten pies miał na imię Sbogar. Tutaj, jak sądzę, a nie bezpośrednio w opowieści Nodiera, szukać trzeba genezy imienia wyżła, należącego do dziadka Stempowskiego.

„Listy” są wydane ze smakiem. Okładkę zdobi reprodukcja fragmentu apokaliptycznej ryciny Hogartha, która bodajże od Bożego Narodzenia roku 1946 wisiała nad łóżkiem Stempowskiego, umacniając go jeszcze we wrodzonej, jak się zdaje, skłonności do melancholii (opis tej ryciny znajduje się w pierwszym z opublikowanych w omawianej książce listów do Czapskiego, z taką oto solenną deklaracją:

„Gdyby mój dom zaczął się palić, wyniosłbym zeń nasamprzód ten sztych, mimo że jego miejsce w historii sztuki jest mi wiadome i jasne. Po prostu siła wypadków ostatnich lat zbliżyła mnie tak do tego sztychu, że stał się moim dobrym znajomym i przyjacielem”). Przedmowy i posłowie odznaczają się chwalebłą zwięzłością. Głos ma główny tej książki autor i zarazem bohater.

Na koniec dwie uwagi krytyczne. Tytuł – „Listy” – jest trochę na wyrost. Wybrane do tej książki z gigantycznej spuścizny epistolarnej Stempowskiego listy, bez wątpienia ważne same w sobie i ze względu na adresatów, nie są jednak siłą rzeczy dla tej spuścizny reprezentatywne – za mało ich, do zbyt wąskiego kręgu odbiorców były pisane, pochodzą w większości z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Sami wydawcy (słowami Wojciecha Karpińskiego) sygnalizują dalsze edycje korespondencji Stempowskiego. Owszem, niniejsze listy zostały starannie dobrane, wyselekcjonowane; dlatego może odpowiedniejszą byłby tytuł „Listy wybrane”. Albo: „Listy najcenniejsze”.

Także przypisy pozostawiają niekiedy sporo do życzenia. Szczególnie po macoszemu potraktowane zostały realia (ludzie i fakty) szwajcarskie. A przecież autor „Ziemi berneńskiej” spędził w Muri i Bernie bez mała trzydzieści lat, tu powstała większość jego esejów i większość listów. Ale to może materiał na osobną publikację. Warto kiedyś bliżej pokazać, jak ten samotnik, pisarsko funkcjonujący przede wszystkim jako polski eseista, wrósł w krajobraz berneński, który tak wnikliwie umiał odczytywać, jak zakorzenił się w pejzażu kulturalnym Szwajcarii. Świadkowie tego wrastania powoli odchodzą, ale pozostały dokumenty i pozostały miejsca. „Listy” wydane przez *Zeszyty Literackie* zawierają do takiej publikacji wiele ważnych punktów zaczepienia.

Jan ZIELIŃSKI

Jerzy Stempowski, „Listy. Listy do różnych adresatów: do Marii i Józefa Czapskich, Jana Kotta, Czesława Miłosza, Marii i Stanisława Stempowskich, Wiktora Weintrauba, Józefa Wittlina”. Słowo wstępne: Jan Kott, Wojciech Karpiński. Postłowie: Andrzej Stanisław Kowalczyk. Wybór i redakcja: Barbara Toruńczyk. Warszawa 2000, „Zeszyty Literackie”. Książkę można zamawiać u wydawcy, tel./fax (4822) 8263822, <http://zls.mimuw.edu.pl>.

Nadane nowe wydawnicze

- MONTABLÁN (Manuel Vázquez). *Ptaki Bangkoku*. Przetł. Maciej Zięta. Str. 295. Noir sur Blanc, Szwajcaria 2000.
- MORKA (Mieczysław). *Kolekcja im. Jana Pawła II. Kompromitacja Kościoła i państwa*. Str. 578. Agencja Wydawnicza II Libro, Warszawa 1999.
- MROŻEK (Sławomir). *Utwory sceniczne. Wielebni. Piękny widok*. Str. 338. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- MUSIAŁ (Grzegorz). *Dziennik z Iowa*. Str. 236. OPEN, Warszawa 2000.
- MYCIELSKI (Zygmunt). *Dziennik 1950-1959*. Str. 492. Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 1999.
- MYCIELSKI (Zygmunt). *Szkice i wspomnienia*. Str. 272. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- NASIUKIEWICZ (Krystyna). *My za oceanem. Smak Ameryki*. Str. 243. Polish Cultural Foundation, Inc., Buffalo, New York – Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 1999.
- OKSIUTA (Krzysztof), PICHÓR (Tomasz). *Czas konserwatystów*. Str. 118. Elbląska Oficyna Wydawnicza, Elbląg 2000.
- OKUDŻAWA (Bulat). *Przejezdny muzyk*. Piosenki i wiersze w przekładzie Wacława Kalety. Str. 94. Biblioteka „Fraza” 1999
- OSTROWSKI (Eryk). *Słońce*. Postowie Beata Szymańska. Str. 39. Wydawnictwo Baran i Szczyński, Kraków 1999.
- PAWLIKANIEC (Jan). *Nie gubić diamentów (felietony i inne – wybór tekstów)*. Str. 237. Oficyna Wydawnicza „Obrzeża”, Zgorzelec 1999.
- PESZKOWSKI (Zdzisław J.). ks. *Krzak gorejący*. Antologia polskiej poezji religijnej (od Bogurodzicy po współczesność). Na powitanie Nowego Tysiąclecia. Uzupełnienia Magdalena Koperska. Str. 353. Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, Warszawa 1999/2000.
- PETRY-MROCZKOWSKA (Joanna). *Amerykańska wojna kultur*. Str. 204. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- PILINSZKY (János). *Apokryf*. Wybrał, przetł. oraz wstępem opatrzył Jerzy Snopek. Str. 147. Pogranicze, Sejny 1999.
- Polonica zagraniczne*. Bibliografia. 1993. Str. 435. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1999.
- Polska polityka językowa na przełomie tysiącleci*. Po redakcją Jana Mazura. Str. 188. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999.
- Pozostawione historii*. Litwini o Polsce i Polakach. Pod redakcją Katarzyny Korzeniewskiej, Vladasa Sirutaviciusa. Przekład Katarzyna Korzeniewska. Str. 180. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1999.
- PRZEBINDA (Grzegorz). *Zaułki Mistrza Wolanda*. Str. 238. Oficyna Literacka, Kraków 2000.
- PUCHALSKA-HIBNER (Bożena). *Życie niepokorne*. Str. 163. Towarzystwo Wydawnicze i

- Literackie, Warszawa 2000.
- REMBEK (Stanisław). *Dziennik okupacyjny*. Z przedmową Marka Nowakowskiego. Str. 335. Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa 2000.
- SITEK (Ryszard). *Warszawska szkoła historii idei*. Między historią a terażniejszością. Str. 248. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2000.
- STĘPIEŃ (Stanisław). *Ukraino-znamstwo*. Materiały do bibliografii. Publikacje wydane na Ukrainie w latach 1996-1998. Str. 222. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, 1999.
- SZEWELŁO-NOWACKA (Aleksandra). *Przesłania*. Str. 139. Drukarnia LIBRA, Białystok 1999.
- Świat Parnickiego*. Materiały z konferencji pod redakcją Jacka Łukasiewicza. Str. 218. Towarzystwo Przyjaciółki Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1999.
- TAŃSKI (Paweł). *Zdania z wiśni*. Str. 83. Wydawnictwo WITGRAF, Toruń 2000.
- TITKOW (Tomasz). *Plan B*. Str. 51. Kwartalnik Literacki „FA-art”, Bytom 1999.
- Twarze emigracji*. Wierzyński, Hłasko, Gombrowicz, Stempowski, Grydzewski. Festiwal książki w Toruniu. Katalog przygotowany z okazji wystawy w Bibliotece Uniwersyteckiej, XII 1999 – I 2000. Str. 97. Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej, Toruń 1999.
- WARACHIM (Hieronim) o. *Duchowa sylwetka Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby OFMCap*. Str. 45. „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec 2000.
- WENCEL (Korneliusz) E.C. *Osławianie Iwa*. Kontemplacja w życiu codziennym. Przedmowa Elżbieta Wolicka. Str. 167. Biblioteka „Więzi” Warszawa 2000.
- WIATR (Jerzy J.). *Socjologia wielkiej przemiany*. Str. 190. Krajowa Agencja Promocyjna, Warszawa 1999.
- WINNICKI (Zdzisław Julian). *W Mińsku Litewskim mieście dawnej Rzeczypospolitej*. Str. 156. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Oddział Dolnośląski, Wrocław 1999.
- WITEK (Rafał). *Autoportret ze znakiem zapytania*. Str. 39. Wyd. Zielona Sowa, Kraków.
- ZWOLINSKI (Andrij). *Jasko*. Str. 44. „Wołanie z Wołynia” Biały Dunajec 1999.
- ŻUREK (Sławomir Jacek). „...lotny trud półistnienia”. O motywach judaistycznych w poezji Arnolda Śluckiego. Str. 204. Księgarnia Akademicka, Kraków 1999.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

16.3.

Zmarł w wieku 82 lat Johann Kroll, założyciel i pierwszy przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim.

8.5.

W Polskim PEN-Clubie w Warszawie miało miejsce spotkanie na temat „Czczenia: prawo do życia, prawo do kultury”.

11.5.

Staraniem Pracowni Badań Emigracji na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu odbyła się konferencja naukowa na temat „Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji. Twórczość Pietrkiewicza – poety, prozaika, krytyka i tłumacza”. Dwadzieścia referatów wygłosili literaturoznawcy z Torunia, Katowic, Rzeszowa, Olsztyna, Poznania i Bydgoszczy oraz Florian Śmieja z Kanady i Bolesław Taborski z Anglii.

16.5.

Z okazji osiemdziesiątej rocznicy umowy polsko-ukraińskiej Petlura-Piłsudski Instytut Studiów Ukraińsko-Polskich w Kijowie wraz z Towarzystwem „Ukraina-Świt” i Instytutem Polskim w Kijowie zorganizowały uroczysty obchód połączony z wystawą książek poświęconych wydarzeniom 1920 roku wraz z odczytem p. T. Zareckiej „Dwudziesty rok – stosunki Dyrektoriatu URL z Rzeczpospolitą Polską”. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 76 lat Andrzej Szczypiorski, autor m.in. książek „Msza za miasto Arras” i „Początek”.

17.5.

W Domu Literatury w Warszawie wręczono nagrodę PEN-Clubu prof. Janowi Karskiemu z Waszyngtonu. Laudację wygłosił dr Marek Edelman. W drugiej części wieczoru Towarzystwo Przeciwno Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita” przedstawiło swoje cele i działalność.

18.5.

Na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu odbyła się konferencja naukowa „Polska i Ukraina – sojusz wojskowo-polityczny po osiemdziesięciu latach”.

19.5.

PEN-Club zorganizował w Warszawie spotkanie z poetą i dramaturgiem Tymoteuszem Karpowiczem, mieszkającym stale w Chicago. Karpowicz przybył do Polski z okazji wydania książki „Słoje za drzewne” oraz przyznania mu nagrody miesięcznika *Odra*. ■

W Klubie Nauczycielskim w Łobzie koło Szczecina Czesław Szawiel otworzył wystawę poświęconą *Kulturze* paryskiej. Na otwarciu wystawy miało miejsce spotkanie z kapitanem żeglugi wielkiej Józefem Gawłowiczem, autorem książki „Byłem kurierem Giedroycia” (Wydawnictwo „Albatros”), zawierającej reportaże i szkice drukowane pod różnymi pseudonimami w *Kulturze* za czasów PRL-u.

28.5.

Zmarł w Warszawie w wieku 88 lat Kazimierz Leski – szef wywiadu AK.

1.6.

Polsko-ukraiński batalion wyjeżdża w lipcu do Kosowa i zastąpi batalion 18 dywizji desantowo-szturmowej. Batalion liczący 550 Polaków 250 Ukraińców będzie stacjonować w amerykańskim sektorze KFOR.

ZACHÓD

1.5.

Zmarł w Paryżu w wieku 61 lat Gabriel Meretik, dziennikarz i eseista, specjalizujący się w zagadnieniach krajów wschodnio-europejskich. Gabriel Meretik był autorem książki „La nuit du général” poświęconej wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 r. i jego międzynarodowych konsekwencjach. Ponadto przetłumaczył na język francuski pamiętniki gen. Jaruzelskiego z przedmową Adama Michnika.

11.5.

Z okazji ukazania się pracy Teresy Prekerowej „Żegota. Komitet Pomocy Żydom” przetłumaczonej przez Mariana Apfelbauma na język francuski, odbył się *table ronde* pod przewodnictwem Pierre Chaunu, podczas którego zostały wygłoszone następujące wykłady: Daniel Tollet „Les relations judéo-polonaise de la fin du XIXe siècle au début de la Seconde Guerre Mondiale”; Marian Apfelbaum „Présentation de l'ouvrage de Teresa Prekerowa”; Władysław Bartoszewski „Témoignages sur l'action de sauvetage des Juifs en Pologne”.

24.5.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu profesor Uniwersytetu Warszawskiego Wojciech Falkowski wygłosił odczyt „Le déclin des empires: l'exemple des Carolingiens”.

26.5.

W Centre du Dialogue w Paryżu profesorowie CNRS Jerzy Mink oraz Karol Szurek dyskutowali problem „Czy ‘oni’ się zmienili?”. Poprzednio, 12 maja, prof. Władysław Bartoszewski, b. minister spraw zagranicznych, aktualny senator RP, wygłosił odczyt „Polska i Polacy u progu nowego stulecia”.

30.5. W Klubie Nanczyjskim w Łodzi koło Seccina Czesław Szulc w Stacji Naukowej PAN przy współudziale Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu prof. Daria Nałęcz, naczelny dyrektor Archiwów Państwowych w Warszawie, przeprowadziła wykład na temat „Przywrócenie pamięci. Walka o odzyskanie najważniejszych świadectw polskiej historii z państw wschodnich i zachodnich”.

7.6.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Wiesław M. Grudzewski ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie miał wykład na temat „Analiza i ocena sytuacji gospodarczej w Polsce przed wejściem do Unii Europejskiej”. Poprzedniego dnia w Stacji dr Jan Seka z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie wygłosił odczyt „Życie literackie Polonii brazylijskiej. Zarys problematyki”. Zebrań przewodził prof. Tadeusz Wyrwa, dyrektor studiów w CNRS.

8.6.

W Centrum Cywilizacji Polskiej Uniwersytetu Paris-Sorbonne odbył się wieczór, na którym Editions Noir sur Blanc zaprezentował książkę „Panorama de la littérature polonaise du XXe siècle, Poésie”, Karla Dedeciusa, wydaną w dwóch tomach.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Polonica japońskie

Japoński szlak z litewskiej pułapki

Recenzja książki Ewy Pałasz-Rutkowskiej i Andrzeja Rome-ra „Historia stosunków polsko-japońskich 1904-1945” pióra Leopolda Ungera w nr 4 *Kultury* wymaga uzupełnienia szczegółami dotyczącymi szlaku Kowno-Moskwa-Władywostok-Tokio, czyli „japońskiego szlaku z litewskiej pułapki” w roku 1940 i 1941 do inwazji niemieckiej na Związek Sowiecki.

Leżą przede mną trzy teczki. W pierwszej jest kopia kserograficzna „Listy Sugihary” zawierająca 2149 nazwisk, żydowskich i polskich, w drugiej pękatej są spisane z taśmy filmowej teksty rozmów ze świadkami tamtych wydarzeń, w tym również osób, które wyjechały tym szlakiem z Litwy z wizami japońskimi, prawdziwymi lub fałszywymi. Jest tam też tekst wywiadu filmowego z zamieszkałą w Japonii panią Yokiko Sugihara, wdową po konsulu Sugiharze. W tecze trzeciej są dokumenty z archiwum Michała Rybikowskiego, asa naszego wywiadu, ocalone przez Zofię Rybikowską, zamieszkałą w Kanadzie. Wszystko to pozostało po kręconym przeze mnie, wspólnie z Piotrem Weycherem, filmie „Wizy życia”, którego producentem na zlecenie TVP S.A. był Mirosław Chojecki, czyli twórca „Media-Kontakt”.

Pośrednim świadkiem otwarcia japońskiego konsulatu w Kownie byłem również ja. Sugihara przybył do Kowna na Litwie jesienią 1939 r. z zadaniem obserwowania zarówno Niemców jak i Rosjan na styku ich kontaktów. Japończycy byli zaniepokojeni paktem Mołotow-Ribbentrop, potem szukali też potwierdzenia wykrytych przez współpracujący z wywiadem japońskim wywiad polski, przygotowań niemieckich do uderzenia na Związek Sowiecki. Wtedy, jesienią 1939 r., Litwini dziwili się, że personel konsulatu japońskiego przy ulicy Vaizganto 30 mówi ze sobą po polsku. Ale przecież konsul swoją działalność

wywiadowczą prowadził korzystając z pomocy wywiadu polskiego. Jego prawą ręką był zatrudniony oficjalnie jako woźny Bolesław Rożycki, były współpracownik pułkownika Leona Mitkiewicza, polskiego *attaché* wojskowego na Litwie do września 1939 r. Do Różyckiego dołączają wkrótce dwaj oficerowie polskiego wywiadu: kapitan Alfons Jakubianiec czyli Jerzy Kuncewicz i porucznik Jerzy Daszkiewicz, posługujący się dokumentem na nazwisko Jan Stanisław Perz. „Janek był jakby członkiem naszej rodziny” – opowie później o nim pani Sugihara.

Wywiadem polskim kierował wówczas major Michał Rybikowski, który po klęsce wrześniowej został na Litwę i Łotwę przysłany z Paryża, zaś po przyłączeniu tych krajów od ZSSR założył swoją bazę w Sztokholmie. Przez cały czas był formalnie zatrudniony w dyplomatycznych przedstawicielstwach japońskich i posługiwał się wystawionym przez Japończyków paszportem mandżurskim na nazwisko Peter Iwanow. Ze Sztokholmu Rybikowski jeździł parokrotnie do Berlina, ale raporty wywiadu polskiego, przeznaczone dla naszego dowództwa na Zachodzie, docierały z Litwy, a później już tylko z Niemiec przez kursujących do Sztokholmu kurierów japońskich. Trudno w to uwierzyć, bo przecież Japonia była sojusznikiem Niemiec, lecz działały tu też osobiste kontakty i przyjaźnie Polaków z Japończykami. Rybikowski, urodzony w Wodoktach na Litwie, znalazł się w wojsku polskim jako osiemnastolatek, zaś w roku 1920 marszałek Piłsudski odznaczył go orderem *Virtuti Militari* za udział w bitwie pod Radzyminem. W tym samym czasie także „za Radzymin” marszałek odznaczył orderem *Virtuti* szefa wojskowej misji japońskiej w Polsce, kapitana Matazakę Yamawaki. W 1939 był on generałem i wiceministrem sił lądowych Japonii. Przed wojną dwukrotnie przebywał kilka lat w Polsce jako *attaché* wojskowy Japonii, znał dobrze język polski i był wielkim przyjacielem Polaków. Ale kontakt „wywiadowczy” Rybikowskiego z Japończykami to, najpierw w Rydze, pułkownik Hiroshi Onouchi, potem, w Sztokholmie, generał Makoto Onodera, *attaché* wojskowy Japonii w Szwecji i prawdopodobnie szef wywiadu japońskiego na Europę. Z Rybikowskim łączyła go długoletnia, osobista przyjaźń.

Kontakty z Japończykami przydały się też, gdy trzeba było szukać drogi wydostania się z „litewskiej pułapki”, zarówno dla uchodźców żydowskich, jak i młodych Polaków, udających się do polskiej armii. Pod koniec 1939 r. droga przez Bałtyk do Szwecji, lotnicza i morska, została przez Niemców odcięta. Wtedy, według sprawozdania Daszkiewicza, „montowana była

akcja, aby uchodźcy polscy mogli jechać tranzytem przez Rosję i Japonię do Ameryki na jedną z wysp u brzegów Ameryki Południowej” (Curacao).

W połowie 1940 r. Litwa zostaje zajęta przez ZSSR i konsulowi Sugiharze udaje się załatwić u Rosjan zgodę na tranzyt przez Rosję dla uchodźców z wizami japońskimi. Ale Tokio nie daje zgody na większą ilość wiz i Sugihara wystawia je na własną rękę, za co później poniesie konsekwencje. Wkrótce Rosjanie każą mu zlikwidować konsulat, gdyż w republice litewskiej, gdzie nie było ani jednego Japończyka, nie był potrzebny.

Sugihara śpieszy się, żeby wydać jak najwięcej wiz. Szło to wolno, gdyż wypisywał je ręcznie, wtedy Daszkiewicz zaproponował pomoc w zrobieniu pieczęci, według wzoru zaprojektowanego przez konsula. Daszkiewicz dał to Jakubiancowi, który zamówił w grawerni, gdzie pracował oficer naszego wywiadu, pieczętkę w dwóch egzemplarzach, z których jeden trafił od razu do „legalizacji” ZWZ w Wilnie, podziemnej wytwórni fałszywych dokumentów.

Ostatnie wizy Sugihara wystawił 31 sierpnia 1940 roku. 1 września wyjechał pociągiem do Niemiec. Daszkiewicz i Jakubianiec, zaopatrzeni w japońskie paszporty służbowe, wyjechali do Niemiec wcześniej, samochodem Sugihary. W dniu wyjazdu konsula na dworcu w Kownie zebrał się tłum Żydów. Błagali o wizy. Pani Sugihara, wspominając ten dzień, powiedziała: „Rozpłakałam się. Wiedziałam, że ci wszyscy uchodźcy zginą.”

Lista Sugihary liczy 2149 nazwisk, ale z wizami Sugihary wyjechało prawdopodobnie około 3 do 3,5 tysiąca Żydów, gdyż małe dzieci były wpisywane do wiz rodziców, poza tym być może niektóre nazwiska nie zostały wpisane na listę. Według szacunku historyków tamtego okresu, japońskim szlakiem wyjechało około 6 tysięcy Żydów.

Wyjazdy z wizami fałszywymi zaczęły się od jesieni 1940 r. „Legalizacja” miała pieczętkę oryginalną i kilkanaście kopii fotograficznych wiz wystawionych przez Sugiharę. Specjalistą od wypisywania ręcznych w dokumentach japońskiego tekstu był Stanisław Kiałka, „Drzewica”. Nie znając japońskiego kopiował z benedyktyńską cierpliwością teksty z kopii fotograficznych wiz i właśnie dlatego mogło wysiąść ze statku w Tsurudze w Japonii 30 Jakubów Goldbergów. Na szczęście wpadka nastąpiła tuż przed końcem exodusu żydowskiego z „litewskiej pułapki”, przerwanej przez inwazję Niemiec na ZSSR w czerwcu 1941 r.

Warto tu przypomnieć, jakie były dalsze losy osób biorących udział w tamtych wydarzeniach. Z wileńskiej „legalizacji”

9 osób zostało zamordowanych przez gestapo i NKWD, pozostali trafili do łagrów lub więzień. Stanisław Kiałka został wysłany do Workuty. Jedna z ostatnich pozostałych przy życiu Janina Krókwona, wróciła jako repatriantka do Polski w 1945 r. Ujęta przez UB została skazana przez sąd PRL na karę śmierci. Przesiedziała w celi śmierci 9 lat! Wyszła na wolność po październiku 1956 r.

Kapitan Jakubianiec został ujęty w Berlinie przez gestapo w r. 1941 i zamordowany w Sachsenhausen. Bolesław Różycki został w Kownie za ratowanie Żydów zaarrestowany przez gestapo. Życie ocalili mu przyjaciele Litwini. Zmarł we Wrocławiu pod koniec lat siedemdziesiątych. Porucznik Daszkiewicz współpracował z Sugiharą do 1942 r. Wojnę przeżył i mieszkał jakiś czas w Londynie. Potem wszelki ślad po nim zaginął. Rybikowski wylądował pod koniec wojny w II Korpusie we Włoszech, gdzie walczył w stopniu już pułkownika. Zmarł w 1991 w Kanadzie.

Dzieje tych bohaterów i wydarzenia związane z „japońskim szlakiem z litewskiej pułapki” są tematem naszego godzinnego filmu dokumentalnego „Wizy życia”. A co z filmem? Ano leży sobie gdzieś na półce w telewizji i już parę lat czeka na emisję; bo telewizja publiczna rywalizuje z telewizjami komercyjnymi o widzów i reklamy, a tematyka historyczna podobno ma małą oglądalność.

Andrzej MIŁOSZ

O kolonii polskiej

Gdy po raz pierwszy przybyłem do Japonii czterdzieści lat temu, zupełnie nie znałem tego kraju, mimo, że starałem się trochę przygotować do mojej podróży, postudiowałem historię, sztukę i powojenne problemy wynikające z koktailu kultur japońskiej i amerykańskiej. Był to wtedy inny kraj. Stosunkowo bardzo mało samochodów, turystów i obcokrajowców. O istnieniu tam Polaków nawet nie słyszałem.

Dopiero kilka lat później, gdy odbywał się koncert

Warszawskiej Orkiestry Symfonicznej pod batutą Wisłowskiego, natknąłem się na Brata Kwietnia, który wspomniął mi o polskich Franciszkanach. Umówiliśmy się na najbliższą niedzielę, brat Kwiecień przyjechał po mnie do hotelu i zabrał mnie do nowicjatu Franciszkanów w Higashi Murayama na przedmieściach Tokyo. Tam poznałem Ojca Samuela Rosenbaigera, brata Zenona Żebrowskiego i Ojca Tadeusza Obłąka SJ.

W czasie bardzo wykwintnego śniadania Ojciec Rosenbaiger (który się przedstawił mówiąc: jestem „ze szlachty palestyńskiej”) zaczął długie opowiadanie sięgające założenia misji przez Ojca Kolbe, opisy wizyt Ambasadora Romera z rodziną, wreszcie czasy wojny i wybuch bomby atomowej nad Nagasaki, gdzie polscy Franciszkanie, a przede wszystkim brat Zenon bardzo się wstawili niosąc pierwszą pomoc i ratując dzieci. Brat Zenon miał wielki Złoty Krzyż Zasługi od Cesarza Japonii i szereg innych odznaczeń.

Później nastały czasy powojenne. Franciszkanie mieli stare polskie paszporty, ale ciągnęło ich by po tylu latach od czasu do czasu odwiedzić rodzinę w kraju. Od 1957 roku była nowa Ambasada PRLu. Na przyjęciach 22 lipca nie było ani jednego Polaka, a Japończycy, którzy świetnie się orientowali, stale zapypywali ambasadora i innych: „gdzie są nasi japońscy sławni Polacy?” I tak, gdy ambasadorem został imiennik brata Zenona, Żebrowski, „przez kuchenne drzwi” zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne między Franciszkanami i Ambasadą PRLu. Kompromis, który negocjował ojciec Samuel, polegał na trzech punktach: wszyscy Franciszkanie polscy dostali paszporty konsularne, Ojciec Rosenbaiger z całą ekipą pokazywał się w Ambasadzie na przyjęciach 22 lipca, ale w zamian pan ambasador z całym personelem był obecny na „Pasterce” i kładł na tacę 50.000 yen!

Ojciec Rosenbaiger mówił mi wówczas, że z tego co wiedział w Japonii jest 26 Polaków: 13 pracowników Ambasady PRL, 8 Franciszkanów, jeden Jezuita Ojciec Obłąk, a reszta to żony Japończyków czy też studenci.

Dziś wśród Franciszkanów niewielu już zostało Polaków. Księża i bracia japońscy przejęli szkoły i ośrodki założone przez Polaków.

A dzisiaj – mam przed sobą egzemplarz Gazety Klubu Polskiego w Japonii, dwumiesięcznego magazynu publikowanego w Tokyo przez miejscową kolonię polską. Piękna szata, dobrze redagowany. Jak się spojrzy na komitet redakcyjny – same kobiety. Brawo!

Według oficjalnych danych, dziś w Japonii mieszka około

600 Polaków, czy też osób polskiego pochodzenia. W dużej mierze są to kobiety, żony Japończyków, którzy spotkali je w Polsce, ale są również grupy Polaków przysyłanych tutaj na przeszkolenie przez firmy japońskie, które budują fabryki w Polsce, są też ludzie wolnych zawodów, jak lekarze, inżynierowie, profesorowie.

Polki i Polacy spotykają się regularnie na zebraniach Klubu Polskiego w Tokyo. Pani Elżbieta Watanabe, Prezeska Klubu mówi, że Klub jest otwarty dla wszystkich – nie tylko dla Polaków, a jedynym warunkiem udziału w imprezach Klubu jest znajomość języka polskiego.

Z jakąż przyjemnością przeczytałem, że dzisiejszym duszpasterzem Polonii tokijskiej jest Ojciec Tadeusz Obłąk SJ, którego poznałem przed wielu laty. Może on sobie jeszcze przypomina to śniadanie u Ojca Rosenbaigera, w czasie którego przygadywali sobie nawzajem nad wartościami zakonu Franciszkanów i Jezuitów.

Andrzej ROMER

PS. W związku z artykułem Leopolda Ungera na temat naszej książki i konsula Sugihary, chciałbym wspomnieć, że w tym wypadku Żydzi choć częściowo starali się odwdziżyć konsulowi umożliwiając jego synowi ukończenie uniwersytetu w Izraelu, ukończenie szkoły diamenciarzy w Tel-Awii i dopuszczeniu go do kartelu tego zawodu. Dziś Nabuki Sugihara jest właścicielem firmy Belgodia Diamond Import Export Co, Diamond House, Antwerp.

List do Redakcji

Leopolda Ungera „Lista Sugihary” (*Kultura* nr 631, kwiecień 2000) przywołała mi na myśl ciekawy przypis do stosunków polsko-japońskich. Wiosną 1997 r. zapowiedział się u mnie w Brukseli z wizytą kurtuazyjną nowy ambasador Japonii, Nagao Hyodo. Zdziwiło mnie to nieco ponieważ nie otrzymałem do tego czasu zwyczajowego zawiadomienia, że złożył on

listy uwierzytelniające Królowi Belgów a zatem rozpoczął swą misję w Brukseli. Okazało się prędko, że przyczyną jego wyjątkowego postępowania była okoliczność, iż poprzednią jego placówką była Warszawa oraz, że żywi szczególną sympatię do Polski.

Nagao Hyodo opowiedział mi, że od początku kariery dyplomatycznej specjalizował się w sprawach bloku sowieckiego i już kilkakrotnie był na placówkach w stolicach krajów tego obszaru. Napisał nawet ostatnio książkę o Katyniu. Kiedy zapytałem, co go do tego skłoniło odpowiedział, że na stosunkach japońsko-rosyjskich ciąży między innymi domniemany odpowiedzialnik masakry katyńskiej. W 1945 r. mianowicie, kiedy ZSSR przystąpił w ostatniej chwili do wojny przeciw Japonii (2 dni po zrzuconiu pierwszej bomby atomowej na Hiroszimę), i rozpoczął działania zaczepne w Mandżurii, zaginęło na tym froncie bez śladu około 70.000 żołnierzy japońskich. W Tokio panuje po dziś dzień przekonanie, że padli oni ofiarą katyńskich metod władz sowieckich. Hyodo sądził, że pełna znajomość sprawy katyńskiej może kiedyś przyczynić się do wyjaśnienia losu zaginionych żołnierzy japońskich. Dlatego cieszyły go szczególnie inicjatywy władz rosyjskich mające na celu wyjaśnienie zbrodni dokonanych na jeńcach z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

Andrzej KRZECZUNOWICZ

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78000 Maisons-la-Jolie

Le directeur de la publication: Andrzej Gieboyc
Commission Paritaire N° 60782
Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 2000

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:
Mariusz Wikł Pirmorska 15, Archangelskiej obl.,
F. 600000; F. 600000; F. 600000
Przebieg choroby – F. 6,00.

Skład komputerowy: MacWiz Distributions
INSTITUT LITTÉRAIRE, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
Paris 78000 MAISONS-LA-JOLIE (C.F.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawалу pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Wiesław Janusz M., Polska: – Jak Pan pisze, zebrał już Pan 1100 publikacji poetyckich. Kolekcja rzeczywiście imponująca. Jednak byłoby Panu wdzięczni, gdyby się Pan zdecydował uściślić znaczenie słowa „tylko”. Pisze Pan w tym samym utworze: „ponad nocą jest tylko samotność (...) ponad nocą jest tylko milczenie”.

Szymon M., Polska: – Jeden z Pana tekstów wyraźnie ma tonację piosenki i zapewne z podkładem muzycznym może się artystycznie obronić. Drugi, niestety, nawet takiej szansy nie ma.

Anna M. M., Wiedeń: – Ma Pani rację: „trudna jest wolność dana słowom”. Dobrze by było, gdyby zdołała je Pani uwolnić od zużytych klisz i „poetyczności”. Dobrze Pani poszukiwaniom wróży wiersz zaczynający się od słów „a słowo stało się ciszą”.

Witold M., Polska: – Kłeska artystyczna jest zawsze tym bardziej porażająca, im więcej autentycznej pracy autor w swe próby wkłada. Szkoda, że i Pana to spotkało, tym bardziej, że zamiłowanie z pewnością jest niezwykle ambitny i dotyczy spraw istotnych.

Tomasz H., Polska: – „Głowa nabiera obrotów jak lekki napór wiatru” – zaiste trudno ten obraz zrozumieć.

Monika M., Polska: – Wiersze Pani, należące do szlachetnego gatunku poezji obywatelskiej, są niestety przegadane. Najciekawsza jest „Lekcja anatomii”, ale tu znów: „odnajdują zator/ jak kołtun/ jak kłębówisko zmij/ jak w dzikim tańcu splątane/ konary drzewa” – czy naprawdę musi Pani aż tak piętrzyć porównania?

I.J., Australia: – Rymy Pani wydają się nam nieco staroświeckie.

Jacek G., Lublin: – Co to jest „barometr płynnego serca”? Jak wyobraża Pan sobie „ramiona zaradnej myśli”? Jak Pan widzi, nie chodzi tylko o to, by wiersz był „skrótowy”.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 2000

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-687-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 600.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 510 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatoriami 1939-41*; J. W. Solecki: *Sen o spadochronach*; G. Mazur: *Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii 1940 r.*; D. Rogoyski: *List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31.03.45*; M. K. Dziewanowski: *Jak szkolono oficerów kawalerii w Polsce przedwojennej*; T. Mianowicz: *Ku pokrzepieniu umysłów*; Cz. Karkowski: „*Holender*”; T. Wyrwa: *Przewrotna działalność gen. Tatara*; Z.S. Siemaszko: *Polacy i Żydzi w ujęciu Sarnera*; A.F. Baran: *W stulecie urodzin Adama Bienia*; Z. Ponarski: *Za kulisami wielkiej polityki*; J. Szymański: *Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych ONZ*; *Postępowa Organizacja Polska POP*; Krzysztof Muszkowski: *Angielski parasol*; A. Tyszkiewicz: *Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Adama Stefana Sapiehy*; oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F